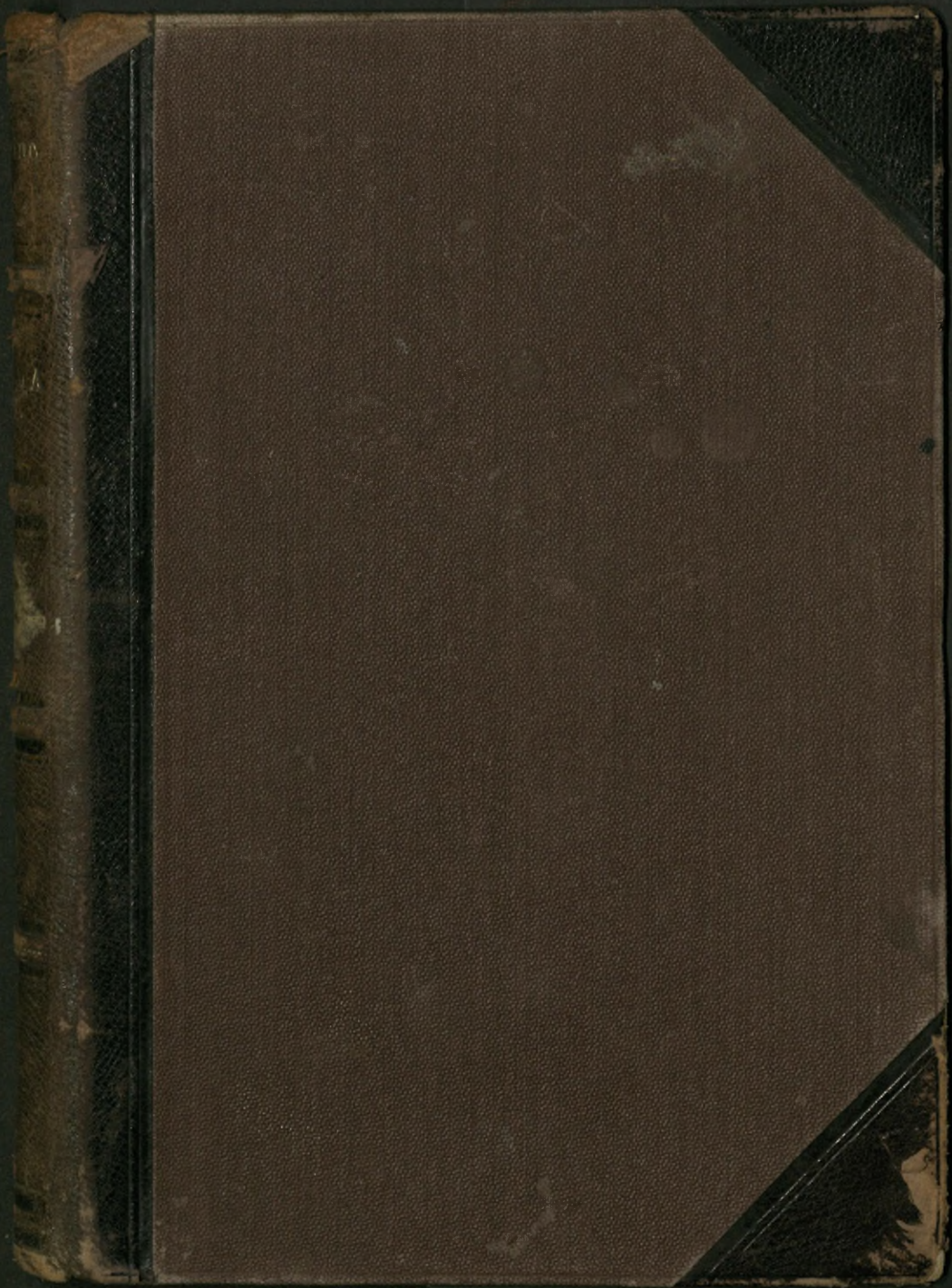


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



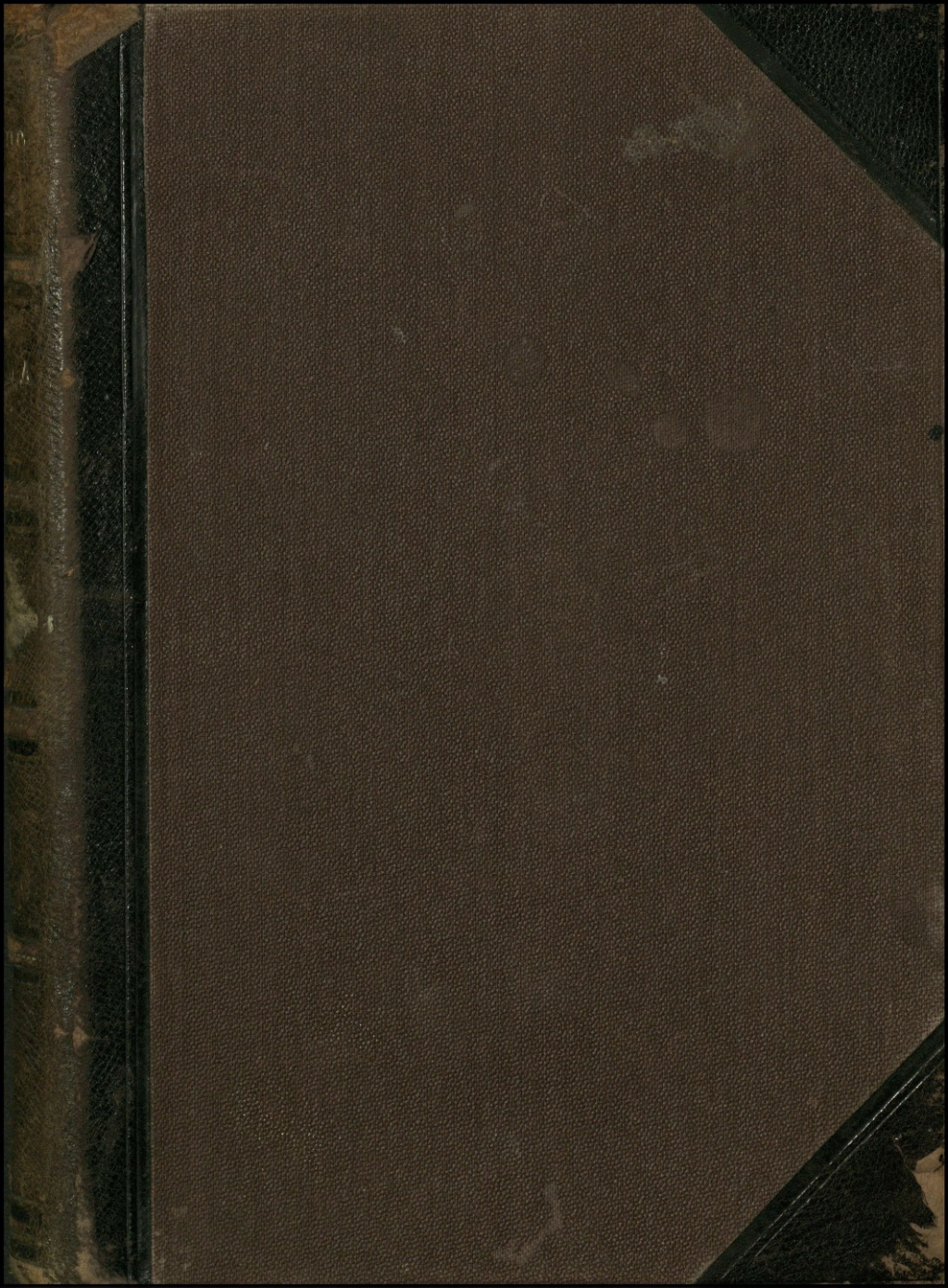
Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

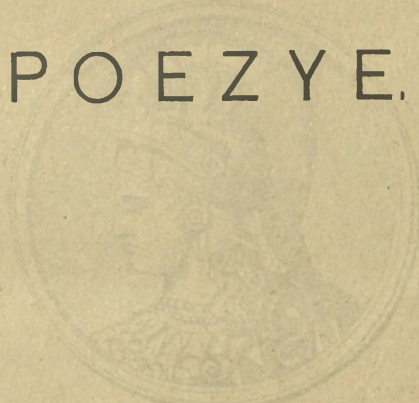
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Colour Chart #13

DANES PICTA .COM



WYBÓR PISM
HENRYKA HEINEGO
X
POEZYE.



WYDAWNICTWO SPÓŁKI NAKŁADOWEJ.

WYBÓR PISM
HENRYKA HEINEGO.

Z portretem autora.



CO SZENY.

WARSZAWA.

Skład Główny w Biurze i Ekspedycji
Spółki Nakładowej
Marszałkowska 95.

95. 304/5
Henryk Heine.

I.

P O E Z Y E.

Henryk Heine.—Intermezzo liryczne.
Powrót. — Nowa wiosna. — Różne. —
Dwa sonety. — Widziadła senne. —
Pieśni. — Romanse. — Obrazy morza
północnego. — Baśń zimowa. — Melodye
hebrajskie.

WARSZAWA.

Skład Główny w Biurze i Ekspedycyi

Spółki Nakładowej

Marszałkowska 95.

SPÓŁKA NAKŁADOWA

zawiązana przez grono pisarzy polskich, ma na celu wydawanie dzieł pierwszorzędnej wartości naukowej i literackiej, oryginalnych i tłumaczonych, wzbogacających istotnie umysłowe zasoby kraju. W przekonaniu, że literatura stanowi ważny i trwały grunt dla życia i rozwoju społeczeństwa, że mu dostarcza sił żywotnych, Spółka Nakładowa grunt ten w miarę swej mocy rozszerza nabytkami książkowemi rzetelnej i nieprzygodnej cen. Dotąd wydane dzieła dość wyraźnie już określają kierunek i charakter jej przedsięwzięcia:

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402—rs. 2.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie wieku XIX, studjum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541—rs. 2 k. 50.

Gumplowicz L. System socyologii, str. 473—rs. 3 k. 30.

Kramsztyk Stanisław. O postaci i ciężarze ziemi, str. 93—k. 60.

Okolski A. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych A. P., str. 600.—rs. 3.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora—rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.

Smoleński Władysław. Drobną szlachta w Królestwie Polskiem, studjum etnograficzno-społeczne, str. 66—k. 60.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydan. oryginału angielsk. przełożył Jan Karłowicz, str. 310—rs. 2.

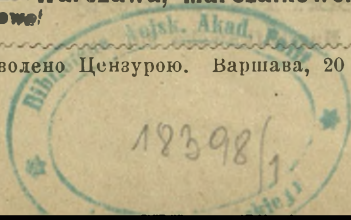
Świątecko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie z drzeworytami w tekście, str. 274—rs. 1 k. 80.

Na przesyłkę pocztową do każdego rubla należy dołączyć kop. 10.

WYDANO Z DOKRETOU Warszawa, Marszałkowska, 95.

Biblioteka Narodowa

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Февраля 1889.



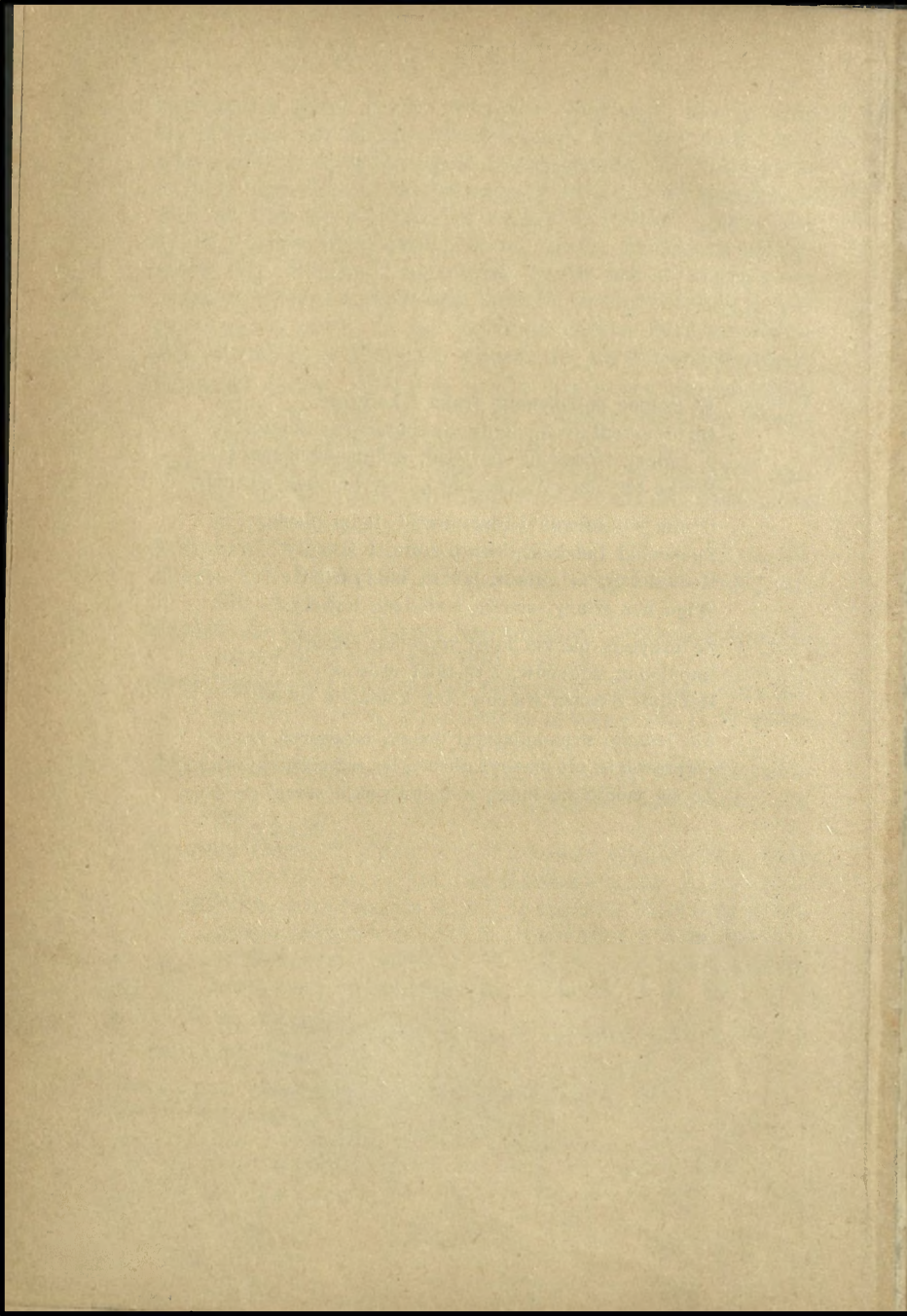
W czapce poliszynela, fraku i koturnie,
On przeszedł życie, nigdy nie schyliwszy głowy,
A śmiech twarz mu oświecał, zadumaną chmurnie,
Wciąż tak dziwnie jaskrawo, jak płomień gazowy.

O nim się dziwna bajka pośród ludzi plecie,
Że kochał ludzkość, wino, złoto, i kobiety.
Kochał tak, *in natura*, jak są na tym świecie.
Więc bez wiary, zapалу i złudzeń lornety.

Że przytem bardzo lubił wygodne ciżemki,
Napoleona, głupców, i tę taką rzewną
Melodyę Strausa walców, jak kochanie niemki.

Ah! jeszcze zapomniałem: dodają oszczerece,
(Wprawdzie nie nazbyt głośno, bo też nie na pewno,)
Że się modlił za ludzi, nim mu pękło serce!

Wiron.



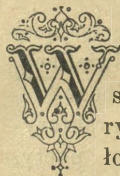


HENRYK HEINE.

1799 — 1856.

Sie haben das Brot mir vergiftet,
Sie gossen mir Gift ins Glas,
Die einen mit ihrer Liebe.
Die Andern mit ihrem Hass...

Ludzie mi chleb mój zatruli,
Jad wleli w czarę mą,
Jedni—przez swoją nienawiść,
Inni—przez miłość swą...



strofie tej zawarł poeta najdokładniejszą charakterystykę swego stosunku do współczesnych... Miłość i nienawiść trzymały rozpostarte skrzydła nad poetą za jego życia i dotąd jeszcze otaczają cichą jego mogiłę. Cień od nich padający zasłania przed oczyma żyjącego pokolenia to pogodne światło sprawiedliwości, niezbędne dla bezstronnej oceny każdego niepospolitego umysłu.

I dziś jeszcze, podczas gdy wielbiciele poety krzątają się około postawienia mu spiżowego posągu, jednocześnie zastęp jego wrogów pali publicznie dzieła poety, któremi wznosił sobie w literaturze pomnik nad spiże trwalszy...

I dziś jeszcze, podczas gdy sumienni wydawcy, idąc wzorem drobiazgowych komentatorów dzieł klasycznych, pod mikroskopem krytyki rozbierają atomowe pyłki myśli

Heinego, jednocześnie brutalna ręka skazuje na zagładę pokaźne i misternie wykończone klejnoty z duchowego skarbcza poety...

Nie znają wszakże treści ducha Heinego ci, którzy sądzą, że bezwzględna czcig, lub bezwzględna nienawiścią dla jego imienia, składają winny hołd prawdzie...

Za życia nie pożądał Heine laurów i znaczenia, nie dobijał się stanowiska w panteonie wszechświatowych wielkości; nie obawiał się również pocisków, jakie nań zewsząd hojną miotano dłońmi.

Są organizacje duchowe niemogące żyć w spokoju i błogości duchowej nirwany. Walka jest ich żywiołem i namiętnością. Požadają jej i nie lękają się klęski. Wyzrywając do boju orły pokrewne im duchem i znaczeniem, z politowaniem spoglądają na bezsilne szamotanie się karłatek, które, z motyką porywając się do walki, sądzą, że zadały dotkliwą przeciwnikowi ranę, jeśli w zamachu uda im się pokiereszować obcas jego buta, do wielkości którego nie dorosły nawet...

Gdzie leżało i leży źródło nienawiści przecinającej ciemnymi paskami, jak w widmie Fraunhofera, świetlaną, przez pryzmat krytyki przepuszczoną pamięć Heinego?

Odpowiedź na to pytanie spoczywa w charakterystycznych pierwiastkach satyrycznego gieniuszu poety, który, z amatorstwa nieraz, podejmował walkę dla walki samej, mnożąc tym sposobem, i tak już liczne zastępy niechętnych; składają się na nią i owe ścierające się w naszej epoce prądy zachowawczości i pietyzmu dla stosunków uświęconych tradycją, z prądami nowatorstwa i krytycyzmu bezwzględnego, których poeta najgorliwszym był orędownikiem.

Wśród tak sprzecznych prądów zaśniedziałego konserwatyizmu z jednej, a nieokiełznanego w swoich porywach postępu z drugiej strony, pojawia się w szrankach z podniesioną przyłbicą szermierz i wyzywa do walki niezgodne

i niegodzące się z sobą żywioły. Z sarkazmem na ustach, z zuchwalstwem, właściwym wszystkim pionierom nowych w sferze ducha kierunków, rozpoczyna bój z przesadami i zaślepieniem, z potężną armią wsteczników i ukazując zdumionemu światu nowe drogi, przyzywa w pomoc fantazyę twórczą, najbarwniejsze kolory poetyckiego języka, bogactwo myśli, formy, roztaczając w nich dawno niewidziany przepych...

Ów świst przeciągły, przepuszczony przez figlarne palce poety, jako wyraz szyderstwa i urągania nad konwencyonalnością uznanych w literaturze powag, owo rzucenie rękawicy, nie tylko literackim pionkom, lecz całemu ustrojowi zaśniedziałego w Niemczech konserwatyzmu, czy się on objawiał na tronie, na kazalnicy, na katedrze uniwersyteckiej, czy też w zwykłych towarzyskich stosunkach, były zjawiskiem tak wyjątkowym i nieoczekiwanym, że nie umiając sobie wytłomaczyć postępowania poety motywami podnioslejszemi, wtłoczono je w ramki poziomego — warcholstwa...

Na domiar złego, Heine, z pochodzenia należał do rasy, którą, pokolenie niezbyt jeszcze dawne, przywykło było wyobrażać sobie tylko w formie pochylonych karków, z pokorą przyjmujących chłostę i urągawisko nienawistnych losów.

Nie zmyło tego piętna z poświęconego czoła poety znamię chrztu, jakim go w młodzieńczym jeszcze wieku namaszczone. W oczach świata — Heine był i pozostał żydem, potomkiem jednej z najdawniejszych, lecz najmniej dla aryjskiego ducha sympatycznych cywilizacyj i w imię swego pochodzenia, którego zresztą nie maskował nigdy i przed nikim, znosić musiał docinki i prześladowanie ze strony tych, którym się zdawało, że z ową właśnie cywilizacją nie wspólnego nie mają i nie mieli...

* * *

Najmniej fortunnym czynnikiem w życiu człowieka jest dwoistość stanowiska, jaką okoliczności mimowoli nieraz mu narzucają.

Świat wybacza z łatwością człowiekowi jego pochodzenie, o ile mu ono pozwala przez życie całe być sobą i na każdym kroku śmiało i stanowczo swoją jaźń manifestować.

Nie znosi jednak narzuconej okolicznościami dwoistości, w imię której, człowiek odmiennego pochodzenia rasowego, przeistoczyć pragnie swoją naturę i przeszczepić się w zupełności na grunt, bardziej dla jego rozwoju podatny.

Na tę właśnie dwoistość stanowiska towarzyskiego i rasowego cierpiał Heine przez życie całe, i jej tylko źródło wszystkich swoich dolegliwości zawdzięczał.

Jako żyd z pochodzenia, lecz z urodzenia Niemiec, uważał się Heine za obywatela i członka niemieckiej ojczyzny, o niej tylko bezustannie myślał i marzył, jej wszystkie najserdeczniejsze poświęcał uczucia; a mimo to, głos ogólny nie upatrywał w wybuchach gniewu i sarkazmu poety znamię szczerego patryotyzmu niemieckiego, lecz rasowe przypisywał im pobudki i znaczenie.

Jako wygnaniec, przebywając w najsympatyczniejszej na kuli ziemskiej krainie, będącej osią duchową wszystkich najszlachetniejszych porywów ludzkości, żył się Heine z francuzkim trybem myślenia, jego wdzięczną, zewnętrzną szatą, z językiem i obyczajami Francji, a mimo to, okrzyczany z tego powodu przez Niemców jako renegat wielkiej niemieckiej ojczyzny, nie został przez literacką Francję adoptowany, nie wszedł jako syn przybrany do panteonu jej umysłowych znakomitości.

I tak, oscylując za życia między przeciwnymi biegunami umysłowemi, które nasyciwszy go własną elektrycznością, następnie siłą naturalnej repulsji od siebie odtrącały; zachował Heine i po śmierci stanowisko nieokreślone — ducha zawieszono w przestrzeni między chmurami gorącej sympatii i zacieklej nienawiści, wielbionego przez jednych, potępianego przez innych, przez nikogo jeszcze wedle sprawiedliwej miary i zasługi nieocenionego...

Czy znają Heinego u nas?

Sądząc z pokaźnej liczby przekładów drobnych fragmentów Heinowskich, przez które, rozpoczynający zawód literacki w Polsce, niemal że przejść jest zniewolony, zdawałoby się mogło, że popularność Heinego w Polsce jest nader szeroką.

Jestto wszakże tylko optyczne złudzenie. Jak astronomowie znają księżyc z tej tylko strony, która do nich jest zwróconą, tak i Heinego znają u nas tylko z drobnych, mniej lub więcej zręcznych, mniej lub więcej kostycznych wierszyków, gdyż na te właśnie wierszyki zwracano przeważnie czytającego ogółu uwagę, pomijając całą olbrzymią sferę działalności Heinego w sferze literatury, estetyki, filozofii i polityki.

Znać Heinego, u nas, znaczy* tyle, co znać kilka, lub kilkanaście fragmentów, o motywach ogranych i denerwujących swoją banalnością, w rodzaju: *mein Liebchen*, *was willst du mehr*, lub też: *im wunderschönen Monat Mai* etc. Zapytać jednak owych pseudo znawców, czyli znają cośkolwiek z filozoficznych, lub estetycznych pism poety, w rodzaju: *Zur Geschichte der Religion und Philosophie in Deutschland*, otrzymamy na to niezupełnie zadowalniającą odpowiedź...

Obok tego, pogląd na samego Heinego, na jego stosunek do Polaków i Polski był zawsze i jest dotąd z gruntu fałszywym i jednostronnym.

Biorąc pochop z żartobliwego wierszyka „*Zwei Polen*“, w którym Heine z wrodzonym sobie sarkazmem lekceważąco o dwóch emigrantach i ich nędzy wzmiankować sobie pozwala, obrzucono poetę zarzutem niechęci do całego narodu i jego przeszłości...

Jestto tylko wynik powierzchownej znajomości pism poety, gdyż, gdyby ci, co tak nieopatrznie potępiają Heinego, za wybryk jego nieokiełznanego humoru, zechcieli poznać bliżej te mianowicie jego utwory, w których czę-

sto gęsto o Polsce jest mowa, przysliby do przekonania, że Heine bynajmniej za wroga polskości nie uchodził i uchodzić nie chciał, że jeden z piękniejszych fragmentów swoich wrażeń z podróży poświęcił Polsce (Über Polen), że w listach jego z roku 1831 bardzo wiele znajdujemy sympatycznych wzmianek o tych, z których, w osławionym wierszyku, tak niesłusznie zażartował sobie, że zresztą, do najserdeczniejszych przyjaciół Heinego należeli zawsze polacy, a między innymi Eugeniusz Breza, towarzysz młodości i młodzieńczych wybryków poety.

Heine, oprócz fantazyi, posiadał umysł wrażliwy i serce odczuwające każdą ludzką niedolę. Nie może być poetą ten, kto dla ludzkości i jej cierpień nie znajduje w sercu sympatycznego oddźwięku; nie może być apostołem lepszej przyszłości ten, kto dla przeszłości nie znajduje wyrazów uznania. Lecz i najbardziej czujące serce nie może być obojętnem na wady i słabostki społecznych; nie może bez tajonego bólu odczuwać zła tam, gdzie ono przejawia się w myślach i działaniach ludzkich. Heine kochał swoją ojczyznę, jako syn dobry. Jej język, wierzenia i przeszłość cenił jak najdroższą relikwię, a mimo to nikt z piersi swoich nie dobył tak silnego dla potępienia zdrożności rodaków własnych głosu, jak to uczynił Heine, pragnąc ich poprawy i odrodzenia moralnego. Z tego też jedynie punktu widzenia należy sądzić częste wybryki ironii i sarkazmu, odzywające się w pieśniach poety i nie należy przypisywać im pobudek nieszlachetnych, nielicujących bynajmniej z podniosłym nastrojem myśli i humanitarnych dążeń Heinego.

* * *

Urodził się Heine (*) dnia 13 grudnia 1799 roku w Düsseldorfie, nad Renem, z rodziny żydowskiej i sam

(*) Szczegóły biograficzne według przedmowy Buchheima do wydania zupełnego pism poety, opracowanego przez G. Karpelesa.

do dwudziestego piątego roku życia w wierze przodków się chował.

Ojciec jego, Samson Heine pochodził z Hanoweru, matka, Betty, należała do dawnego, holenderskiego rodu, z miasta Geldern i dla tego następnie przybrała przydomek „van Geldern“.

Samson Heine, w młodych latach pozostawał jako dostawca przy boku księcia Ernesta Cumberlandzkiego, podczas pochodu na Flandryę i od owej epoki nabrał zamiłowania do wojskowego trybu życia. Wpływ jego na wychowanie dzieci nie był wielki; natomiast matka, obdarzona umysłem wrażliwym, odczytana przytem i nasiąknięta zasadami Roussovskiego „Emila“ bardzo korzystnie na umysłowy rozwój rodziny wpłynęła.

Ztemwszystkiem, według zapewnienia poety, zmysł jego do romantyki i fantastyczności nie był spuścizną po matce odziedziczoną. Zmysł ten, o ile przyjemny wpływ wrażeń ubocznych, rodzinnych, na umysł młodzieńczy, przeszedł do poety ze strony braci pani Heine.

Wizerunek wuja, Simona van Geldern, naszkicowany przez poetę w „Pamiętnikach“, wyraźnie o takim wpływie wspomina. Tajemniczość jaką się Samson Heine otaczał, jego pismomanja, poetyczne zabawki, opowiadania o dalekich podróżach i przygodach w trakcie ich doznanych, wszystkie te wpływy obudziły w umyśle Henryka zmysł i pociąg do czarodziejskich baśni, poetycką wrażliwość na rzeczy cudowne i nadnaturalne, zmysł, który się odbił w „widzeniach sennych“ (Traumbilder) i towarzyszył poecie przez życie całe.

Młodość Heinego przypadła na epokę, gdy Düsseldorf stał się stolicą nowoutworzonego wielkiego księstwa. Po pokoju Preszburskim (26 grudnia 1805 r.) który był rezultatem nieszczęśliwej bitwy pod Austerlitz, księstwo Berg z posiadłościami pruskiemi Klewe i miastem Wezel zamieniono na wielkie księstwo i rządy oddano szwagrowi Napoleona, Joachimowi Muratowi.

Pierwsze zatem wrażenia, jakie ze świata zewnętrznego odebrał chłopiec, były francuzkie. Ludność Düsseldorfu, jak również całego podbitego lewego wybrzeża Renu, bynajmniej nie smuciła się wszechwładztwem francuzkiem, a ojciec Heinego, jak wogóle wszyscy jego współwyznawcy, był szczerym wielbicielem Napoleona. Cesarz obdarował żydów obywatelskim równouprawnieniem, odmawianem im przez ówczesne rządy niemieckie. Czcili go przeto jak Mesyasa, który ich wyzwolił z długowiecznego ucisku. Niezależnie od tego Samson Heine lubił bawić się żołnierką. Okazałą obdarzony postawą, o marsowym wyglądzie, piastował godność oficera gwardyi obywatelskiej i jako taki, nosił ciemno-niebieski z fioletowemi wyłogami uniform.

Nie dziwnego przeto, że i Henryk Heine uległ urokowi żołnierskiego życia i zewnętrznych jego objawów, że wesołe a zwyciężkie zastępy wielkiej armii miały w nim szczerego wielbiciela i zwolennika. Uczucie to nie osłabiło w nim wszelako patryotycznej miłości ku niemieckiej ojczyźnie. Było to uczucie niejako wrodzone, podniecone jeszcze wpływem matki, która w listach swoich z tęsknotą wspominała owe czasy „gdy niemcy byli, niemcami i wszyscy co niemieckim mówili językiem, za braci się uważali” i nie pomijała żadnej sposobności do budzenia w duszy dziatwy miłości ku niemieckiej ojczyźnie.

Heine zawsze z największą miłością wspominał matkę i kraj rodzinny.

„Düsseldorf jest bardzo piękny — pisał — i gdy się o nim myśli na obczyźnie i przypadkowo w nim się urodziło, dziwnie się człowiekowi robi na duszy. Jam się tam urodził i zdaje mi się, jakbym miał zaraz wrócić do domu. A jeśli mówię o powrocie do domu, to myślę o ulicy Bolken i o domu, gdzie się urodziłem”.

Wspomnienia dni pierwszej młodości, owego domu na Bolkenstrasse Nr. 602, placu zamkowego w Düsseldorfie,

francuzkiego najazdu, bytności cesarza, który, dwukrotnie w 1811 i 1812 Düsseldorf zwiedzał, stanowią najpiękniejsze rozdziały „Obrazów z podróży” Heinego. Wszystko cokolwiek o młodości poety wiemy, zawdzięczamy owym notatkom, w których, poezya i prawda, jakkolwiek szczerze, jednak nie tak ściśle ze sobą są skojarzone, aby nie można było jednej od drugiej oddzielić, gdzie chodzi o wiadomości ważniejsze.

Początkowo posyłano Heinego do szkoły dla dziewczynek, gdzie, jako czteroletni chłopiec uczył się czytania i pisania z zadziwiającą łatwością. Ważniejszym wszakże od szkoły było wychowanie domowe, pod okiem matki, rodzeństwa, w którym Henryk był najstarszym dzieckiem. Po nim w r. 1800 przyszła na świat siostra Karolina, w 1805 brat jego Gustaw, a w r. 1807 najmłodszy brat poety Maksymilian.

* * *

W dziewiątym roku życia wstąpił Heine do francuzkiego liceum w Düsseldorfie, zakładu naukowego, na wpół duchownego, na wpół wojskowego, zostającego pod kierownictwem katolickiego rektora Schallmeyra. Pedantyczność wykładów nauczycieli, którzy po większej części do stanu duchownego należeli, niezbyt korzystnie na umysł młodzieńca oddziaływała; jednakże wrażenia ztamąd wyniesione pozostały w nim zawsze żywymi, o ile się odnosiły do ulubionych przedmiotów: literatury niemieckiej, poezyi, retoryki, filozofii i historyi.

Z kolegami mało przestawał. Zaledwie wybrał dwóch, lub trzech, z pomiędzy nich, przyjaciół. Znosił niejednokrotnie drwinki i dokuczliwości, które zresztą sam, satyrycznemi swemi uwagami, lub figlami wywoływał. Z owych przyjaciół, jeden Krystyan Sethe pozostał mu wiernym, nawet w latach studenckich.

Do liceum uczęszczał Heine aż do 1815 r. poczem przeznaczono go do zawodu kupieckiego. Uczył się

w szkole handlowej Varrentrappa w Düsseldorfie, przeważnie języków obcych, jeografii, buchalteryi, poczem zabrał go ze sobą ojciec na jarmark do Frankfurtu nad Menem, gdzie się spodziewał odpowiednią wyrobić mu posadę. Wrażenia z owej epoki utrwalił poeta w powieściowym fragmencie „Rabbi z Bacharach”.

Lecz tylko dwa miesiące przebył poeta w starym grodzie kupieckim, a dni czternaście jedynie w kantorze wekslu bogatego bankiera Rindskopfa. Następnie przeniósł się na cztery tygodnie jako ochotnik do sklepu jakiegoś hurtownego kupca korzennego. Powróciwszy do Düsseldorfu, wezwany został przez bogatego wuja Salomona Heinego, który się losem młodzieńca interesować zaczął, do Hamburga. Było to letnią porą 1816 r. Tam pracował w kantorze firmy Hekszer i Comp. której współnikiem był Salomon Heine przez dwa lata. Założył następnie przy pomocy wuja własny interes komisowy towarów angielskich pod firmą „Harry Heine i Comp”.

Lecz już w następnym roku zmuszony był przystąpić do likwidacyi, nie posiadał bowiem talentu do kupieckiego zawodu, jaki mu rodzina koniecznie narzucić pragnęła.

W tym to właśnie czasie poetycka żyłka pierwsze owoce wydawać poczęła.

Według zwierzeń poety, pierwsze jego utwory powstały w r. 1815, drukowane we dwa lata później w hamburskiem piśmie „Der Wächter” pod dziwacznym, z liter rodzinnego miasta i własnego imienia utworzonym anagramem „Sir Freudhold Riesenharf” Pod własnym nazwiskiem nie mógł podówczas poeta drukować swoich utworów. „Ponieważ są to wyłącznie pieśni miłosne — pisze Heine w charakterystycznym liście do przyjaciela Sethe — zaszkodziłyby mi niepomierne; nie mogę ci tego wyłuszczyć tak dokładnie, gdyż nie znasz nastroju ducha, jaki tu panuje.“

Najbardziej mógłby tu zaszkodzić poecie, wuj jego,

Salomon, który pragnął widzieć w Henryku dzielnego kupca, lecz nie zgłodniałego poetę. Po długich wszakże korowodach, w skutek prośb matki, zgodził się Salomon Heine dopomóc synowcowi do kariery naukowej, a udzieliwszy mu potrzebnego funduszu na studia prawnicze, celem pozyskania stopnia doktora, zażądał od poety, aby się poświęcił zawodowi adwokackiemu i następnie osiadł w Hamburgu.

Gdy Heine letnią porą roku 1819 opuszczał Hamburg, aby się w Düsseldorfie przygotować do studyów uniwersyteckich, nosił w sercu zaród pierwszego cierpienia miłosnego, a zarazem przeświadczenie o poetyckiem swem uzdolnieniu. Domyślano się długo, kto był przedmiotem pierwszej miłości poety i utworzono sobie jakąś nigdy nieistniejącą bogdankę w osobie Eweliny v. Geldern. Heine sam pozostawił w tej mierze w wątpliwości wielbicieli jego muzy. Prawdopodobnie, trzecia córka Salomona Heinego, Amelia, była owym ideałem. Wyszła ona następnie za mąż za bogatego właściciela dóbr ziemskich w Prusiech Wschodnich.

* * *

Wspomnienie owej „nieszczęśliwej miłości“ towarzyszyło Heinemu do Bonn, dokąd na uniwersytet się udał. Niebawem wciągnął się tutaj w wir życia studenckiego, a bardziej aniżeli studia prawnicze nęciły poetę wykłady historyczne i germanistyczne Schlegla i Arndta.

Przeważnie August Wilhelm v. Schlegel wywierał wpływ na umysł poety, będący podówczas pod czarodziejskim wrażeniem romantyki. Niewiadomo jednak z jakiego powodu przeniósł się był wkrótce Heine do Gettyngi; lecz i tutaj wykłady historyczne i literackie bardziej mu, aniżeli prawnicze przypadły do gustu.

Trzymał się tutaj zdala od kółek studenckich, mimo to nie uniknął jakiejś sprawy honorowej, następstwem której był pojedynek i consilium abeundi. Udał się

do Berlina, gdzie nowo utworzony podówczas uniwersytet ściągwał do siebie liczne zastępy młodzieży. Życie w stolicy pruskiej porwało poetę w swe tryby, oddalając coraz więcej od studyów prawniczych. Natomiast dla literackiej jego kariery pobyt w Berlinie miał znaczenie stanowcze. Poznał tu na zebraniach „Środowych“ i poetów i pisarzy pierwszorzędnych: Chamisso, Fouqu'ego, Hoffmana, Willibalda Alexis'a, Förstera; utworzył z młodymi poetami Grabbe'm, Robertem, Köchy, Uechtrizem i innymi związek wolnych umysłów; tu za pośrednictwem Varnhagen'a v. Ense i utalentowanej jego małżonki Racheli otworzonym mu został wstęp do wielkich literackich salonów; tutaj także poznał usiłowania swoich współwyznawców, którzy zaczęli wstępować na drogę ścisłego zbratania się z życiem umysłem niemieckim.

„Młoda Palestyna“ która w owej epoce utworzyła „związek dla krzewienia kultury i nauki żydowskiej“, mająca na czele Edwarda Gansa, Leopolda Zunza i Mojżesza Mosera, zaliczyła Heinego do najgorliwszych swych członków. Tu również przykuła go do siebie filozofia Hegla, stojącego podówczas u zenitu swego rozgłosu. Dyalektyka Hegla wywarła przeważny wpływ na umysły młodzieży opętanej więzami romantyki. Przyjąć więc można bez przesady, że wszystkie owe prądy i wpływy pozostawiły niezatarte ślady na dalszej poetyckiej twórczości Heinego.

* * *

Około r. 1821 ukazał się pierwszy zbiorek „Poezyl“ drukowanych poprzednio różnocozasowie w estetyczno-beletrycznym dzienniku Gubitza. Poezye te sprawiły w czytających kołach wielkie wrażenie i zjednały autorowi zaszczytne między młodymi poetami stanowisko. I ci krytycy, którzy się dosyć nieprzychylnie o „Poezjach“ Heinego wyrażali, przyznali wszelako bez ogródek, że pojawiła się nowa, silna, poetycka organizacya, z którą nadal poważnie rachować się przyjdzie.

Życzliwe przyjęcie „Poezycji“ stało się dla Heinego pobudką do dalszej twórczości.

Najprzód wykończył tragedję „Almanzor“ rozpoczętą w Bonn, następnie balladę dramatyczną „Ratcliff“ wykończył w r. 1822 w ciągu dni trzech. Do obu tych tragedj dołączył napisane podówczas poezye pod tytułem: „Liryczne Intermezze“. W kwietniu 1823 ukazał się ów zbiorek i wywołał najsprzeczniesze opinie krytyków. Podczas gdy jedni z zapałem witali w autorze znakomitego poetę, inni odmawiali mu uzdolnienia na polu twórczości dramatycznej.

Przedstawienie „Almanzora“ na deskach dworskiego teatru w Brunświku, 20 Sierpnia 1823 roku, stwierdziło słuszność tej ostatniej opinii.

Niepowodzenie i napaści, jakich ze strony pewnych kół literackich z powodu „Almanzora“ doznał Heine, napełniło duszę poety smutkiem i skłoniło go do wycofania się z wiru stołecznego życia i cofnięcia się do małego miasteczka hanowerskiego Lüneburg, gdzie od lat dwóch rodzice jego przebywali.

Stosunek z młodym Rudolfem Christiani przerywał tam poecie monotonię małomiasteczkowego życia. Z Lüneburga zrobił Heine w Lipcu 1823 roku wycieczkę do Cuxhafen, gdzie poraz pierwszy ujrzał morze. Nerwowy ból głowy, który od lat dziecięcych trapił poetę, zmuszał go do częstych wycieczek do kąpieli morskich. Tu znalazł więcej aniżeli szukał, nową kochankę — morze, które kochał jak własną duszę i którego uroki po raz pierwszy dla ogółu niemieckiego w poezji wysławiać zaczął.

Na jesień tegoż roku pojechał do Hamburga dla porozumienia się z wujem, Salomonem Heine, lecz spotkanie to nie osiągnęło celu. Wuj i synowiec zbyt odmiennych byli usposobień, aby się wzajemnie zrozumieć mogli. Pieńdz miał dla pierwszego wartość nieocenioną, drugi zaś żył tak wystawnie, jakby miał prawo rozporządzać milio-

nami swego krewniaka. W otrzymywanem wsparciu widział nie jałmużnę, lecz niejako przynależną sobie z prawa daninę wdzięczności za splendor, jakim całą rodzinę urokiem swojego imienia otoczył. Tej wdzięczności wszelako bynajmniej wuj nie czuł, a słynne jego odezwanie się: „gdyby ów chłopiec nauczył się czegoś porządnego, nie potrzebowałby pisać książek” dowodzi, że nie poczuwał się bynajmniej do tej chluby, iż miał cenionego poetę za synowca.

Nieporozumienie między nimi zaogniło się pod wpływem rozmaitych plotek, znoszonych do uszu wuja przez gorliwych pośredników, głównie zaś przez szwagrów poety, którzy złośliwe i satyryczne uwagi poety nad Salomonem Heine śpiesznie temuż komunikowali.

Jedynym rezultatem spotkania było podwyższenie poecie pensyi — 400 talarów do 500 rocznie, aż do ukończenia studyów uniwersyteckich.

W tym celu udał się Heine w styczniu 1824 r. ponownie do Gettyngi. „Zmuszony jestem moje już pilniej aniżeli inni studyować — pisał podówczas poeta do przyjaciół — gdyż jak przewiduję, zmuszony będę poświęcić się adwokaturze“.

Nie porzucił wszelako robót poetyckich.

Tu powstał fragment „Rabbi z Bacharach“, tu zrodziły się wielkie plany nowej Faustowskiej tragedyi i wiele innych poetyckich pomysłów.

W czasie feryj letnich podjął wycieczkę do Turyngii i do Harcu, którą opisał w swoich *Obrazach z Podróży*. Z Harcu przesłał list do Goethego z prośbą o pozwolenie odwiedzenia mistrza. Jakoż odwiedził Weimar, lecz z listów do przyjaciela Mozera nie widać, aby ta wizyta wiele przyjemności poecie sprawiła.

Powróciwszy z podróży zabrał się poeta szczerze do egzaminów, które złożył istotnie 3 maja 1824 r. z dobrym skutkiem. Niemało go ucieszyło, gdy dziekan, profesor Hugo, w mowie swej przy wręczeniu poecie dyplomu do-

ktorskiego przyrównał go do Goethego, który był jednocześnie poetą i prawnikiem.

* * *

Zanim Heine opuścił Gettynę i uniwersytet załatwił jeszcze jedną sprawę, która go w owym czasie wielce zajmowała. Przeszedł bowiem na łono religii chrześcijańskiej, w kościele protestanckim. Chrzest odbył się w ciichości. Zamiast dotychczasowego imienia Harry, przyjął Heine imiona: Christian, Jan, Henryk, aby tym sposobem dać poznać ogółowi, że odtąd należy do chrześcijańsko-germańskiego narodu.

Chrzest ten nie był rezultatem przekonań, lecz miał na widoku cele praktyczne, pozyskania w Prusiech posady, odmawianej wyznawcom starego zakonu. Widoki te nie urzeczywistniły się i w sercu Heinego powstał rozbrat między wspomnieniami wiary przodków a większą skłonnością do katolicyzmu, którą niejednokrotnie w listach do przyjaciół ujawniał.

Rodzina przyjęła tę wiadomość o nawróceniu się Heinego na chrystyanizm z rezygnacją, a nawet Salomon Heine przysłał poecie fundusz na podróż, aby się pokrzepił po trudnych robotach egzaminowych. W m. sierpniu 1823 r. udał się Heine do Norderney, gdzie napisał cykl hymnów morskich „Nordseebilder“, ogłoszonych wkrótce w berlińskim czasopiśmie „Gesellschaft“ i życzliwie przez ogół przyjętych.

Powróciwszy do Hamburga, porzucił Heine wszelkie projekta adwokatury. Obudził się w nim nanowo poeta. Lecz krok ten poróżnił go z rodziną, a przede wszystkim z Salomonem Heine, który z żalem widział rozwiane swoje widoki, jakie co do kupieckiej karyery Henryka sobie roił. Położenie Heinego nie było zazdrości godnem. Wszystkie widoki, jakie sam żywił na przyszłość i jakie sobie co do niego snuli przyjaciele, rozwiały się. Jeden tylko cel jaśniał przed oczyma duszy jego: stać się wielkim poetą i przywódcą opozycji liberalnej.

Aby zjednać dla tego celu swą rodzinę, postanowił wydać dzieło, któreby imię jego nowym otoczyło blaskiem i rozniosło jego chwałę po szerokich kołach. Tak powstały „Obrazy z podróży“ których tom pierwszy ukazał się w maju 1826 r. u Campego w Hamburgu, złożony z cyklu pieśni „Powrót“ „Wycieczki do Harcu“ „Obrazów z morza północnego“ i innych poezyj. Wrażenie wywołane przez to dzieło w cichej ówczesnej epoce było niezwykłym.

Czytano je wszędzie w Niemczech i jako zjawiskowe uznano. Bardziej aniżeli poezjami, wstawił się Heine swemi „Obrazami z podróży“.

Honorarium otrzymane za ów utwór posłużyło poecie do podjęcia w następnym roku ponownej wycieczki do Norderney i tam stworzył drugi cykl „Obrazów morskich“, poczem powrócił do rodziców i zajął się wydawnictwem drugiego tomu „Reisebilder“, w którym pomieścił „Idee, księgę le Grand“, wspomniany cykl obrazów morskich i listy z Berlina, a nadto, pragnąc utworzyć coś niebywałego we współczesnej literaturze prosił Varnhagena v. Ense, Mosera i Karola Immermana o współpracownictwo.

Tylko ten ostatni uczynił życzeniu poety zadość, nadesławszy sporą wiązanekę „Xeniów“ w których zwalczał literackie kierunki epoki Goethego i romantyków. Opancerzona ta książka ukazała się w połowie maja 1827 r. i obudziła większą jeszcze aniżeli tom poprzedni sensację. Przyjęcie jednak nie wszędzie było jednakiem. Zakazano książkę w wielu państwach niemieckich, co naturalnie jeszcze większą do poznania jej obudziło ciekawość.

* * *

Ubóstwienie Napoleona, wyrażone tak dosadnie w księdze le Grand nie udzieliło się wszystkim w jednakiej mierze i później również nie wybaczone poecie jego kultu Napoleńskiego. Natomiast sympatya Heinego dla idei 1789 r. znalazła oddźwięk w sercach współczesnej mło-

dzieży. Była to dla Niemiec smutna epoka, wówczas, gdy się ukazał tom drugi *Reisebilder* i Heine dla uniknięcia następstw zapałów rewolucyjnych, uznał za stosowne usunąć się na czas pewien z widowni Niemiec.

Anglia, obiecana ziemia wolności, była już oddawna przedmiotem jego tęsknoty. Wrażenia, odebrane w Londynie, skryształizował poeta w „angielskich fragmentach”. Życie angielskie, owo targowisko wszystkich pragnień materyalnych i żądzy bogactw, nie przypadło wprawdzie do smaku poecie, zostającemu podówczas pod czarem i zaklęciem woni lasów i blasków księżycowych, które mu stokroć świetniejszymi się wydawały, aniżeli zewnętrzne pozory świetności i potęgi kapitałów wyspiarzy. Nie oczarowały go również uroki ówczesnej literatury pięknej w Anglii. Jedynie silnie rozwinięte życie polityczne imponowało mu swoją wszechwładzą. Całymi dniami przesiadywał na galeryi parlamentu, przysłuchując się mowom angielskich mężów stanu, przedewszystkiem Jerzego Canninga, znakomitego bojownika emancypacyi katolików. Tam to, w kaplicy Ś. Stefana, obudziło się w Heinem po raz pierwszy pragnienie stania się przedstawicielem praw ludu i podnoszenia głosu w sprawie pokrzywdzonych praw ludzkości.

Po powrocie z Londynu znowu przyszło między wujem a siostrzeńcem do seysyj. Aby uczynić nareszcie woli opiekuna zadość, starał się Heine o posadę w syndykacie Hamburga, lecz myśl tę, jak zwykle, porzucił, nie chcąc się wiązać poziomymi warunkami zawodu urzędniczego.

„Księga pieśni”, którą podówczas wydał i w niej ujawnił skończony wzór poetyckiej indywidualności, stanowiła dowód, że był poetą „z łaski Bożej i z muz łaski”.

Wszystkie najróżnorodniejsze okazy jego twórczości znalazły w tej księdze świetne odzwierciedlenie. Nie były

to już pojedyncze kwiatki, rozrzucone po rozmaitych polach, lecz wspaniały pełen woni trawnik, obsiany stulistnemi różami.

Zewsząd posypały się propozycje nakładców, pragnących korzystać z rozgłosu imienia poety. Wybrał on z pomiędzy wielu projekt redagowania wspólnie z dr. Lindnerem „Roczników ogólnych politycznych” za co miał otrzymywać 2000 guldenów rocznie. W r. 1827 przesiedlił się Heine do Monachium.

Okazało się jednak niebawem, że nie dostawało poecie najważniejszych zalet redaktora: punktualności i wytrwałości. I „Roczniki” nie znalazły spodziewanego powodzenia i mało mu przynosiły. Pozostawała jedynie nadzieja w widokach pozyskania katedry profesorskiej, przyrzeczonej mu przez ministra bawarskiego, Schenka. Oczekując decyzji królewskiej, wybrał się tymczasem poeta do Włoch.

„Po nad grobem moich życzeń przeciągnęła nadzieja swoją uroczą zieleń, i melodye poezyi wróciły, jak one ptaki wędrowne, co to spędziwszy zimę na południu, odszukują na nowo opuszczone gniazdo, więc i opuszczone północne serce brzmiało i kwitło jak ongi”. Tak malował Heine w szkicu „Włochy” ową epokę, gdy towarzyszył „wawrzynem okrytemu bożkowi wiosny” do krainy poetów i artystów. Owa podróż z Monachium do Genui i pobyt w kąpielach Lukki stanowią przedmiot uroczego opisu. Nieszczęściem dalszą podróż poety przerwała wiadomość o chorobie ojca. W Wenecyi zaskoczyła go żalobna wieść, że ojciec już nie żyje.

* * *

Heine kochał ojca serdecznie a zgon jego wprowadził go w smutek niewypowiedziany. „Nie mogłem nigdy przeboleć tej straty”—pisał w lat trzydzieści później do przyjaciela.

W „Pamiętnikach“ tak się o nim wyraża: Był to ze wszystkich ludzi, najbardziej przezemnie kochany. Nie żyje już od lat 25. Nigdy nie sądził, że go kiedyś utracę, i teraz za ledwie temu wierzyć mogę, że go utraciłem naprawdę. Tak to trudno wierzyć w śmierć osób, które się kochało serdecznie. Lecz one nie umierają: żyją w nas i mieszkają w duszy naszej. Nie minęła odtąd ani jedna noc, abym nie myślał o ojcu, a gdy rano wstaję, zdaję mi się, że słyszę dźwięk głosu jego, jakby dalekie echo senne. I wtedy zdaje mi się, że muszę się szybko ubrać i zbież do ojca, do wielkiej komnaty, jak to za lat chłopięcych czyniłem“.

I wiele czasu ubiegło, zanim poeta obudził się z odrętwienia po owej stracie i do nowej zabrał twórczości. Pojechał najprzód do Berlina, następnie do Poczdamu, gdzie wykończył tom trzeci „Reisebilder.“

W początkach r. 1830 ukazał się ów tom w druku i wywołał tym razem stanowcze przeciw sobie oburzenie.

Potępiano szczególnie napady na Augusta hr. Platena, wypowiedziane w formie ostrej i obraźliwej. Najgorszym było to, że Heine lekkomyślnymi wzmiankami o gorszącym grzechu, wysławianym dosyć dwuznacznie w poezjach Platena, osłabił ostrze swojej dosyć zresztą usprawiedliwionej satyry. Przeciwnicy Heinego stracili z uwagi, że hr. Platen był tu stroną zaczepną, że w listach swoich i odezwanianach się w Monachium i we Włoszech, złośliwie traktował poetę, że następnie w „romantycznym Edypie“ wystąpił przeciw Immermanowi i Heinemu tak napastniczo, że ostra odpowiedź była niemal konieczną. Najbardziej obrażało Heinego, gdy go kto nazwał żydem, w tem ordynarnem znaczeniu, jakie nienawiść temu wyrazowi nadawać zwykła. I to właśnie uczynił Platen, nazwawszy Heinego „Pindarem z pokolenia Benjamina“ „Petrarką święta namiotów“, którego pocałunki „trącą czosnkiem“ i t. d.

Na tak gruby klin, trzeba było odpowiedniego użyć klina...

Rozgoryczony temi złośliwemi zaczepkami cofnął się znowu poeta na „samotną skałę“, na Helgoland, gdzie go zaskoczyła wiadomość o rewolucyi lipcowej w Paryżu. Przyjął on ją z entuzjazmem, jako zapowiedź nowego porządku rzeczy w Europie. Sądził, że z Paryża wyjdzie hasło odrodzenia świata i dlatego na cześć dni lipcowych wyśpiewał gorące hymny.

Odrodzony na duchu podjął nanowo broń satyry i stając w obronie upośledzonych wyrzucił z piersi krzyk oburzenia i protestu przeciw klasie uprzywilejowanej, w piśmie „Kahldorf o szlachcie“ w listach do hr. Magnusa v. Moltke, który, jako duński hrabia, swoje arystokratyczne poglądy wypowiedział w broszurze: o szlachcie i jej stosunku do mieszczaństwa.

Skutkiem takiego otwartego przyłączenia się do francuzkiego „liberalizmu“ zamknął sobie poeta drogę do rodzinnego kraju i zmuszony był obrać Paryż za stałą siedzibę.

* * *

Widok owego nowożytnego Babilonu i życie gwarne stolicy oszołomiły poetę swemi urokami.

„Znalazłem wszystko tak zabawnem, i niebo było tak niebieskie i powietrze tak miłe, tak szlachetne a przytem igrały tu i tam płomyki lipcowego słońca. Usta pięknej Lutecyi czerwone były jeszcze od ognistych całusów tego słońca a na jej piersi nie zwiądł jeszcze bukiet oblu-bienicy“.

Nie odrazu jednak obudził się w Heinem popęd do twórczości pod wpływem nowych wrażeń. Muza zamilkła na chwilę a natomiast cofnąwszy się w krainę sztuki, zaczął nadsyłać do pism sprawozdania z paryzkiego Salonu 1831 r. w których nierzadko odzywa się głos trybuna politycznego i proroka przyszłości, następnie zaś w „Spra-

wach francuzkich“ („Französische Zustände“) głos baczego obserwatora stosunków i sytuacji wytworzonych we Francyi pod wpływem monarchii lipcowej, wszystko okraszone tym dowcipem niezrównanym i wdziękiem formy, do jakich pisarze niemieccy swoich rodaków nie przyzwyczaili.

Wrażliwa natura poety nie odznaczała się stałością politycznych przekonań i to właśnie było powodem, że partya czerwona, która z razu około Heinego się zgrupowała i o której Börne się wyraził: że zastał u Heinego „taką menażeryę, jakiej w Jardin des plantes znaleźć niepodobna“ powoli od trybuna demokracji oddalać się zaczęła wywoławszy z ust poety tę sarkastyczną uwagę: że gdyby go król wziął i uściskał za rękę, byłby tę rękę włożył natychniast w ogień; lecz gdyby tę rękę uściskał lud, byłby ją umył bezzwłocznie“.

Od owego też czasu datuje się rozdwojenie między Heinem i Börnem, rozdwojenie, którego przyczyn szukają jedni w zgryźliwym usposobieniu Börnego, inni zaś, w lekomyślności i warcholstwie jego towarzysza wygnania.

Jakkolwiekby, prędzej, czy później, musiał Heine przyjść do przeświadczenia, że rola politycznego agitatora dla niego stworzoną nie była. Chcąc jednak zużytkować te siły, jakimi go muza obdarzyła i zapewnić sobie warunki na innem, odpowiedniem swemu usposobieniu polu, postanowił Heine stać się pośrednikiem między duchowym światem Francyi i Niemiec, wyjaśniając czytającemu ogółowi obu narodów to wszystko, cokolwiek dla spełnienia tak podniosłej myśli niezbędnem okazać się mogło.

Od owej też epoki datuje się przystąpienie Heinego do szkoły St. Simona, do której najlepsze umysły ówczesnej Francyi: St. Armand Bazard, Barthelemy, Prosper Enfantin, Michał Chevalier, Piotr Leroux, Olind Rodriguez, Hipolit Carnot i inne należały.

Przemawia to dobrze za jasnością umysłu poety, że umiał pożywne ziarno zawarte w mglistej obłoczce mrzonek

St. Simonizmu wydobyć na widownię i oddzielić je od doktryn, dotyczących polityki i pojęć o własności, wymagających troskliwszego zgłębienia.

Misyę duchowego pośrednika między Francją a Niemcami spełniał Heine w pracach pomieszczanych w czasopiśmie Wiktora Bohain: „Europe littéraire“ a następnie w Revue des deux mondes, gdzie dawniejsze swoje utwory niemieckie we własnym przekładzie na francuzki zamieszczał. Od owego to czasu datuje się również szeroka popularność nazwiska Heinego, zaliczonego przez francuzów do gwiazd pierwszorzędnej wielkości poetyckiego parnasu Europy.

* * *

Inaczej ukształtowało się stanowisko Heinego w Niemczech.

Z każdym rokiem zwiększała się tu liczba jego przeciwników, z każdym rokiem większe zapory stawiały władze rozpowszechnianiu się pism poety. Łatwo tedy zrozumieć gorycz, z jaką Heine o swoich rodakach się odzywał, pomimo całej miłości do ojczyzny, której w pismach swoich i działaniach niezbite dawał dowody. Łatwo też zrozumieć oburzenie tak zwanych „młodych Niemiec“, na czele których stali: Karol Gutzkow, Henryk Laube, Teodor Mundt, Ludwig Wienbarg i Gustaw Kühne, ilekroć przeciwko Heinemu zwracały się pociski ze strony umysłów poziomych, żądnych rozgłosu i odznaczeń, a przede wszystkim powodowanych ślepą nienawiścią do tych, co wolniejszym oddychać pragnęli powietrzem. Do rzędu takich warchołów należał Wolfgang Menzel, który swemi denuncjacjami zamieszczanymi w reakcyjnym piśmie Litteraturblatt przeciwko partyi „młodych Niemiec“ spowodował Bundestag frankfurcki do wydania pamiętnej uchwały z r. 1835 (w grudniu), zagrażającej surowemi policyjnemi karami tym wszystkim, co do partyi „młodych Niemiec“ należeli, lub do rozpowszechniania jej utworów się przyczyniali.

Przeciwno tak niesłusznemu ostracyzmowi wystąpił Heine z protestem adresowanym do Bundestagu, a jakkolwiek nie spodziewał się, aby ów protest znalazł dostęp do szpałt pism niemieckich, pragnął wszakże oddziałać tą drogą na prasę europejską i lepsze umysły rodaków. Z tej strony jednak spotkało go rozczarowanie i zawód. Pod grozą interdyktu ogłoszonego przez Bundestag odstrychnęły się od poety zastępy pisarzy niemieckich; natomiast wybrańcze umysły Francji jak: Wiktor Hugo, Alfred de Vigny, Aleksander Dumas, Alfred de Musset, Sainte Beuve, Jerzy Sand, Juliusz Janin, Teofil Gautier, Leon Gozlan, Prosper Merimée, Balzac, Beranger, Eugeniusz Sue, Michelet, Thiers, Mignet, Custine, Berlioz, Halévy, Rossini, Adam, David, Robert de la Roche, Ludwik Blanc, Sandeau, Lamartine, Cousin, Lammenais, słowem, wszystko to, co w ówczesnym literackim i artystycznym świecie jaśniało urokiem talentów i popularności, skupiło się około osoby tak srodze prześladowanego poety.

W tym to również czasie zawiązał on stosunek ściślejszy z Krescencją Eugenią Mirat, dziewczką z Normandyi, przezwaną następnie Matyldą. Nieokrzesane to i namiętne stworzenie obudziło w pociu szczere uczucie przywiązania ku sobie, które wreszcie do cywilnego ślubu zakochaną parę doprowadziło.

Rażącej sprzeczności między usposobieniami dwojga tych istot, ich wykształceniem, pochodzeniem i skłonnościami nie mogło wyrównać nawet długie ich z sobą pożycie i ono to w połączeniu z brakiem odpowiednich środków utrzymania stało się powodem zgryzot poety i trapiącej go przez życie całej niedoli. Pensya roczna w summie 4,800 fr. przez Salomona Heine Henrykowi wyznaczona, jak również sprzedaż księgarzowi Campemu praw do wydawnictw dzieł poety na lat jedenaście za summe 20 tysięcy franków, nie były w stanie zaspokoić wydatków domowych z każdym zwiększającym się rokiem.

To krytyczne położenie skłoniło Heinego do przyjęcia od rządu francuzkiego pensyi rocznej, wydzielanej ze skarbcza tym wszystkim cudzoziemcom „którzy się swemi czynami w sprawie rewolucyi we własnym kraju skompromitowali i szukali gościnności na francuzkiej ziemi“.

Fakt przyjęcia owej „allocution annuelle d'une pension de secours“, z jakiej korzystali wygnańcy wszystkich prawie krajów: pisarze, wodzowie, uczeni, słowem „arystokracja znakomitości talentów i niedoli“ wywołał gromy oskarżenia przeciw Heinemu o „zradę kraju“, jakkolwiek postępek poety, bądźcobądź, z moralnych pobudek usprawiedliwić się niedający, nie był znów tak haniebnym, za jaki go rzekomi patryoci niemieccy okrzyczeli i tłumaczy się pojęciami epoki, które w tego rodzaju wsparciu widziały rodzaj zaszczytnego odznaczenia, a nie jurgielt, w widokach okupu względów, lub też mileżenia.

Niemniej głośnem stało się oburzenie przeciw poecie z powodu książki „o Ludwiku Börnem,“ wydanej w rodzaju nekrologu nad grobem pisarza, który swemi wycieczkami przeciw poecie bardzo mu dokuczył. Książka ta wywołała istną powódź inwektyw przeciw Heinemu, nawet ze strony dobrych jego przyjaciół i stała się powodem pojedynku między nim a mężem dotkniętej w broszurze przyjaciółki Börnego pani Wohl.

Pojedynek odbył się 7 września 1841 r. w dolinie S.-Germain. Heine został lekko raniony w biodro, sam zaś strzelił w powietrze.

Troska o zapewnienie skromnego choćby utrzymania Matyldzie, z którą się ślubnym węzłem w kościele Ś. Juliana w r. 1841 z dyspensy arcybiskupiej połączył, skłoniła Heinego do podjęcia się rozmaitych prac dla wydawców paryzkich. Różnolitość traktowanych przedmiotów obudziła nowy zarzut, iż poeta pracuje lekko i powierzchownie. Zarzut to bezzasadny. Żaden poeta nie pracował tak gorliwie nad swemi utworami, żaden nie studyo-

wał tak gruntownie źródeł pomocniczych po bibliotekach przed zabraniem się do jakiego przedmiotu jak Heine. Nawet w owych na pozór leciutkich jak technienie wietrzyka poetyckich fragmentach, jak dowodzą bruliony, były ślady nieustannej troskliwości poety o kunsztowne wykończenie wyrażen i szczegółów.

* * *

Tymczasem w politycznych i literackich stosunkach Niemiec zaszedł przewrót niespodziewany. Z wstąpieniem na tron pruski Fryderyka Wilhelma IV obudziły się w wolnomyślnych kołach nowe nadzieje. Porzuciwszy niedościgłe ideały, zajęły się one konkretniejszemi wymogami. Poezya zaniechała obszarów księżycowych, niebieskich kwiatów, elfów, niksów i średniowiecznych rycerzy i zapragnęła nadać poetyczny wyraz nowym dążeniom wieku. Hasłem jej stała się wolność, witana z zapalem przez młodsze pokolenie. Heine z oddali przypatrywał się temu ruchowi, z niedowierzaniem upatrując w nim grób prawdziwej poezyi. Pod takim wpływem napisał małe epos „Atta Troll“, zwrócone ostrzem przeciw poezyi tendencyjnej. Heine sam, jako poeta z Bożej łaski, nie mógł obojętnie przysłuchiwać się tonom rymowanym artykułów wstępnych gazet i mów parlamentarnych. Odwieczne prawa poezyi zdawały mu się być przez ową nową szkołę politycznej liryki nadwerżonemi.

Poeta i polityk były to dlań osobistości zupełnie odmienne, których sfery działania w jednym miejscu kojarzyć się nie mogły. „Parnas, pisał — musi być wygładzony, zniwelowany, zmakademizowany i gdzie ongi wdrapywał się poeta, podsluchując śpiewu słowików, tam niezadługo powstanie trakt płaski, kolej żelazna, gdzie kocioł dymi i przebiega przed oczyma tłumów... Dlaczego opiewać różę? Arystokrato! Nuć hymny demokratycznemu kartoflowi, żywiącemu lud!“ Protestem przeciw tym ideom był „Atta Troll“ pisany w wyższych Pireneach, pod-

czas pobytu letniego, w epoce, gdy „opozycya sprzedawała własną skórę, poezją się stając“.

Podęjrzenie o przენiewierstwo sprawie wolności, podniesione przeciw poecie z powodu „Atta Troll“ zniweczył Heine nowym satyrycznym poematem „Niemcy — baśń zimowa“ wydanym w r. 1844, a będącym dowodem nieosłabłej siły twórczej i wyrazem istotnych jego przekonań. Z powodu wzmianki Armanda Marrasta, zamieszczonej w demokratycznym National, iż „Heine wydrukował poemat „Niemcy“ lecz nie może nadal służyć partyi liberalnej, ponieważ nazwał Lammenai'go prêtre abominable i szydził tylokrotnie z republikańców w Gazecie Augsburskiej,“ chciał Heine wyzwąć Marrasta na pojedynek, lecz Arnold Ruge wdał się w tę sprawę i spowodował Marrasta do odwołania krzywdzącej poetę opinii.

Nowym ciosem dla Heinego był testament zmarłego Salomona Heinego, w którym obok olbrzymich zapisów na cele dobroczynne znajdował się jedynie skromny legat 8000 marek i wiadomość o odmowie płacenia dalszej renty ze strony uniwersalnego spadkobiercy zmarłego, wuja poety, Karola Heinego.

* * *

Na domiar wszystkich przeciwności, zdrowie poety, zwykle nieświetne, pogorszać się zaczęło. Paraliż oczu, stopniowo rozszerzający się na pierś i tył głowy, poważnym życiu Heinego zagroził niebezpieczeństwem.

Pragnął udać się po ratunek do Berlina, do d-ra Dieffenbacha, lecz mimo wstawienia się Aleksandra Humboldta, rząd pruski z wrodzoną sobie bezwzględnością wstępu poecie do ojczyzny odmówił na zawsze.

Pod wrażeniem tych ciosów sporządził poeta testament i zapisał całą skromną chudobę swoją, żonie. Za wdaniem się przyjaciół i Karol Heine, uniwersalny spadkobierca, zmiękł nieco w swej surowości i zobowiązał się nadal płacić poecie dożywotnią rentę a następnie po zgonie jego, — rentę

tą otrzymywać miała wdowa, pod tym wyraźnym warunkiem, aby odtąd poeta w pismach swoich nie uwłaczającego rodzinie donataryusza nie zamieszczał.

Rok 1848 zastał Heinego na łożu boleści i choroby, z której już podźwignąć się nie miał. Straszliwe cierpienia toczyły jego ciało, doprowadzały do ostatecznego wycieńczenia i apatyi, a jednak i w owych chwilach marzył poeta o nowych utworach i snuł plany do nowych poematów... Zdawało mu się, że jest już duchem i spogląda z wyżyn na obumarłe ciało swoje. Cały oddany marzeniom o przeszłości, opisywał odwiedzającym go wszystkie widziadła swej fantazyi i pokusy do samobójstwa, od których go jedynie myśl o ukochanej żonie i o dziatwie poetyckiej odwodziły.

„Jakże to straszne! — tak mówił do odwiedzającego go poety Meissnera—pomyśl tylko o Guntherze, Bürgerze, Kleiście, Hörderlinie, Grabbem i o nieszczęśliwym Lenau... Jakaś klątwa spoczywa widocznie na poetach niemieckich!”

Rozmyślania samotne na łożu boleści sprowadziły przewrót w religijnych przekonaniach Heinego. Stał się deistą, nie pod wpływem przeczucia blizkiego już końca cierpień, lecz w skutek długich walk wewnętrznych i bezowocnych metafizycznych dociekań, po za którymi widział tylko niczem niezapełnioną próżnię.

A jednak z owego konającego ducha jak skrzydlate ptactwo wybiegły podówczas na świat nieśmiertelne utwory Heinego, w rodzaju: *Romanzero* i *Bogów* na wygnaniu. U łoża śmierci poety staje również postać kobieca Kamilla Selden, żartobliwie *la Mouche* nazwana, aby swą obecnością stwierdzić, że Heine przez życie całe hołdując kobietom nawet nad grobem jeszcze najcudniejsze snuł dla nich pieśni. Wyobraźnia biografów na tem tle stosunku umierającego człowieka do niepięknej i niemłodej już kobiety usnuła tkanekę plotek, którym jednak rzeczywistość zaprzeczyła.

Na krótko przed zgonem doczekał się poeta tej pociechy, iż przybyło doń z Kolonii kółko śpiewacze i cichym śpiewem zaintonowało wszystkie owe cudne pieśni, którym Mendelsohn Bartholdi dał tak harmonijną szatę.

Dzień 17 lutego 1856 r. był ostatnim kresem wędrówki ziemskiej Heinego.

Zasnął spokojnie, w ostatnich już chwilach wyciągając ręce po ołówek, aby utrwalić poetycką myśl, jaka mu się przewinęła przez głowę.

Zwłoki jego, odprowadzone na miejsce wiecznego spoczynku przez pierwszorzędne znakomitości Francji, spoczęły pod płaczącą wierzbą, w ukryciu, na cmentarzu Montmartre, w Paryżu. Na grobowym kamieniu czernieją tylko słowa: Henri Heine.

* * *

W literaturze naszej nie posiadamy dokładnego opracowania życiorysu Heinego, pomimo, że nazwisko poety popularniejszym jest u nas, aniżeli któregoś z pieśniarzy obcych, niemieckich zwłaszcza. Zatytułowana szumnym mianem „portretu“ rozprawka, jest mniej lub więcej zręczną wiązańką górnolotnych frazesów, lecz nie odtwarza ani jednego charakterystycznego rysu, z któregoby można było poznać Heinego, nietylko jako poetę, lecz jako człowieka. Portret ów nasuwa na myśl anekdotę o węgrzu, który polecił malarzowi naszkicować wizerunek zmarłego ojca „z pamięci“ a ujrzawszy owe rysy dowolne, w niczem nieprzypominające pierwowzoru, zawołał: „O mój ojcie! Jakżeś ty się po śmierci odmienił!“

Aby nakreślić „portret“ poety, ze wszystkimi charakterystycznymi rysami jego fizycznej i duchowej fizyognomii, należy zgłębić jego utwory, rozumieć je tak, jak należy, posiadać umysł wyższy, zdolny do odczuwania poetyckich wrażeń, być jednym słowem w duszy własnej poetą...

Kto tego bożego nie posiada daru, będzie mógł się zachwycać zewnętrzną formą utworów odtwarzanego pisarza, lecz do zrozumienia treści tych utworów, ich doniosłości i znaczenia, nie dostąpi nigdy!

Podniosłe stanowisko Heinego w literaturze wszechświatowej polega na dodatnim wpływie, jaki jego utwory na umysły ludzi dojrzałych wywierają. Odślaniają im one nowe światy pojęć humanitarnych, rozszerzają i pogłębiają te, jakie bezwiednie na dnie duszy ludzkiej, tęskniącej do światła i prawdy, spoczywają.

„Heine — temi słowy określa znaczenie poety Al. Świętochowski — to już nie nazwisko jednego poety, to imię rodzaju, szkoły, kierunku, to blask, który mieni się tysiącem barw, stopionych w jeden olśniewający kolor, to słowo, które dźwięczy tysiącem uczuć i myśli głębokich, wiecznie żywych, jak świetne rzęsiste iskry rozsypane po horyzoncie ducha ludzkiego. Na zaklęcie tego czarodziejskiego słowa, serca się otwierają, drżą, silniej biją. Jeszcze człowiek który to nazwisko nosił, nie zniknął z pamięci żyjących, a już ono imieniem własnem być przestało. Błogosławione niech będzie łono ludzkości, które takie dzieci rodzi. One są jej dumą, pociechą, promieniem światłem, którego smuga daleko w zaciemnioną przyszłość pada i postępującym ku niej pokoleniom drogę roznieca. „Bogowie, nie proszę was o młodość, lecz zostawcie mi cnoty młodości, bezinteresowny gniew, bezinteresowną złość! Niechaj nie będę starym hałaśnikiem, który z zazdrości na młode dusze burczy, lub niedołążnym gderaczem, który do dobrych dawnych czasów ustawicznie wzdycha. Niech będę starcem, który kocha młodość i mimo osłabienia wieku ciągle bierze udział w jej zabawach i niebezpieczeństwach. Niech mój głos drży i trzęsie się, aby tylko myśl moich słów pozostała świeża i nieustraszona”.

„Mogliby bogowie pochwalić się, że dali mu to, o co prosił. Myśl bowiem jego słów pozostała dotąd nieustraszoną i świeżą, chociaż przeszło pół wieku upłynęło od

chwili, gdy poeta ogłosił „pierwsze pocałunki, jakie niemiecka muza wypaliła na jego duszy”. Kwiaty jego poezyi nie zbladły, natchnienia nie omdlały, uczucia nie oziębły. Zdaje się, że wczoraj dopiero ten słowik odśpiewał swoje trele miłosne, że wczoraj oskubawszy gałązki róży z listków pokrwaził ich cierniami pieśń puchaczów...“

„Heine żył z muzami w poligamii, miał ich kilka; jedną wszakże z najpiękniejszych jest bezwątpienia liryczna. Ze smutną, pochyloną twarzą, jak oblicze poety na okładkach jego dzieł przedstawione, śpiewa ona tęskne, rzewne rozplakane pieśni miłości, splecione z tonów żalu, rozkosznych wspomnień, nadziei lub rozpacz. Tony te rozlegają się zwykle wśród upajającej woni kwiatów, blasku słońca, lub łagodnej jasności księżyca, wśród świeżego powiewu pól i lasów, wśród wszystkich wreszcie tych uroków „wiosny”, którymi poeta tak lubił się otaczać. Ta to elegijna muza najsilniej przyciągała zawsze polskich tłumaczy, którzy zatykając uszy przed szyderczym ostrym śmiechem Heinego, lub zasłaniając oczy przed jego nagością, chętnie przeprowadzali do naszej literatury czysty, łagodny strumień jego lirycznych natchnień“.

* * *

Dlaczego nazwisko Heinego, pomimo uroku, jaki je otacza, budzi w pewnych sferach święte oburzenie jako symbol „słodkiej trucizny“.

Heine, mówią świętoszkowie, był człowiekiem wyuzdanych namiętności, cynikiem, dla którego nie było nic świętego pod słońcem... Wszystko, cokolwiek świat przywykł czcić i za świętość uważać, miało być jakoby celem pocisków nieokiełznanego umysłu Heinego... Jego Weltschmerz był fałszywym, jego zachwyty nieszczerem, jego dowcipy i żarty kolącemi, jego muza podkaszana, jak tancerka w Mabilie...

Czy Heine potrzebuje obrony wobec tego rodzaju zarzutów? Czy nie bronią go dzieła jego własne, te dzie-

ła, w których jak w urnie spoczywają najcenniejsze, najdroższe popioły uczuć, jakimi kiedykolwiek dusza ludzka pochlubić się mogła! Nikt z pisarzy nie odczuwał tak szczerze, tak głęboko, wszystkich nędz trapiących ludzkość. Nikt z pisarzy nie wlał w serca tyle nadziei i pogody w spoglądaniu w przyszłość, jak właśnie ta zgorzkniała muza poety... Ironia i sarkazm są częstokroć równie skuteczną bronią w walce z przesądami, głupotą i niczemnością, jak głos powagi i surowości z katedr, trybun i kazalnicy, do serc i umysłów przemawiający. Kłąć zaś temperamentowi pisarza wędzidła i przepisywać mu w jakiej formie swoje przekonania wygłaszać powinien — nie leży bynajmniej ani w zakresie możliwości, ani też potrzeby.

Co do niemoralnego życia poety — obrona w tej mierze zbyteczna. Pomijając już, że ci, którzy małam notam sprawowaniu się poety stawiają, żadnych w poparciu swoich zarzutów nie składają dowodów, jest jeszcze otwarta do dyskusji kwestya: czyli życie prywatne, zakulisowe, czyli alkoowa, mogą wchodzić w rachubę, przy układaniu bilansu umysłowej wartości człowieka? Postaci posągowe należy tylko rozpatrywać w granicach od głowy — do serca. Reszta — nikogo nie obchodzi w niczem... Klasyczne wzory rzeźb obejmują tylko popiersia wielkich ludzi i w tem właśnie tkwi symboliczne znaczenie owych płaszczy zarzucanych na ramiona posągów, ilekroć chcemy je w całkowitej przedstawić postaci...

* * *

I najbogatsze literatury nie mogą żyć własnymi sokami, lecz muszą się odżywiać pierwiastkami z innych piśmienictw czerpanemi.

Pomimo wielkiej liczby przekładów rozmaitych fragmentów Heinego, literatura nasza nie zdobyła się dotychczas na wydawnictwo obszerniejsze, w któremby przynajmniej utwory najważniejsze tego poety pomieszczone były.

Przekłady prozy Heinowskiej jakkolwiek do trudniejszych należą, ze względu na błyskotliwy styl pisarza, jego oryginalne zwroty, dokładnie w obcym języku wyrazić się niedające, nie nastroczają wszelako takich niezwalczonych częstokroć trudności, ile utwory poetyczne, — liryki. Przekład, choćby najwierniejszy, nigdy nie jest w stanie dorównać oryginałowi, zbywa mu na tych właściwościach oryginału, stanowiących jego wdzięk i charakterystykę.

Nie bez słuszności wynurzyć można opinię, że najlepszy t. j. dosłowny przekład, jest częstokroć najgorszym. Owa słownikowa wierność tamuje polot ducha, zaciera urok oryginału i sam przekład czyni niesmacznym i trywialnym...

Dowcipnie powiedział ktoś o przekładach wogóle, że są to dywany, odwrotną obrócone stroną... Deseń i ściąg pozostają też same, lecz zamiast kolorytu jednostajnego widać tylko krzyżową robotę i ślady szydełka...

Nie kusząc się o niemożliwą doskonałość przekładów podajemy w niniejszym zbiorze takie jedynie, w którychby każdy, znający oryginał mógł odnaleźć charakterystyczne właściwości poety, nieznający zaś oryginału mógł się posiłkować przekładem, odtwarzającym właściwości tegoż oryginału w sposób możliwie dokładny.

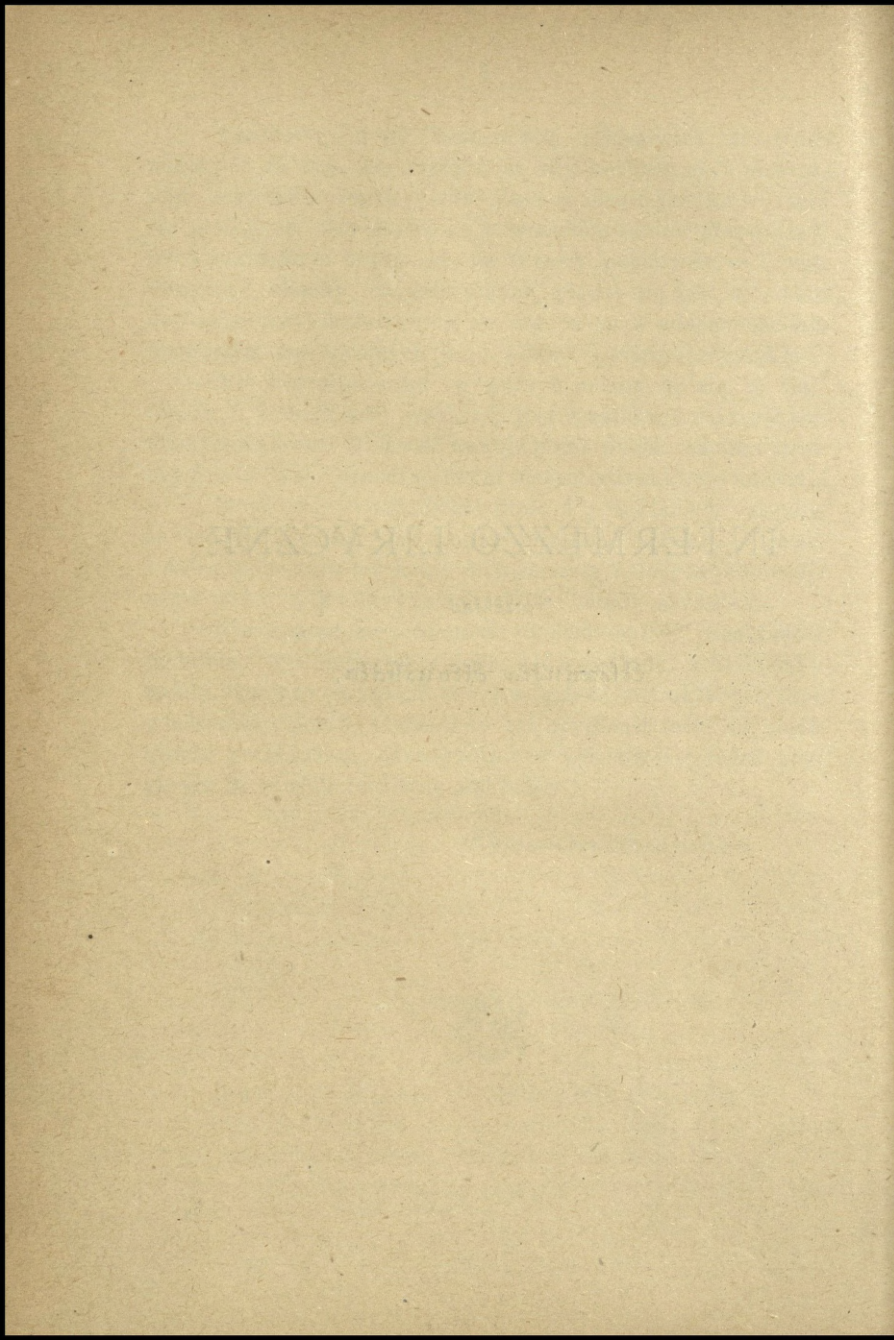
Alexander Kraushar.



INTERMEZZO LIRYCZNE

przekład

Alexandra Kraushar.





PROLOG.

Był ongi rycerz, milezący, smutny,
Blady, wychudły, znękany,
Szedł po pielgrzymce życia pokutnej,
W marzenia swoje wsluchany...
Był tak dziwaczny, niezdarny srodze,
Że gdy dziewczątka spotykał w drodze —
Śmiechem był zawsze witany...

Zdala od ludzi miał swe ustronie,
Gdzie cisza była grobowa;
Tam często w niebo wyciągał dłonie,
Ale nie mówił ni słowa...
Raz północ biła... Wtem dźwięk tajemny
Ozwał się w głuszy i w domek ciemny
Wstąpiła jasność jutrzniowa...

To była Ona — cudnie odziana
Welonem z złotych promieni...
Twarz jej, jak róża świeżo zerwana,
Blaskiem jutrzzenki się mieni...
Wzrok jej tajemne miota zaklęcia,
Więc on i ona w wspólne objęcia,
Padli, tym blaskiem olśnieni...

Rycerz jej szeptuje wyrazy tkliwe,
Ogień ma w oku natchnionem,
A serce jego, przedtem lękliwe,
Od pęt się czuje zwolnionem...
Lecz ona zapal jego uśmierza
I wieńczy z lekka czoło rycerza
Swym brylantowym welonem...

Zdumiony — widzi pałac z kryształu,
Szmer fontann słyszy dokoła...
Zmysły się wonią poją do szalu,
Natchnienia blask bije z czoła...
I w oblubieńca rycerz zmieniony,
Pieści się wzrokiem swej narzeczonej,
Zdradnych ruszałek anioła...

Chór dziewic wodnych rokosznie śpiewa,
Nęcące brzmiań kastaniety...
Rycerz w marzeniach słodko omdlewa,
Drgają w nim zmysłów podniety...
W tem... cichną dźwięki — blask dogorywa,
I rycerz smutny znowu spoczywa
W skromnej izdebce poety...

I.

Gdy nadszedł cudny miesiąc maj
I pękły pączków obśliny,
Wtedy w mem sercu zakwitł kwiat,
Miłością kwiat umajony...

Gdy nadszedł cudny miesiąc maj,
I ptasząt rozbrzmiały pienia,
Wtedy wyznałem przed lubą mą,
Tęsknoty me i pragnienia...

II.

Kwiat z memi łzami się brata,
Świeżuchny, jak ranna rosa...
A z moich westchnień ulata
Słowików chór pod niebiosą...

Jeśli mnie kochasz dziewczeczko,
Kwiatków ci moich użyczę,
I rankiem, pod okieneczko,
Przyfruną chóry słowicze...

III.

Róża i lilja, gołąbek i słońce,
To były ongi mej miłości gońce...
Już ich nie kocham, lecz kocham jedynie:
Małą, milutką, jedyną boginię,
Bo ona jedna — jest miłości szczytem:
Jest różą, lilją, gołąbkiem i świtem...

IV.

Gdy się w twe cudne oczy wpatruję,
Nikną wnet moje cierpienia;
Lecz gdy usteczka twoje całuję,
Boleść ma w zdrowie się zmienia...

Gdy cię dziewczeczko tulę do siebie,
Rajską się karmię słodyczą...
Lecz kiedy szepczesz: „ja kocham ciebie!“
Ach! Wtedy płaczę z goryczą...

V.

Miałem niedawno sny tajemnicze,
A w nich widziałem twoje oblicze...
Anielskość w oczach twoich jaśniała,
Lecz byłaś blada, śmiertelnie biała..

Usta jedynie miałaś różowe...
Lecz śmierć zcałuje barwy jutrzniowe...
Zgaśnie ten cudny promyk w rozkwicie,
Co rzucał światło na moje życie...

VI.

Oprzej twe usta o moje usta,
A łez się złączą strumienie!
Oprzej twe piersi o moje piersi,
A wraz się wzbiją płomienie!

A gdy w ten płomień — jasnym strumieniem
Łez naszych zdroj padać będzie,
Gdy cię obejmę silnem ramieniem —
Skonam w miłosnym obłędzie...

VII.

Liljowej kielicha toni
Tchnienia mej duszy udziękę,
A kwiatek lilji wydzwoni
Piosnkę o moim aniele...

Echo tej pieśni świetlanej,
Jak całus w błękit popłynie,
Całus, przed laty mi dany,
W najśłodszej życia godzinie...

VIII.

Nieruchomie lat tysiące
Gwiazdki lśnią na niebie,
Nieustannie spoglądają
Z tęsknotą na siebie...

Przemawiają wyrazami
Cudnej jakiejś mowy,
Ale żaden z filologów
Nie zna ich osnowy...

Lecz jam poznał tych gwiazdeczek
Gwary tajemnicze...
Dla mnie było gramatyką
Kochanki oblicze...

IX.

Na skrzydłach pieśni niebiańskiej
Z tobą, o luba, popłynę
Tam — po nad brzegi Gangesu,
Gdzie znam ustronie jedyne...

Tam kwitnie ogród różowy,
W srebrzystym blasku księżyca,
A cudne zwoje lotosów
W blasku tym myją swe lica...

Szepcze fijołek do braci,
Do gwiazdek wznosi swą głowę,
A róże, wpośród milczenia,
Wonna prowadzą rozmowę...

Jakby zefirów podmuchy
Gazelle biegną po skale,
A w dali — szumią uroczo
Świętego Gangesu fale...

Tam, na tych błoniach spoczniemy,
Pod bujnym drzewem palmowem,
Poić się będziem miłością,
Roskosznych snów karmić słowem...

X.

Drży piękny kielich lotosu,
O jasnej zorzy rozkwicie
I z pochyloną główką,
Czeka na nocy przybycie...

Księżyc, ów blady kochanek,
Budzi go światłem zwodniczem,
A lotos wita to światło
Bładem, marzącem obliczem...

I kwitnie szybko i świeci,
Wznosząc w niebiosa swe sploty...
I drży i płacze i kona
Z miłosnej serca tęsknoty...

XI.

Gdzie Renu z światłem iskrzącem
Wstęga rozwija się kręta,
Tam stoi, z wieżyc tysiącem,
Kolonja wielka i święta.

Tam, nad cherubów obłokiem,
Błyszczą Madonna ze złota,
Nieraz mi w burzach żywota
Świeciła swoim urokiem...

Madonny cudne oblicze
Zdobią kwieciste opony;
Podobne wdzięki dziewicze
Ma anioł mój ubóstwiony...

XII.

Nie kochasz mnie! nie kochasz mnie!
Ach! to mnie nic nie obchodzi...
Bo kiedy patrzę w oblicze twe —
Pierś ma — hymn szczęścia zawodzi...

Nie cierpisz mnie! nie cierpisz mnie!
Brzmi w ustach twych wieść złowroga...
Ach! Pozwól tylko uściskać je,
A zniknie płonna ma trwoga...

XIII.

Usłuchaj prośby mej wrzającej,
Najcudowniejsza istoto!
Niech mnie śnieżyste twe rączki
W miłosnym szale oplotą...

Zaledwem wyrzekł te słowa,
Już prośba moja spełniona...
Lecz w tym wężowym uścisku
Doznaję mąk Laokona...

XIV.

Żadnych przysięg! Całuj tylko,
Kłątвом kobiet nic nie wierzę,
Głos twój słodki, ale słodszy
Jest twój całus, dany szczerze...
On mą wiarą, mem natchnieniem,
Słowo—próżnem tylko tchnieniem...

O! Przysięgaj luba zawsze!
Wierzę, wierzę ci, na słowo,
W sercu czucia płyną żwawsze,

Czuję błogość, siłę nową,
Miłość — szepczą głosy wieszczę —
Od wieczności dłuższą jeszcze...

XV.

Na oczy mej ulubionej
Napiszę piękne canzony,
Na usta mojej jedynej
Splotę precudne terziny,
Na lica lubej czarowne
Wyśpiewam stanze cudowne,
Ach! Gdyby serce w niej biło,
Toby się sonet skleiło...

XVI.

Świat jest ślepy, głupstwa plecie,
Świat podły oszczerca...
Mówi: że ty moje dziecię,
Nie masz dla mnie serca...

Świat jest głupi, sieje plotki,
Ciągłe cię spotwarza...
Nie wie — jak twój całus słodki!
Jak mą pierś rozżarza!

XVII.

Powiedz, powiedz mi, dziewczeczko,
Mój kwiateczku piękny, hoży,
Czyś ty sennem jest widziałem
Które mózg poety tworzy?

Ale nie! Usteczek takich,
 Takich oczu, tego czoła,
 Takich wdzięków strojnych, cudnych,
 Tego—stworzyć wieszcz nie zdoła...

Tylko gady i potwory,
 Bazyliuszki, węże, krety,
 Tylko takie legend twory —
 Może wyśnić mózg poety!..

Ale ciebie, złości twojej,
 Twej twarzyczki pięknej, hożej,
 Twych fałszywych, zdradnych spojrzeń,
 Myśl poety nie odtworzy!

 XVIII.

Świeci blaskiem luba moja,
 Jakby Venus z morskiej piany,
 Gdyż rozkoszna ta dziewoja
 To rywala skarb wybrany...

Serce, serce niecierpliwe!
 Cóż pomoże gniewu siła?
 Znoś cierpienia swe dotkliwe
 Które zdrada ci zrządziła!

 XIX.

Nie szemrzę już, choć pęka serce me...
 Miłości dawnych lat — nie gniewam się...
 Choć djamentów czar — roztacza jasny wzrok,
 Nie wnika blask — w twojego serca mrok...

Dawno to już wiem. Wszak Ciem widział w śnie,
 Widziałem noc — na serca twego dnie,
 Zdradne serce twe — węże wstrętne ssą,
 Ach, luba ma, widziałem nędzę twą...

XX.

Tak! Nędzną-ś jest, lecz zastygł już mój gniew,
Obojgu nam — nędznymi trzeba być,
Nim śmierć wyziębi w sercach naszych krew —
Obojgu nam — nędznymi trzeba być!

W uśmiechu ust — szyderstwa widzę grę,
Zuchwalstwa błysk, co w oczach twoich drga,
I dumy znak, co wznosi łono twe,
A nędzną-ś jest, jak nędznym jestem ja!

Lecz usta twe — okala cierpień ślad,
Tajemna łza, chce blask twych oczu zćmić,
Hardą twą pierś — tajemny gryzie jad,
Kochanko ma! Nam obu nędznie żyć!

XXI.

Toż mi dopiero huk dzielny!
Trąby i bębny brzmiały wkoło...
Wszak to swój taniec weselny
Ma luba tańczy wesoło...

Fanfary, kotły, wciąż brzęczą,
Dźwięk ten sumienie twe głuży,
I tylko z cicha coś jęczą
Dobre aniółki twej duszy...

XXII.

Więc nie pamiętasz o luba wcale,
Żem twe serduszko posiadał stale,
Serduszko twoje, rzewne, lęклиwe,
Słodkie nad wyraz, a tak fałszywe!

Więc już zataraś w duszy wspomnienia
Miłości mojej, mego cierpienia!

Czy miłość moja — ból przewyższyła?
Nie wiem. Lecz straszną obojga siła...

XXIII.

Gdyby kwiateczki wiedziały
Jak serce moje strapione,
Razem by ze mną płakały
By zgoić serce zranione...

Gdyby słowiki wiedziały,
Jak straszną znoszę ja mękę,
Wnet chórem by zaśpiewały
Jakąś pociechy piosenkę...

Gdyby choć gwiazdki wiedziały
Jak cierpi serce me młode,
Wnet by tu do mnie zleciały
By przynieść cierpień osłodę...

Lecz boleść ma utajona!
Luba zna tylko łzy moje...
Wszak ona tylko, ach! ona...
Rozdarła pierś mą na dwoje!

XXIV.

Czemu blask róż dziś zmieniony?
Ach! powiedz drogie me życie!
Dlaczego w trawce zielonej
Błękitne kwiatki milczycie?

Czemu skowronków prześlicznych
Żalobę taką śpiew głosi?
A z wszystkich traw balsamicznych
Taka woń trupia się wznosi?

Czemu dziś słońce jak mara
Wciąż w gęstą kryje się chmurę?
Czemu dziś ziemia tak szara?
Drzewa jak cementarz ponure?

Czemu-m ja sam tak bez siły,
Ach! Powiedz mi moja miła!
Powiedz aniołku mój miły,
Dla czegoś mnie porzuciła?

XXV.

Sarkali na mnie nie mało...
A cierpką była ich mowa,
Lecz co me serce szarpało —
O tem nie rzekli ni słowa...

Głowami wciąż potrząsali,
Wzrastała złości ich siła,
I złym mnie wreszcie przezwali,
A tyś potwarcom wierzyła...

O tem, czem ludzie się gorszą,
Ich uszy nie nie słyszały...
Tę rzecz — najgłupszą, najgorszą,
Sam kryłem w duszy zbolełej...

XXVI.

Zakwitła lipa — nucił skowronek,
Do słońca cudny wdzięczył się dzionek,
A ty mnie, w śnieżne tuląc ramiona,
Do namiętnego cisnęłaś łona...

W tem kruk zakrakał, poźółkły drzewa,
Zaszumił wicher, spadła ulewa...

A my — bez żalu, bez gniewu słowa,
Rzekliśmy sobie: „Bądź zdrów!” Bądź zdrowa!”

XXVII.

Jak dzieci, z jednej matki zrodzone,
Żyliśmy zgodnie, aż miło!
A choć graliśmy w „męża” i „żonę”
Bitw między nami nie było...
Razem-śmy figłów płatali krocie,
W ciągłych całusach, żartach, pustocie,
Lecz gdyśmy chcieli, swawoląc dalej
W „schowanie” grać na uboczu,
Takeśmy dobrze się pochowali;
Żeśmy stracili się z oczu...

XXVIII.

W pozgonne niebo nie wierzę,
Choć klecha o niem wciąż prawi,
Lecz oczom twym ufam szczerze,
Ich tylko światłość mnie zbawi...

Nie wierzę w Pana nad Pany,
Choć klecha głowę mi suszy...
Jam tobie tylko oddany,
Tyś Bogiem jest mojej duszy...

Nie wierzę w gusa prorocze
W piekło i kłątwy pogańskie,
Tylko w tve oczy uroczę,
W tve serce wierzę szatańskie!

XXIX.

Byłaś mi wierną najdłużej...
Protekcję miałem przez ciebie,
Tyś mi pociechę zsyłała
W każdej naglącej potrzebie

Tyś mnie karmiła, poila,
Dawałaś mi zapomogę,
Dałaś mi nawet bieliznę,
I w końcu — paszport na drogę...

O! Niech cię za to Bóg chroni
Od skwaru, wichrów szalonych,
I niechże ci nie pamięta
Dobrodziejstw mi wyświadczonych!...

XXX.

Mateczka ziemia skąpiła długo,
Lecz maj dał jej zapomogę,
I wszystko znowu tryska weselem
Ja jednak — śmiać się nie mogę...

Kwitną kwiateczki, brzęczą dzwoneczki,
Ptaszek w gęstwinie treluje,
Mnie jednak nic to już nie obchodzi,
Żadnych rozkoszy nie czuję...

Nudzą mnie ludzie, nudzi natura,
Nudzą druhowie, tak mili,
Wszystko dlatego, że słówkiem „pani“
Kochankę moją ochrzcili...

XXXI.

Podczas gdym bawił w obcej krainie,
Najmilszych marzeń snując świątynię;
Czekać — nie było lubej na rękę,
Więc też uszyła ślubną sukienkę
I splotła dłonie węzły ślubnemi,
Z największym głupcem na bożej ziemi...

Lubę mą zdobią precudne lica,
Wdzięczny ich obraz wciąż mnie zachwyca,

Błękit jej oczu, usta różane,
 Jakby odbłaski świecą jutrzniane...
 Że mi od lubej odejść się chciało —
 To kapitalnie głupio się stało...

XXXII.

Fijołki oczu jej złudnych,
 Róże usteczek obłudnych,
 I lilje rączek jej cudnych,
 Wszystko to kwitnąć ożyło...
 A tylko serce — już zgniło...

XXXIII.

Świat jest tak piękny — tak lśnią niebiosą,
 Drży na kwiateczkach poranna rosa,
 Wietrzyk tak mile drzewkami miota,
 Wszędzie wesołość, śpiewy, pustota,
 A jednak chciałbym leżeć w mogile
 I z trupem lubej spędzać tam chwile...

XXXIV.

O luba moja! Kiedy po zgonie
 Twe ciało spocznie już w grobie,
 Wtedy — jak widmo o nocnej porze
 Zejdę i spocznę przy tobie...

Spojrzę w tve oczy, w tve szkliste oczy,
 Zimna, pośmiertna dziewico,
 Jęknę, zapłacę, aż mnie samego
 Szatany w szpony pochwycą...

Wstaną umarli i kur zapieje,
 Piekielny ogień zapłonie,
 Ja nieruchomie spoczywać będę
 Na marmurowem twem łonie...

Wstaną umarli, gdy w surmę sądu
Uderzy anioł w żałobie,
Lecz my nie wstaniem — zimni jak skała
Leżeć będziemy przy sobie...

XXXV.

Sosna osamotniona
Stoi na skale lodowej,
I drzemie cicho, stulona
W swej bieli zimnej, śniegowej...
Marzy i snuje swe żale
Nad palmą, w dalekim Wschodzie;
Co tęskniąc na dzikiej skale,
Usycha w słońca zachodzie...

XXXVI.

Gwiazdko złota na chmur fali,
Pozdrów lubę mą w oddali,
Powiedz jej: że mimo zdrady —
Tęsknię za nią, chory, blady...

XXXVII.

(Głowa mówi:)

Radbym być lubej podnóżkiem,
Z którym jej stopa się pieści,
Chociażby mnie nią i deptała,
Stłumiłbym jęki boleści...

(Serce mówi:)

Ach! Gdyby być poduszczką,
Gdzie luba igielki składa!..
Choćbym był niemi przekłuty
Ma dusza byłaby rada...

(Pieśń brzmi:)

Gdybym był świstkiem papieru,
Wiążącym jej papiloty,
Szeptałbym lubej do uszka
Wszystkie mej duszy tęsknoty...

XXXVIII.

Od ostatniej z nią rozłąki,
Znikł już uśmiech z moich lic;
Gdy zbijają inni bąki,
Mnie nie bawi to już nie...

Ach! Od tego rozłączenia
Znikły w piersi echa burz,
Serce pęka mi z cierpienia,
Lecz mi płakać trudno już!

XXXIX.

Z olbrzymich cierpień sercowych,
Małe piosenki wciąż płyną,
I płyną, wznosząc skrzydełka
Do twego serca, dziewczyno!

A choć do serca dobiegły,
Po chwilce wracają małej,
I płacząc, nie chcą powiedzieć,
Co w twym serduszku widziały...

XL.

Pomimo woli najszczerzej,
Dręczą mnie wspomnień katusze:
Żem ciebie ongi posiadał,
Twe ciało i twoją duszę.

Jej ciało — to wiosny kwiecie...
Radbym mieć jeszcze to ciało!
Lecz duszę pogrześć możecie,
Własnej mi dosyć zostało!..

Mą duszę radbym rozkroić,
Pół z niej — dać tobie z zapalem,
By ciałem z tobą się spoić,
Być jedną duszą i — ciałem...

XLI.

Mieszczuchy w pięknem ubraniu,
Ciągną przez pola i góry,
Skaczą, jak młode baranki,
I sławią wdzięki natury...

Oczy ich płoną zdumieniem,
Że w świecie tak romantycznie,
I nadstawiają swe uszy,
Gdy ptaszków chór śpiewa ślicznie...

Ja jeden — okno zasłaniam,
Czarną, żałobną zasłoną,
Bo we dnie nawet mnie dręczy,
Widziadeł przeszłości grono...

I dawna miłość powstaje
Z smutnego serca cmentarza,
Przysiada do mnie i płacze,
I serce moje rozżarza...

XLII.

Ach! Obrazy lat minionych,
Nie chcą zasnąć w wspomnień grobie,
Budzą się — by wskrzesić chwile
Którym pędził wciąż przy tobie...

Dniem — w marzeniach pogrążony
 Szedłem smutny po ulicy...
 Spotykano mnie — jam milczał,
 Pełen świętej tajemnicy...

Nocą — było mi swobodniej...
 Wśród iskrzących gwiazd promieni,
 Ja i cień mój, szliśmy razem,
 Obaj drżący... pochyleni...

Gdym przechodził przez most stary,
 Księżyc, skryty za obłokiem
 Rzucał na mnie światło blade
 I surowym witał wzrokiem...

Przystawałem przed twym domkiem,
 I wzrok tęskny stałem w górę...
 W duszy mojej wrzał niepokój...
 W głowie myśli tak ponure...

Wiem, że często, tam, z okienka
 Wyglądała twarz twa dumna,
 Ja — w księżycu srebrnym blasku,
 Stałem milcząc — jak kolumna...

 XLIII.

Młodzieniec kocha dziewczynę,
 Ja — inny chłopiec rozmarza...
 Lecz chłopiec ten — inną kocha
 I staje z nią u ołtarza...

Dziewczę zaślubia na przekór
 Był którego młokosa
 Co się nawinał pod rękę...
 Młodzian — śle żale w niebiosy...

Stara to, stara historja,
O nowej niezmiennie treści,
A gdy się komu przytrafia,
Serce mu pęka z boleści...

XLIV.

Przyjaźń, miłość, moc rozumu,
Mają chwalców w pośród tłumu...
I jam składał im dań chwały,
Lecz mnie one — omijały...

XLV.

Gdy słyszę piosnkę tę smutną,
Którą mi luba nuciła —
Pierś mi z boleści nabrzmiewa
Jak gdyby strzała w niej tkwiła...
Nad leśne wzgórza ponure,
Tęsknota myśl mą porywa,
Tam się w łzach czarnej rozpaczy
Bezmierny ból mój rozplywa...

XLVI.

Na słoneczka promienie,
Spoglądają kwiatki,
A szemrzące strumienie
Płyną w morze, do matki...
Rwą się piosnek powoje
Do mej lubej dziewczeczki,
Weźcie z sobą łzy moje
Lube, smętne piosneczki!

XLVII.

Śniłem o cudnem dziecku królewskiem,
 Z twarzyczką łzami zwilżoną,
 Miłosne szepty nas kojarzyły,
 Pod gęstą lipą zieloną...

„Nie chcę ja ojca twojego tronu,
 Myśl ma o herbie nie śniła,
 Nie chcę ja złotej jego korony
 Ciebie chcę tylko o miła!“

„To być nie może,“ szepnęła z cicha,
 Wszakże już leżę w mogile
 I tylko nocą zejść do ciebie,
 Miłosne pędzić tu chwile.“

XLVIII.

Byłaś luba wraz ze mną,
 W lekkiej łódce na morzu,
 Płynęliśmy w noc ciemną
 Po bezmiernem przestworzu.

Wyspa duchów zamglona
 Spała w nocnem półcieniu,
 I pieśń rzewna, stęskniona,
 Brzmiała gdzieś, w oddaleniu...

I brzmi coraz weselej,
 Głośnem echem po morzu —
 Myśmy milcząc płynęli,
 Po bezmiernem przestworzu...

XLIX.

Dziwnie piękna bajeczka
 W uszach moich wciąż dzwoni,

I śpiewa mi i gwarzy,
O czarownej ustroni...

Gdzie kwiateczki wzdychają,
W świetle gwiazd tajemniczem,
I na siebie się patrzą,
Rozkochanych obliczem...

Gdzie drzew starych chór śpiewa,
Jasność świeci słoneczna,
Gdzie szmer źródeł tak dźwięczy
Jak muzyka taneczna...

Gdzie brzmia dziwne odgłosy,
Tony dźwięczą miłosne,
I tęsknoty nieznanne,
Odurzenia radosne...

Jakże byłbym szczęśliwym,
Gdybym tam się mógł dostać!
Rzucić ziemskie gorycze,
Wolnych ptaszków mieć postać!

Ach! ów kraj czarodziejski,
Duszę moją porywa...
Lecz gdy jutrznia nadchodzi,
W mgłę się szarą rozplywa...

L.

Ja cię, o luba! kocham szalenie
I chociaż runie świat cały —
Ze zwalisk jego trysną płomienie,
Co miłość mą podsycą...

LI.

W ogrodzie kwitły liście majowe,
Poranek świecił gorący...
Kwiateczki wszystkie wiodły rozmowę,
Ja jeden byłem milczący...

I chyląc główki przed wiatru wiewem
Szeptaly, dając mi rady:
„Do naszej siostry nie pałaj gniewem,
„Młodzieńcze smutny i blady...

LII.

Miłość ma struta goryczą
Chmurnemi blaski olśniewa,
Gdy w letnią noc tajemniczą
Luba tę bajkę mi śpiewa:

„W ogrodzie, po za drzewami,
Kryją się gniewni rywale,
Śpiewają ptaszki chórami
Księżyc lśni w jezior krysztale“...

„Tam rycerz — serca bogini
Klęcząc swą miłość przyrzeka,
Nadchodzi olbrzym pustyni,
Dziewczyna z strachu ucieka“...

„I rycerz pada krwią zlany,
A olbrzym w lasy się kryje...
Gdy będę już pogrzebany,
Tej bajki sens wam odkryję.“

LIII.

Wciąż we mnie cni wielbiciele,
Wściekłości zgrzyty budzili...
Jedni — kochali za wiele,
A inni — nienawidzili...

Trucizną chleb mój syčili,
Jad do mej czary wlewali,
To mnie miłością dręczyli,
To nienawiścią smagali...

Lecz ta — co tak mnie dręczyła,
I życie mi zatruwała —
Ta ani nienawidzila —
Ani też kochać umiała...

LIV.

Lato — ta pora kwiecista,
Leży na twarzy twej puszku,
A zima — zima śnieżysta,
Spoczywa w twojem serduszku...

Poczekaj moje kochanie,
Wkrótce inaczej to będzie...
Zima na licach twych siedzie,
A w sercu — lato powstanie...

LV.

Gdy dwóch się żegna ze sobą,
Łączą w uścisku dłoń z dłonią,
Serca ich zdjęte żalobą,
Wzdychają, rzewne łzy ronią...

Myśmy ów dzień rozłączenia,
Witali swobodą szczerą,
Łzy nasze, nasze westchnienia,
Później nadeszły dopiero...

LVI.

Jedli i pili u stołu,
Gdzie o miłości szła mowa,
Ród męzki był estetyczny,
A czułą piękną połowa...

„Miłość — to czysty platonizm“
Rzekł radca — chudy jak mucha —
Radczyńni śmiejąc się skrycie,
Coś mu szepnęła do ucha...

Proboszcz to słysząc — rzekł głośno:
„Miłość — to źródło wszechzłego,
I zdrowiu może zaszkodzić.“
Panna spytała: Dlaczego?

Hrabina z cicha wtrąciła:
„Miłość — to anioł skrzydlaty,“
I baronowi znacząco
Podała szklankę herbaty...

Przy stole stało krzeselko,
Lecz tam nie byłaś duszeczko!
Ty jedna byłabyś w stanie,
Rzec o miłości słóweczko“.

LVII.

Zatrute są pieśni moje!
Ach! mogłoby to być inaczej?
Wszakżeś ty sama me życie
Zatruła jadem rozpaczy...

Zatrute są pieśni moje!
Czy zmieni to jaka siła?
W sercu mam węzów tysiące
I ciebie także, o miła!

LVIII.

Znowum sen dawny widział w marzeniu,
Noc była piękna, majowa,
Ja i ma luba w serc zachwyceniu,
Przysięg szeptaliśmy słowa...

W pośród tych gruchań do późnej nocy,
Miłosną przebyłem mękę...
Więc bym pamiętał o przysięg mocy,
Luba ugryzła mnie w rękę...

Postępku tego trudno dojść wątku,
Dziś — jestto łatwiej, kochanie,
Przysięgi twoje były w porządku,
Zbytecznym było — kąsanie...

LIX.

Stanąłem na góry szczyście,
I marzę czule o niebie,
„Radbym być ptaszkiem w błękiecie!“
Wzdycham po cichu do siebie...

Gdybym się stał jaskółeczką,
Miałbym tęsknotę jedyną,
Usłał bym sobie gniazdeczko,
Nad twojem oknem, dziewczyno...

Gdy się przemienię w słowika,
Wnet sobie gniazdko uścielę,
Bym ci mógł z szmerem strumyka,
Wyśpiewać przecudne trele...

Gdybym był gilem przez chwilę,
W twem sercu miałbym schronienie,
Wszakże ty kochasz tak gile,
Tak koisz gilów cierpienie!

LX.

Powóz mój zwolna się wlecze,
Wśród ciemnej lasów zieleni...
Jedzie przez kwietną dolinę,
Co blaskiem słońca się mieni...

Siedzę i marzę o lubej,
Piersź tłoczy ciężkie westchnienie,
Wtem widzę, jak pełzną ku mnie,
Dziwaczne trzy jakieś cienie...

Do okna mego powozu,
Skaczą, wśród szeptów hałasu,
Krzywią się dziwnie i nikną,
W zaroślach ciemnego lasu...

LXI.

Płakałem we śnie, o luba ma,
Śniłem — żeś w grobie leżała,
Zbudziłem się — i jasna łza,
Po moich licach spływała...

Płakałem we śnie, o luba ma,
Niewierną widziałem cię w snach,
Zbudziłem się — ale ból trwa,
Boleść skąpana we łzach...

Płakałem we śnie, o kwiatku mój,
Śniłem — że w cnocie swej trwasz...
Zbudziłem się — ale łez zdrój
Oblewa ciągle mą twarz...

LXII.

Widzę cię co noc w marzeniu,
Błady, znędzniały, jak trup...
I z łkaniem — długo tłumionem,
Do twoich rzucam się stóp...

Patrzysz się na mnie boleśnie
I główka chyli się twa,
Lecz widzę jak po twych licach,
Powoli sączy się łza...

Szepczesz mi z cicha słóweczko,
Cyprysów dajesz mi splot...
Budzę się — ale bez wianka,
A słówko niknie gdzieś w lot...

LXIII.

Wiatr szumiąc drzewa wywraca,
I szronem kwiateczki ścina...
Ach! gdzież się teraz obraca,
Moja nieszczęsna dziecina?

Widzę ją, jak pod drzewami,
Samotność swą oplakuje...
I wzrokiem brzemienym łzami
W beżmierną noc się wpatruje...

LXIV.

Wicher jesienny rwie drzewa,
Noc głucha zimna jak głaz...
Szarawym płaszczem odziany,
Jadę samotnie przez las...

I gdy tak jadę powoli,
Myśl szybka wyprzedza mnie,
I ze mną do domu lubej,
Na skrzydłach marzenia mknie...

Psy skomlą. W świetle pochodni,
Już widzę huf liczny sług,
Brzęcząc ostrogą po schodach,
Wstępuję w lubej mej próg...

Do jasnych komnat podążam,
Gdzie woń jaśminów i róż,
Tam czeka mnie moja luba,
Do piersi tulę ją już...

Wiatr szumi... liście rozprasza,
A gdy o szczęściu swem śnię,

Szept słyszę: Błądny rycerzu,
Co znaczą głupie sny twe?

LXV.

Z iskrzącej nieb wysokości,
Gwiazdeczka drobna upada..
Ach! Jestto gwiazda miłości,
Tak niegdyś świetna — dziś blada!

Bogatej kwieciami jabłoni,
Listek po listku umiera...
Za niemi wietrzyk wciąż goni,
Ostatnie krasy z nich ściera...

Żeglujcie łabędź zraniony,
Mknie zwolna dalej, a dalej...
Żalodne zawodzi tony
I ginie w pienistej fali.

Cisza i ciemność w naturze...
Powiędły liście i krzewy...
Gwiazdka rozprysła się w górze
I seichły łabędzie śpiewy...

LXVI.

Ujrzałem we śnie zamku podwoje,
Gdzie światło smugą lśni brylantową,
I ludu tłumne cisną się roje
W labirynt komnat zgiętych wężowo;
Niektórzy biegną w jasne pokoje,
Z obawą w duszy, z myślą grobową,
I coraz jaśniej światła się palą,
Jam też popłynął z tą ludzką falą...

Nagle spostrzegłem że znikły tłumy,
 I sam zostałem wśród tych sklepieni,
 Pełen wzruszenia, smutku, zadumy.
 Światło jak przedtem błyszczy się, mieni...
 Lecz zcichły głosów tysiąca szumy,
 I noc zapada wśród tych promieni;
 Bojaźń mnie jakaś nagina, łamie,
 Kogóż spostrzegam w ostatniej bramie?

Owem nadziemskim, bładem widzeniem,
 Była ma luba z twarzą obłudną,
 Chcę się zatrzymać — ale skinieniem,
 Znaki mi daje... Pojąć je trudno...
 I znowu jasnym swoim wejrzeniem,
 Twarz swą rozjaśnia anielsko-cudną,
 Gdy tak złudzeniem karmię się miłem,
 Nagle do życia z snu się zbudziłem...

 LXVII.

Noc była zimna, bez gwiazd. Wśród głuszy
 Błądziłem w lesie z rozpaczą w duszy,
 Budziłem drzewa ze snu żałośnie,
 One głowami trzęsły litośnie...

 LXVIII.

Samobójcom kopia w nocy
 Na rozdrożu grób.
 Tam błękitny rośnie kwiatek,
 U mogiły stóp...

Długo stałem na rozdrożu,
 Gdym chciał rzucić świat,

A w gwiazd świetle chwiał się zwolna
Samobójców kwiat.

LXIX.

Gdzie się zwrócę idzie za mną,
Ciemność straszna, nieprzebyta,
Od tej chwili — gdy mi zorza,
Cudnych oczu twych nie świta...

Nie doznaję już niestety!
Tajemniczej gwiazd tych mocy,
Przepaść leży u nóg moich,
Przyjmij mnie odwieczna nocy!

LXX.

Noc na mych oczach leżała,
Milczeniem usta się zwarły,
Bez myśli marzeń bez czucia,
Leżałem w grobie umarły...

Jak długo? Trudno pamiętać,
Bom był w letargu bez siły:
Wtem szmer się rozległ wśród ciszy,
Zapukał ktoś do mogiły...

— Czy nie powstaniesz, Henryku?
Świta blask gwiazdy jutrzniowej,
Powstali wszyscy umarli,
Zaczął się taniec życiowy...

— O luba! Powstać nie mogę,
Ślepym zostałem na wieki,
Z płaczu i cierpień niezmiernych,
Nabrzękły moje powieki...

— Ja ci tę noc odcałuję,
Zażegnam sen twój głęboki,
Zobaczysz chóry aniołów
I niebios cudne uroki.,.

— O luba! Powstać nie mogę,
Krew z piersi toczy się zdrojem,
Tam, gdzieś mię w serce ukłuła,
Kolącem szyderstwem twojem...

— Dłoń ci położę na sercu,
I zniknie ból twój dotkliwy,
Krew twa przestanie wnet płynąć,
I znowu będziesz szczęśliwy...

— O luba! Powstać nie mogę,
Kula w mej głowie utkwiała,
Wszakże strzeliłem sam do niej,
Gdyś mię z kochankiem rzuciła...

— Splotem swych czarnych warkoczy,
Ranę twej piersi osuszę...
Gdy krew przestanie z niej płynąć,
Ocalisz biedną twą duszę...

Tak mnie błagała, prosiła,
Żem chciał sen wieczny porzucić,
Powstałem nagle z mogiły,
By znów do lubej powrócić...

Wtem wszystkie rany nabrzękły,
W głowie i w sercu zbolełam,
I krew z nich czarna spłynęła,
I oto — z snu się zerwałem!..

LXXI.

Przebrzmiał wiek marzeń daleki.
Pieśni zapalne i dumne,
Pogrześć potrzeba na wieki...
Przynieście kamienną trumnę!

Tam złoży myśl ma niewinna,
Wszystko co dusza wyśniła,
Lecz trumna większą być winna.
Niż heidelberska baryła...

Niechaj posłańcy wyruszą,
I wielkie sprowadzą mary,
Mary te — długie być muszą,
Dłuższe niż reński most stary...

Sprowadźcie także olbrzymów,
Silnych jak mur kamienicy!
Niech wezmą w pomoc pielgrzymów,
Z sieni kolońskiej kaplicy...

Mary te — orszak mój wierny
Do morskiej spuści mogiły;

Gdyż dla tej trumny niezmiernej,
Piaskowej zbrakłoby bryły...

Wicie dlaczego wybrałem
Tak wielką trumnę z kamienia?
Tam — miłość swą pochowałem,
I wszystkie moje cierpienia...



POWRÓT

przekład

Alexandria Kraushara.

POWER

1870

NEW YORK



I.

drodze życia mej ułudnej,
Obraz jaśniał mi świetlany...
Lecz gdy zgasł ów obraz cudny
Mrok mnie okrył nieprzejrzany...

Kiedy dzieciom wśród zabawy
Zgaśnie światło — wnet się smucą...
Więc by zakłąć swe obawy,
Głośne piosnki ciągle nucą...

Ja, ów dzieciak rozbawiony,
Śpiewam teraz wciąż w ciemnicy...
Smutne są tej pieśni tony
Jednak leczą mnie z tęsknicy...

II.

Nie wiem dlaczego tak smutno mi,
Smutek tak serce mi porze?
Czarowna pieśń zamierzchłych dni,
W mej duszy zmilknąć nie może...

I szumi wiatr, zapada mrok,
I cicho Renu mkną fale,
I widać gór urwistych szczyt,
Odbity w rzeki kryształe...

Królowa róż z gwiazdzistych niw,
Siedzi na górze uroczej,
Złoty jej strój z oddali lśni,
Lśni złoty zwój jej warkoczy...

Grzebieniem z gwiazd czesze swój włos,
I tęskną piosnkę zawodzi...
I dziwną moc ma pieśni dźwięk,
Jak dźwięk co z niebios pochodzi...

Rybaka pierś, tej pieśni ton,
Dziwną tęsknotą przejmuje,
Nie baczy już na szczyby skał,
Tylko się w górę wpatruje...

Ach! lękam się, by rzeki toń
Rybaka nie pochwycała...
Nieraz to już, wśród Renu fal,
Piosnka Lorlej uczyniła...

III.

Serce me, serce jest smutne,
Lecz maja dni zajaśniały,
Stoję o lipę oparty,
Na baszcie wzgórza zmurszałej...

W dole błękitne mkną fale,
A chłopiec płynie przez rzeczkę,
Śmiało swą łódką kieruje,
Świszcząc przez zęby piosneczkę...

Opodal domki się wznoszą,
I słyhać ludzkie hałasy,
Widać ogrody kwieciste,
Łąki i pola i lasy...

Dziewczęta piorą bieliznę,
Po trawce skaczą z pustoty,
Tam koła młyńskie pył niecą,
Słyszę ich głuche łaskoty...

Przy starej, czarnej wieżycy,
Strażnica czujnem łśni okiem,
Szydłwach czerwono odziany,
Miarowym stąpa tam krokiem...

Bawi się łśniącą fuzyjką,
Kurek jej żartem odwodzi,
I w błękit niebios celuje...
Ach! Czemuż w pierś mą nie godzi!

IV.

Po lesie chodzę i płaczę...
Drozd skacząc pyta mnie śpiewnie:
Czegoś tak smutny wędrowcze?
Dlaczego płaczesz tak rzewnie?

— Jaskółki, twoje siostrzyczki,
Wiedzą gdzie źródło mej zguby,
Mieszkają w sprytnych gniazdeczkach,
Tuż, nad okienkiem mej lubej...

V.

Noc mglista, ciemna, burzliwa,
Z pól głuche jęki wiatr niesie,
Wśród szumu gęstych burzanów,
Samotny błędzę po lesie...

Zdaleka błyszczy światełko,
W ponurym domku leśnika,
Nie, nie chcę tam się przybliżyć,
Strach serce moje przenika...

Tam siedzi, w starym fotelu,
Staruszka — jak gołąb biała,
Jak głaz spogląda przed siebie,
I milczy jak skamieniała...

Szybkim przechadza się krokiem
Leśnika syn rudogłowy,
Klnie, rzuca fuzyę o ziemię,
Wściekłości miotając słowy...

Siedzi tam prządka urocza,
Wzrok jej żaloszny i łzawy...
A u nóg bladej dziewczyny,
Łasi się wyżeł legawy...

VI.

Z rodziną mojej kochanki,
Raz w drodze-śmy się spotkali...
Siostrzyczka, ojciec i matka,
Radośnie mnie powitali...

Słyszałem słówka grzeczności,
Czułej przyjaźni tyrady,
Mówiono: żem się nie zmienił...
Żem tylko trochę jest bladej...

Jam również pytał uprzejmie,
Czy wszyscy w zdrowiu i w sile?
Pytałem nawet o pieska,
Co umiał szczekać tak mile...

Potem rzuciłem znienacka
O zdrowie lubej pytanie...

Na co mi dano odpowiedź:
Że pani w innym jest stanie...

Choć wiadomością tak miłą
Byłem niezmiernie wzruszony —
Prosiłem by oddać pani,
Moje najniższe ukłony...

Wtem, lubej mała siostrzyczka,
Szepnęła niepostrzeżenie:
„Pieseczek nasz urosł i wściekł się,
„Więc utopiono go w Renie...

Ta mała — to obraz siostry...
Szczególniej uśmiech ma miły,
A oczy ma także same,
Co mnie tak nędznym zrobiły...

VII.

Przy rybackiej, niskiej chacie,
Patrzyliśmy się w dal morza...
Mgły wieczorne nadciągnęły,
I podniosły się w przestworza...

Morskich latarń zapalonych,
Światło błysło w morza fali...
A w tem świetle, jak widziadło,
Statek czerniał gdzieś w oddali...

Mówiliśmy o przypadkach,
Jakie głębia morza kryje,
O rybaka smutnym losie,
Co wśród grozy śmierci żyje...

O dalekich lądu brzegach,
O krainie klęsk i cudów,
O dziwacznych obyczajach,
Rozmaitych świata ludów...

Nad Gangesem — kwiatów gąszcze
 Różnobarwnym lśnią szkarłatem,
 Tłumy ludzi klęczą w ciszy,
 Przed lotosu cudnym kwiatem...

Tam znów brzydce lapończycy,
 Płaskogłowi, płaskonosy,
 Smażą ryby przy ognisku,
 Krzycząc, jęcząc w niebogłoty...

A dziewczęta to słuchają...
 Wreszcie znikły wszystkie gwary,
 Siny statek znikł w oddali,
 Morze pokrył obłok szary...

VIII.

Rybaczko piękna, miła,
 Pędź czółenka do ziemi;
 Siądź tu, weź mnie za rękę,
 Swemi rączki drobnymi...

Oprzej główkę swą o mnie,
 Spójrz wrokiem zamglonym,
 Wszak powierzasz się co dzień,
 Falom morza wspanionym...

Serce moje — to morze,
 Wciąż się burzy — przyplływa...
 I nie jedna perełka,
 W jego głębi spoczywa...

IX.

Księżyc rozproszył swe blaski,
 Po cudnym morza błękicie...
 Ściskam mą lubę w objęciach,
 A serce tonie w zachwycie...

W objęciach cudnej dziewczyny,
Spoczywam przy morza brzegu,
„Czemuż tak słuchasz fal szumu?
„Czemu drży dłoń twa ze śniegu?

— Ach! To nie fale tak szumią,
To pieśń rusałek tak dzwoni...
Są to me siostry rodzone,
Co w morskiej znikły raz toni...

X.

Po obłokach księżyc płynie,
Jakby krąg pomarańczowy...
Opromienia złotym blaskiem
Obszar morza lazurowy...

Błądę smutny po nad brzegiem,
Fale białą tworzą pianę,
Słyszę w ciszy słodkie słowa,
W toni morza gdzieś szeptane.

Ach, jak długo noc się wlecze!
Usta milczeć już nie w stanie,
Rusałeczki, wyjdźcie z toni,
Pieśń swą nućcie w skocznym tanie!

Weźcie głowę mą w objęcia,
Skargi mej nie usłyszycie,
Pieście na śmierć, zdzuście na śmierć,
Wycalujcie z piersi życie!

XI.

Owinięte w obłok szary
Drzemią w ciszy wielkie bogi,
Słyszę oddech ich ponury,
Wiatr po morzu dmie złowrogi...

Jakiż orkan! Jakie gromy!
 Statki mkną na wpół strzaskane,
 Któż uśmierzy te żywioły
 Fale morza zbuntowane!

Ja nie mogę zakląć burzy,
 Ni uśmierzyć morza trwogi,
 Owinięty ciepłym płaszczem
 Zasnę — jak zasnęły bogi...

 XII.

Wiatr nałożył szarawary,
 Białe, wodą przesycone,
 Bije w fale z całej siły,
 One wyją, jak szalone...

Z chmur czeluści deszcze leją,
 Ciemność mknie przez fal przestworze,
 Zda się, jakby noc prastara
 Chciała zdławić stare morze...

Po nad masztem krąży mewa,
 Krzykliwemi jęcząc głosy...
 Zda się, statkom chce wywróżyć
 Ich nieszczęsne, przyszłe losy...

 XIII.

Burza do tańca przygrywa
 I mrowiem ciało przenika;
 Hop! Hop! Jak skacze czólenko,
 Noc jest wesoła i dzika...

Żyjąca góra falista,
 Miota otchłanią gniewliwą...
 Tu — przepaść czarną otwiera,
 Tam — białą potrząsa grzywą...

Z kajut — przekleństwa, modlitwy,
Wtórują odgłosom gromu...
Trzymam się masztu oburącz,
Szepecząc: „Oj, gdybym był w domu!“

XIV.

Nadchodzi wieczór posepny,
Mgła morskie kryje zwierciadło,
Wtem — z tajemniczej otchłani
Białe wypływa widziadło...
Nimfa wychyla się z fali
I siada przy mnie, u brzegu;
Widać jej piersi śnieżyste,
Przez szatę białą ze śniegu...
Tuli mnie ona do siebie
I sprawia ból niewymowny...
Zanadto ściskasz mnie luba,
Mówię do nimfy czarownej...
W objęciach ściskam cię moich,
Lecz tego prosta przyczyna...
Chcę się przy tobie rozegrzać,
Bo zimno lodem krew ścina...
Księżyc przyświeca wciąż bladziej,
Z mglistej obłoków przeźroczy...
Czemu twe oczy wilgotne?
Mówię do nimfy uroczej...
Nie wilgotnieją me oczy,
Jam już mokremi je miała,
Gdym wypłynęła z mórz toni,
Kropelka w oczach została...
Mewy wciąż jęczą żałośnie,
Wiatr z toni rwie się gwałtowny...

Czemu twe serce tak bije?
 Pytam się nimfy cudownej...
 Serce me bije z wzruszenia,
 I czoło moje pobladło,
 Gdyż cię nad siły uwielbiam,
 Ty ziemskie, drogie widziadło!

XV.

Gdy przed twem oknem co rano
 W zadumie stoję na drodze,
 Radość mą duszę przenika,
 Gdy cię w okienku znachodzę.
 Czarnemi twemi oczyma
 Patrzą na łez moich ślady...
 Ktoś jest i cóż ci dolega,
 Przechodniu smutny i blady?
 Jestem niemieckim poetą,
 Znanym w niemieckiej krainie,
 Gdzie o najlepszych jest mowa —
 I moje imię tam słyńcie...
 A to, co pierś mą przygniata,
 Boleść w mym kraju nie nowa...
 Gdzie mówią o mękach srogich,
 Tam — o mnie także jest mowa...

XVI.

Morze swe światło rozlało w dal,
 W ostatniem słońca promieniu,
 Siedziałem z lubą wśród szumu fal,
 Samotnie, w głuchem milczeniu...
 Opadła mgła, nabrzękła toń,
 Mewy po morzu szumiały,

A z oczu twoich, na śnieżną dłoń,
Perliste łezki spadały...

Gdym ujrzał cudne perełki te,
Padłem na ziemię wzruszony,
I z rączek twoich w rozkoszy śnie
Piłem ten czar upragniony...

Lecz od tej chwili zbladła twarz ma,
Głowa opadła ku ziemi...
Ach, mnie nieszczęsna dziewczyna ta
Zatrwała łzami swojemi...

XVII.

O, liljo miłości mojej,
Z wyrazem smutku, marzenia,
Patrzysz się w głębię jeziora,
I ciche snujesz westchnienia...

Idź precz z takimi pieszczoły,
Znaną mi jest twoja zdrada,
Wszak wiem, że róża — ma krewna,
Fałszywem sercem twem włada...

XVIII.

W oddali, na widnokręgu,
Jakby z za mglistej obsłony
Powstaje gród z wieżyczkami,
Mrokiem wieczoru przyćmiony...

Wilgotne wichrów powiewy,
Grom wróżą, wespół z powodzią;
Ponurym taktem kieruje
Sternik żałobną swą łodzią...

Słońce wyrzało z za chmury,
Promień rzucając daleki...
I wtędym ujrzał ów domek —
Gdziem lubę stracił na wieki...

XIX.

I znowu dawną wracam drożyną,
W znane, tak drogie mi strony,
I znowu wracam przed domek lubej,
Samotny, tak opuszczony...

Gród mi się ciasnym, wązkim wydaje,
Jak obraz smutku i nędzy,
Na głowę moją wałą się domy,
Ach, uciekajmy co prędzej...

XX.

Wstąpiłem znowu w miejsce tych podwoje
Gdzie miłość mi zaprzysięgła
W miejscu — gdzie leż jej padały zdroje,
Tam się gadzina wylęgła...

XXI.

Noc była cicha, głucho w ulicach,
Tutaj stał domek kochanki mojej,
Dawno już, dawno go opuściła —
Ale ów domek wciąż jeszcze stoi...

Przed owym domkiem stanął wędrowiec,
Z rozpaczą w oku, z wychudłym ciałem...
Gdy księżyc błysnął — przeszło mnie mrowie,
Bo w owym człeku — siebie poznałem...

Ach, sobowtórze, wędrowcze błady!
Czemu w rozpaczy rwiesz sobie szaty?
Czyli przedrzeźniasz moje cierpienia,
Którym tu znosił dawnemi laty?

XII.

Jakże możesz spać spokojnie?
Wszakżem jeszcze żyw i zdrowy,
Dawny gniew powrócić może,
I ja zerwę swe okowy...

Znasz-li tę bajeczkę starą?
Zmarły młodzian — po pogrzebie
Przybył nocą po kochankę
I przemocą wziął do siebie.

Wierzaj mi, o najpiękniejsza,
Ty, coś wdzięków jest wyrazem,
Jam żyw jeszcze i silniejszy
Niżli wszystkie trupy razem...

XXIII.

Śpi piękne dziewczę w komorze,
Księżyc śle blask srebrnowłosa,
Zdała urwane mkną dźwięki,
Jak gdyby walca odgłosy...

Zobaczę też przez okienko,
Kto to spokojność mą kłóci?
Tam nagi kościotrup stoi,
I gra na skrzypkach i nuci...

„Przyrzekłaś raz ze mną tańczyć,
A jednak złamałaś słowo,
Lecz dzisiaj bal na cmentarzu,
Pójdź, będziem hasać, królowo!

Dziewczę porywa coś siłą,
Przez pola i lasy wiedzie,
Szkielet przygrywa i nuci,
Wyprawia płasy na przedzie...

I gra i nuci i skacze,
Piszczele w płasach podsycą,
I czaszką białą potrząsa,
W srebrzystym blasku księżyca ..

XXIV.

Wlepiłem oczy w jej obraz,
W to cudne niebian oblicze,,
Wtem rysy lubej odżyły,
Blaski mnie śląc tajemnicze...

Jej cudne usta różane,
Pół uśmiech okala miły
I jakby pod cierpień wpływem,
Oczy jej łąą się sperliły...

I mnie, po bladym obliczu,
Łzy smutku spłynęły żwawsze,
Ach, trudno było uwierzyć,
Żem cię już stracił na zawsze...

XXV.

Jak atlasa nieszczęsnego,
Przygniata mnie straszna męka,
Dźwigam na sobie ból świata,
A serce z bólu mi pęka...

O! wyniosłe dumne serce,
Chciałość szczęścia nieskończenie,

Lub też cierpieć chciałoś — serce!
Znoś więc teraz swe cierpienie...

XXVI.

Płyną lata po kolei,
W grobie gasną nieb rozkosze,
Ale miłość ta nie zgaśnie,
Którą w sercu noszę...

Radbym tylko raz ostatni
Być na chwilę w marzeń niebie,
I, konając szeptać słowa:
Pani! — kocham ciebie!

XXVII.

Śniłem. Żałośnie księżyc spoglądał,
I gwiazdy smutno świeciły,
I mnie się zdało — żem biegł do miasta,
Aż pod okienko mej miłej...

I mnie się zdało, że do jej domu
Wbiegłem jak anioł skrzydlaty
Że całowałem ślady jej nóżek,
I rąbek białej jej szaty...

Noc była zimna, noc była długa,
Kamienie skryła śnieżycą,
Z za okna błysło blade oblicze,
W bladawem świetle księżycy...

XXVIII.

Cóż ta samotna łezka oznacza?
Dlaczego w oku mem błysła?
Ach! Jak wspomnienie z ubiegłych czasów,
Na rzęsach moich zawisła...

Więcej ta łezka siostrzyczek miała,
Lecz rozplynęły się one,
Wraz z memi smutki, z chwilami szczęścia,
W nieznaną spłynęły stronę...

I owe cudne gwiazdki błękitne,
Zgasły jak blade mgławice,
Znikły bez śladu, te moje drogie,
Smutków, radości siostrzyce...

Ach! Razem z niemi i miłość moja
Znikła jak chwilka przelotna...
Idź więc za niemi, połącz się z niemi,
Ty, łezko moja samotna...

 XXXI.

Blady, jesienny półksiężyc,
Z za ciemnej wyziera chmury...
W zaułku cmentarza stoi,
Domek pastora ponury...

Matka, nad bibliją schylona,
Syn — oczy leniwie wlecze,
Starsza z siostr — z nudów poziewa,
Młodsza do brata tak rzecze:

Boże! jak nudno czas schodzi,
Aż myśli pierzchają płocze,
Tylko gdy grzebią umarłych,
Rozerwać można się trochę...

Matka przemawia po chwili:
Pogrzeb nie często się zdarza,
Od dnia, jak ojca twojego,
Pogrzebli u wrót cmentarza...

Starsza z siostr ziewa i mówi:
Ja głód i chłód u was znoszę,

Pójdę więc jutro do grafa,
On kocha mnie i ma grosze...

Syn dzikim śmiechem wybucha...
„Trzech strzelców hula w piwnicy,
Oni nauczą mnie chętnie,
Szatańskiej swej tajemnicy“...

Matka porywa za biblję,
I w twarz nią syna uderza,
„Więc chcesz przekłety nicponiu,
„Wyjść na leśnego szalbierza“...

Wtem — w oknie słyhać pukanie,
I widać rękę wzniesioną...
Tam stoi widmo pastora,
Okryte czarną oponą...

XXXII.

Toż mi straszliwa ulewa!
Nabrzękły niebios odmęty,
Siedzę przy oknie i patrzę,
Na ciemnych ulic zakręty...

Wtem, zwolna, na tle ciemności,
Zabłysło światło ognika,
To matka z latarką w rękę
Po fizach ulic przemyka...

Widzę, że masło i mąkę
Staruszka z sobą poniosła,
Bo na kołaczce pieczone,
Czeka jej córka dorosła...

W głębokim leżąc fotelu,
Na ogień patrzy i marzy...

A bujne, złote kędziory,
Płyną po cudnej jej twarzy...

XXXIII.

Sądzą — że życie swe pędzę
W rozpacznej miłości zrudzie,
Aż wreszcie sam w to uwierzę,
Jak inni w to wierzą ludzie...

Czyż nie mówiłem ci zawsze,
Jak wielką moc twa i władza,
Że cię uwielbiam bez granic,
Że miłość pierś mą rozsadza?

Wprawdzie, gdym mawiał te słowa,
Komnata twa była pusta...
Bo gdyś ty, luba, w niej była,
Mileżały drżące me usta...

Jakieś anioły zawistne,
Słowa w mych ustach tłumili...
Ach! Tylko owe anioły,
Tak mnie nieszczęsnym zrobiły!

XXXIV.

Gdybym choć raz jeszcze w życiu,
Twe liljowe, białe dłonie,
Do mej piersi mógł przycisnąć,
Łzami zrosić je przy zgonie!

Twym błękitnym oczu blaskiem,
Myśl ma ciągle się zachwyca...
Ciągle pytam: Cóż oznacza,
Ta błękitna tajemnica?

XXXV.

Czyż ci nigdy nie mówiła,
Że uczucia tve ocenia?
Czyż nie mogłeś choćby w oczach,
Wzajemności dojrzeć cienia?

Czyż przez oczy, w głąb jej duszy,
Nie wnikała myśl twa trwoźna?
A, wszak w takich ważnych sprawach,
Głupim osłem być nie można!

XXXVI.

Oboje czcili się bardzo,
Lecz wyznać tego nie śmieli,
Patrzyli na się z ukosa,
Chociaż miłością płonęli...

A gdy się wreszcie rozstali,
W najgrubszej serca żałobie,
Pomarli zdala od siebie,
Nie wiedząc nawet o sobie...

XXXVII.

A gdym przed wami żal swój wylewał,
Każdy z was milczał, albo też ziewał,
Lecz kiedym w strofki ubrał te żale,
Każdy mi kadził w pochlebstw zapale!

XXXVIII.

Przyzwałem czarta i przybył do mnie,
Z układną minką, grzecznie i skromnie,
Nie jest on brzydkim, nie jest kulawym,
Jest arcy-miłym, arcy-łaskawym —

Jest doświadczenia odzianym szatą,
 A przytem zręcznym jest dyplomata,
 O państwie, wierze, rozmawia składnie,
 Znać w jego słowach naukę na dzień,
 Wprawdzie twarz jego jest nieco blada,
 Niedziw! Wciąż Hegla i sanskryt bada,
 Poetą jego — ciągle jest Fouquè,
 Lecz już porzucił krytyki sztukę,
 Mą umiejętność chwalił prawniczą,
 Gdyż sam tę wiedzę badał zwodniczą,
 Gdym wniknął baczniej w skład jego ducha
 Poznałem w czarcie — starego druha...

XXXIX.

Ej człowiecze, nie szydź z czarta,
 Krótkim jest nasz byt w tym świecie,
 A wieczyste potępienie,
 To nie baśń ludowa przecie!

Ej, człowiecze, płac swe długi,
 Droga życia — długą bardzo,
 Cóż uczynisz gdy lichwiarze,
 Rewersami twemi wzgardzą?

XL.

Idą trzej święci królowie Wschodu,
 Do każdej wchodzą wioseczki,—
 Pytają: Gdzie droga do Betlehem,
 Powiedźcie, chłopcy, dziewczeczki!

Starzy i młodzi drogi nie znają,
 Próżno wędrowcy pytali,
 Idą więc śladem gwiazdki złocistej,
 Która przyświeca im w dali...

Gwiazdka nad domem Józefa błysła,
Tam się wędrowcy wstrzymali...
Wołek zaryczał, dziecko jęknęło,
Królowie hymn zaśpiewali...

XLI.

O, dziecię moje, byliśmy dziećmi,
Z rodu malutkich zbytników,
Częstośmy biegli, grając w schowankę,
Pod wiązki słomy kurników...

I słychać było kogucie piania,
I ciągły kwik: „kikiriki!“
Często przechodnie mylnie sądzili,
Że to kogucie są krzyki...

Skrzynie ogromne na naszym dworze,
Tworzyły domy pozorne,
W tych to komnatach byliśmy z sobą,
Prowadząc życie wytworne...

Kocisko stare z domu sąsiada,
Składało nam swe wizyty,
Myśmy poważnie robili dygi,
Ceniąc tak wielkie zaszczyty...

O powodzenie, o dobre zdrowie,
Poważnieśmy kotkę pytali...
Odtąd niejednej, już starej kotce,
Toż samośmy powtarzali...

Częstośmy razem w skrzyniach siadali,
I zaprzestawszy hałasów,
Żałowaliśmy, jak starzy ludzie,
Ubiegłych, a dobrych czasów...

Jak miłość, wierność, i silną wiarę
Zajęły poziome żądze,

Jak na tym świecie wszystko zdrożało,
Jak są rzadkiemi pieniądze...

I przeminęły czasy dziecięce,
Wszystko przemknęło — jak mara:
Pieniądze, ludzie i dobre czasy,
I wierność, miłość i — wiara...

 XLII.

Serce mnie boli kiedy z tęsknotą,
Myślę o czasach, co — były,
Świat był podówczas takim serdecznym,
W sercach zawiści nie tkwiły...

Dziś wszystko znikło, — jak wymiecione,
Nędza dziś górą i bóle,
Pan Bóg na górze zdrzemnął się nieco,
A szatan zasnął na dole...

I świat się powłókl barwą żalobną,
Niedola wszystkich nas gniecie,
Gdyby nie szczypta uczuć miłosnych,
Trudnoby wyżyć na świecie!..

 XLIII.

Jak z za ciemnych chmur obłony
Blask księżycy lśni uroczy —
Tak i mnie, z dni ciemnych życia,
Jasny obraz pieści oczy...

Na pokładzie liczne grono,
Mkną w dół Renu gibkie łodzie,
A wybrzeża traw zielonych
W słońca palą się zachodzie...

Zadumany w twarz patrzyłem
Ukochanej mej istoty,

A w tej bladej, cudnej twarzy,
Igrał słońca promień złoty...

Płyną dźwięki, szumią fale,
Księżyc ze snu zwolna wstaje,
Niebo w ciemny szafir wpada,
Dusza biegnie w marzeń kraje...

Czarodziejsko mkną obrazy
Dolin, lasów i gór stoku,
A to wszystko ja widziałem —
W lubej mojej jasnym wzroku...

XLIV.

Widziałem we śnie kochankę moją,
Co mnie tak zdradnie rzuciła,
Zbladły jej lica, zgasł blask jej oczu,
I tajemnicza ich siła...

Dzieciątko małe niosła na rękę,
Drugie — tuliło się do niej,
Nędza i boleść w twarz jej się wryły,
W twarz, którą kryła w swej dłoni...

Szła smutnie, łzawo, w nieznaną drogę,
Rzewnem mnie darząc spojrzeniem,
I rzekłem, patrząc w jej blade lica,
Z tłumionem w sercu wzruszeniem...

— Pójdź do mej chaty, o, matko biedna,
Na kraj ubogiej tej wioski,
Ja cię wyżywię rąk moich pracą,
Zapewnię życie bez troski...

Będę twe dziatki pieścił, ochraniał,
I łzy ich prędko przeminą,
A głównie ciebie ochraniać będę,
Ciebie, nieszczęsna dziecino!

Nie wspomnę nigdy, żem Cię tak kochał,
 Żeś struła serce prostacze,
 A kiedy umrzesz, to nad twym grobem
 Łzami kochanka zapłaczę...

XLVI.

O! Nie bądźcie niecierpliwi
 Jeśli tony tej lirenki
 Zachowały jeszcze echo
 Dawnej, smętnej, mej piosenki!
 Chwilka jeszcze — a zamilkną
 Mych przebrzmiałych cierpień tony,
 A pieśń nowa, pieśń wiosenna
 Wzleci — z piersi uzdrowionej...

XLVII.

Czas już nareszcie, abym rozumem
 Wytępił serca swawolę...
 Dostyc już długo jako komedjant
 Grałem ucieszną swą rolę...
 Cudne kulisy barw romantycznych
 Publiki pieściły oko...
 Płaszcz mój złociste nosił oznaki,
 A serce — miłość głęboką...
 I chociaż teraz gardzę tem wszystkim,
 Z powagą mędrca na czole,
 Ciągłe się jeszcze czuję pajacem,
 Jakbym ucieszną grał rolę...
 Boże mój! Żartem tę myśl zdradziłem,
 Która me piersi rozszerza,

Ze strzałą śmierci w sercu skrwawionem
Rannego grałem szermierza...

LXIX.

Niech me serce nie rozpacza,
Niech i boleść tę wytrzyma,
Nowa wiosna to powróci,
Co zabrała sroga zima...

A jak wiele ci zostało!
Pocóż próżno wzdychać, szlochać,
Świat jest jeszcze dosyć pięknym,
Wszystko, wszystko, możesz kochać!

L.

Ty jesteś luba jak kwiat,
Tak piękną, czystą, powiewną...
Gdy patrzę na cię — pierś ma
Boleścią ścisną się rzewną...

Na głowę twą chciałbym dłoń
Położyć z modlitwą śpiewną:
Oby zachował Cię Bóg,
Tak piękną, czystą, powiewną...

LI.

Dziecko! Wszakże cię to zgubi...
Sam się starać będę śmiało,
By twe serce — uczuć żarem
Nigdy ku mnie nie pałało...

Łatwo to się udać może,
I to studzi chęci płoche —

Tak, że nieraz pragnę w duszy,
Byś kochała mnie, choć trochę...

LII.

Gdy na łożu odpoczywam,
Z przymkniętymi na wpół oczy,
Wciąż przed myślą mą się snuje,
Obraz piękny i uroczy...

Gdy zaś głowa rozmarzona
Zwolna na pierś mą opada,
Zaraz obraz ów precudny,
Do urojeń snu się wkrada...

Nie rozplywa się ów obraz
Wśród porannej zorzy białej...
Noszę go wciąż w sercu mojem,
Przez poranek i dzień cały...

LIII.

Dziewczę z różaną buzieczką,
Wzrok twój słodki, jasno drga,
Dziewczę lube, dziewczyneczko,
Lgnie do ciebie dusza ma...

Długi dzisiaj mrok zimowy...
Radbym już przy tobie być,
W twej komnatce, wśród rozmowy,
Tęsknić, dumać, marzyć, śnić...

Moich ust pocałunkami,
Pieścić chciałbym twoją dłoń,
I rzewnemi zraszać łzami,
Twoją białą, drobną, dłoń...

LIV.

Niech tam sobie wałą śniegi,
Niech rwie fala morza brzegi,
Niechaj dom mój chce zawalić,
Nigdy się nie będę żalić,
Bo w mej piersi, mej miłosnej,
Noszę ciebie i — czar wiosny...

LV.

Ci się modlą do Madonny,
Inni proszą o łask zdroje,
Ja — do ciebie pacierz wznoszę,
Luba moja, stonko moje!
Daj całusa i uczucia
W swem serduszku wzbudź rzewniejsze!
O, ty słońce wszystkich dziewcząt,
I pod słońcem najpiękniejsze.

LVI.

Czyż ci me blade oblicze,
Nie zdradza serca rozpaczy?
Chcesz więc koniecznie z ust dumnych
Usłyszeć głos mój żebraczy...

O! Usta moje zbyt dumne,
Całus się tylko w nich mieści,
Mogłyby bluźnić i szydzić,
Podczas najsroźszej boleści...

LVII.

Zakochany-ś przyjacielu!
Wciąż miłosne snujesz baśni,

W głowie twojej coraz ciemniej,
W sercu twojem coraz jaśniej...

Zakochany-ś przyjacielu!
Próżne są wybiegi wszelkie,
Widzę już miłosny płomień,
Co łśni przez twą kamizelkę...

 LVIII.

Chciałem zabawić przy tobie,
Odpocząć u ciebie trochę,
Lecz tyś się wciąż usuwała,
Wymówki tworząc wciąż płocze...

Kiedym się potem przed tobą
Z uczuciem zwierzał tajonem,
Tyś mi się w nos roześmiała,
Darząc figlarnym ukłonem.

Chciałaś mnie bardziej pognebić,
Wyszydzić moje kochanie,
Więc nawet, dumna, nie chciałaś
Całusa dać na rozstanie...

Lecz nie sądz, abym w rozpaczy
Na własne targnął się ciało,
To wszystko, czem mnie tak dręczysz,
Nieraz już mnie spotykało...

 LIX.

Twoje oczy — to szafiry,
Co ogniami świecą,
Trzykroć szczęsny, komu w duszy
Święty ogień niecą...

Twoje oczy — to brylanty,
Z blaski promiennemi,
Trzykroć szczęśny, komu gwiazdą
Świecą na tej ziemi...

Twoje usta — to rubiny,
Aniołów siostrzyce,
Trzykroć szczęśny, komu szepczą
Świętą tajemnicę...

Gdyby twego wielbiciela
Zdybać się zdarzyło,
Gdzieś, sam na sam, w cichym lesie,
Już by po nim było...

LX.

Okłamałem cię swą mową,
Zatraciłem duszy hart,
I spętany w własne sieci,
Często prawdą mienię żart...

Lecz ostrożnie! Swemi żarty
Wczesny mi zgotujesz grób,
Bo gdy wpadnę w piekiel matnię,
Będzie ze mnie — seryo trup...

LXI.

Świat jest zagadką... To mnie nie zraża,
Do niemieckiego mknę bakałarza,
On jeden tylko życie mi złoży,
I mądry system z niego utworzy,
Nawet szlafmycą swoją załata,
Wszelakie dziury w budowie świata...

LXII.

Łamałem sobie napróżno głowę,
Myśl — bruzdy zryła na czole,
Ale twe cudne, niebiańskie oczy,
Niezłomną dały mi wolę...

Zostanę teraz, gdzie oczy twoje
Jaśnieją w uroków sile,
Że po raz drugi tak kochać będę,
Nie mogłem śnić ani chwilę...

LXIII.

Dziś nocą u nich zebranie,
Dom świeci blaskiem jak w dzień,
Tam, na tle szyb kryształowych,
Smagły przesuwa się cień...

Mnie, stojącego w ciemności,
Nie sięga bystry twój wzrok;
I wejrzeć ci niepodobna
Tu, w serca mojego mrok...

Chmurne me serce cię kocha,
Lecz ból straszliwy je rwie,
I pęka i krwią się zalewa,
Lecz tego nie widzisz — nie!

LXIV.

Radbym, by moje cierpienia
Spłynęły w jeden słów żal,
Wichrom te słowa powierzę,
One poniosą je w dal...

Poniosą je one do ciebie,
Ten smutny cierpień mych jęk,
Byś w każdej chwili i miejscu
Słyszała straszny ów dźwięk...

A kiedy w nocnej godzinie,
Sen przymknie już oczy twe, —
Słowo to ścigać cię będzie
I dręczyć w najgłębszym śnie...

LXV.

Masz perły, masz dyamenty,
Masz, czego chcesz najgoręcej...
I w oczach urok masz święty,
Ach, luba! Czego chcesz więcej?

Na wzrok twój cudny, zamglony,
Piosneczek mnóstwo tysięcy
Wysnułem z serca skarbony...
Ach, luba! Czego chcesz więcej?

Twemi oczyma cudnemi,
Strułaś mi wiek pacholecy,
Do grobu wtrąciłaś mnie niemi —
Ach, luba! Czego chcesz więcej?

LXVI.

Kto raz pierwszy kocha w życiu —
Choć bez skutku — niebios sięga...
Lecz kto kocha bezskutecznie
Po raz drugi — niedołęga!...

Jam tym głupcem — bo bez skutku
 Kocham marzeń mych dziewczynę,
 Słońce, księżyc, ze mnie szydzą,
 I ja śmieje się, i — ginę...

LXVII.

Do twych uczuć miarkowanych
 Nie pasował szal złowrogi
 Mej miłości zapalonej,
 Co, wśród głązów, szuka drogi...
 Tyś kochała trakty bite...
 Miłość dla cię, rzeczą — marną...
 Więc cię widzę, jak przy mężu
 Kroczysz dumną i — ciężarną...

LXVIII.

Pani! Będę-ż ofukany,
 Jeśli drżące moje skronie,
 Ja — syn muzy rozkochany,
 Na twem śnieżnem złożę łonie?
 — Jakże śmiesz zuchwały panie,
 Głośno stawiać to pytanie?

LXIX.

Miałem rad po same uszy,
 I honorów byłem syt,
 Zapewniono mi protekcyę,
 Bym polepszyć mógł swój byt...
 Lecz, pomimo tej opieki,
 Wpadłbym w nędzy grzędką toń,
 Gdyby się nie znalazł człowiek,
 Co mi w biedzie podał dłoń...

Zacny człowiek! Dał mi wszystko,
Co mieć będę i co mam,
Szkoda, że go czcić nie mogę,
Bo tym człkiem, to — ja sam!

LXX.

Ów rozkoszny młodzieniaszek
Budzi we mnie zachwyt szczery,
Ostrygami mnie częstuje,
Daje wina i likiery...

Pyszne zawsze ma ubranie,
Chustka w krawat pysznie zwita...
Codzień rano spieszy do mnie
I o zdrowie moje pyta...

Rozповіда o mej sławie,
Wielbi żartów poczet długi...
Niestrudzony w życzliwości
Ciągłe świadczy mi usługi...

A wieczorem, w towarzystwie,
Gdy w natchnienia wpadnie tory,
Deklamuje pięknym damom,
Moje boskie rymotwory...

O! jak błogo, jak rozkosznie,
Widzieć taki wzór młodzika...
Zwłaszcza w naszych ciężkich czasach,
Gdy ród zacnych ciągle znika...

LXXI.

Raz mi się śniło, że — bożkiem,
I siedzę gdzieś — w niebios dali,
Że mam w krąg siebie aniołków
I chór ten — wiersze me chwali...

Że ciastka i konfitury
W porcyach zajadam ładnych,
Że kardynała zapijam,
I długów już nie mam żadnych...

Lecz straszna nuda mnie trapi...
Chciałbym już wrócić na ziemię,
I gdybym bożkiem tu nie był,
Szatanów zakląłbym plemię...

Hej! Gabryelu, aniele,
Weź za pas długie swe nogi,
I spraw, niech do mnie przyleci
Genio, przyjaciel mój drogi...

Nie szukaj go w audytoryum,
Przy smacznem szukaj go winie,
Nie szukaj go również w kościele,
Ale przy pięknej dziewczynie...

I anioł skrzydła rozwinął,
I sfrunął — jak zawierucha,
I wnet przed tron mój przyciągnął
Genia — lubego mi druha...

Tak—chłopcze! Jam twoim panem,
Jam rządcą globu ziemskiego,
Wszakże ci zawsze mawiałem,
Że wyjdę na coś dobrego...

I cuda sprawiam nielada,
Będiesz w zdumienia porywie,
Na dowód — spojrzaj na Berlin,
Cudem go wnet uszczęśliwię...

Niechaj za moim rozkazem
Pękną kamienie uliczne,
I niechaj w każdym brukowcu
Ostrygi siedzą prześliczne...

Niechaj wnet deszcz cytrynowy,
Zrosi te smaczne kamienie,
W stokach, co żłobią ulice,
Wina niech płyną strumienie!...

Jakąż rozkoszą przejęci,
Przezacni ci berlińczycy!
Panowie z sądu miejskiego
Zmiatają nektar z ulicy...

Jakże się cieszą poeci,
Z takiej niebiańskiej potrawy!
Lejtnanci i chorążowie
Spieszą do walnej rozprawy...

Lejtnanci i chorążowie —
To ród najmędrszy na świecie;
Wie on, że cud ten niezwykły
Nie zawsze zdarza się przecie!

LXXII.

W miesiącu lipcu was opuściłem,
A w styczniu wróciłem wraz;
Wówczas byliście żarem przejęci,
Teraz, wy zimni — jak gład...

Gdy znów odejdę i znów powrócę,
Żar wasz przeminie i chłód,
Po nad grobami przejdę waszemi,
Z sercem tak zimnem jak — lód...

LXXIII.

Od ust twych pięknych odejść musiałem,
Rozkuć uścisków twych stal...
Chciałem pozostać choćby dzień jeden,
Lecz rumak uniósł mnie w dal...

Oto jest życie! Wieczna rozłąka,
 Wieczne żegnanie i lzy...
 Czemuż twe serce mnie nie wstrzymało?
 Twój wzrok — co w duszy mej tkwi?

LXXIV.

W ciemnej, pocztowej karecie,
 Samiśmy przez noc jechali...
 Było tam westchnień bez liku,
 Szeptaliśmy wciąż, żartowali...
 Lecz kiedy dzionek zawitał,
 Któż me zdziwienie powtórzy?
 Między nas wcisnął się — amor,
 Ślepy towarzysz podróży...

LXXVI.

Jakby widziadła współsenne
 Domy czernieją przy drodze,
 Odziany płaszczem szerokim,
 Milcząc ulicą przechodzę...
 Wieża katedry wysokiej
 Bije dwunastą godzinę,
 Teraz, z pieśczołą, z tęsknotą,
 Czeka mnie dziewczę jedyne...
 Księżyc mi wciąż towarzyszy,
 I czuwa nad moim losem,
 Lecz otóż staję u celu,
 I wołam radosnym głosem:
 „Dzięki ci, druhu mój stary,
 Że tak oświecasz mą drogę,
 Idź teraz, innym przyświecaj,
 Już teraz zwolnić cię mogę...”

„A gdy napotkasz kochanka,
Co serca przeplakał straty,
Przynieś mu taką pociechę,
Jaką mnie niosłeś przed laty...

LXXVII.

Tys mi w uściskach usta zraniła,
Chciej więc całusem pocieszyć...
A choć nie skończysz z tem do wieczora,
Nie masz się czego tak spieszyć...

Wszakże nas czeka jeszcze noc długa,
Najdroższy ty mój aniele,
A przez noc taką — dość będzie czasu
Cieszyć, całować się wiele...

LXXVIII.

Gdy już zostaniesz mą ślubną żoną,
Uciech spodziewaj się wiele —
Będziesz szczęśliwą, będziesz wielbioną,
Czeka cię samo wesele...

Wszystko od ciebie zniosę cierpliwie,
Choćbyś mnie nawet i biła...

Lecz gdy rymami cię nie roztkliwię,
Czeka cię rozwód, o, miła!

LXXIX.

Gdy mnie w objęciach miała kochanych,
Dusza ma w niebios biegła obszary,
A gdy tam biegła, jam z ust różanych
Natchnień wysysał nektary...

LXXX.

Ach! W całusach jakież kłamstwo!
 Jakaż w nich uludy nie!
 Ach! Jak słodko innych zdradzać,
 Jakiż czar — zdradzonym być...

Luba! Chociaż tak się bronisz,
 Wiem, na co zezwolić chcesz,
 Wierzę w to, co mi przysięgasz,
 Na to klnę — w co wierzyć śmiesz...

LXXXI.

Na twem śnieżystem ramieniu
 Znużoną oparłem głowę,
 I, z cicha, z twojem serduszkiem,
 Tajemną wiodę rozmowę...

Lecz gdy mnie jutro porzucasz,
 Dziś jeszcze święć serca spójnię,
 A w twych rozkosznych objęciach
 Będę szczęśliwym — podwójnie...

LXXXII.

Już z miasta pędzą huzary,
 A na ich czele dobosze,
 Ja wracam, luba, do ciebie,
 I wieniec róż ci przynoszę...

To mi rozgardjasz dopiero!
 Żołdactwo wszystko zabiera...
 Ba! Nawet w twojem serduszku
 Była czasowa kwatery...

LXXXIII.

W sercu mojem już za młodu,
Tkwił ślad cierpień i zawodu,
Płomienisty męczarń znak...
Lecz dziś drzewo jest zbyt drogie!
I już gasną żary srogie,
Ma foi! Niech będzie tak!

Lecz pamiętaj, ma dziewczyno,
Niechaj troski cię ominą,
I wspomnienie myśli złych...
Jeśli życie ci zostało,
Odśwież swoją miłość całą,
Ma foi! W objęciach mych...

LXXXIV.

Czy na prawdę żal masz do mnie?
Czegoś ciągle zła i smutna,
Przed wszystkimi się poskarżę,
Żeś tak dla mnie wciąż okrutna...

O, niewdzięczne cudne usta,
Jak możecie dziś tak drwiąco
O człowieku się wyrażać,
Co tak pieścił was gorąco?

LXXXV.

Ach! Toć znów te same oczy,
Co tak mile mnie witały,
Toć to znów te same usta,
Co mi życie osładzały...

Toć to znowu głos mi znany,
Śpiewny, dźwięczny, miodo-płynny,

Tylkom ja sam tak zmieniony,
Tylko ja wróciłem — inny...

Opasany ramionami
Mej bogdanki rozmarzonej,
Tulę się do jej serduszka,
Dziwnie chmurny, zniechęcony...

LXXXVI

Cudnie było — gdy me ciało
Chuć tłumiło wszelką,
Lecz i gdy się nie udało,
Miałem rozkosz wielką...

LXXXVII.

Nie rób mi wstydu swoim ukłonem,
Gdy widzisz mnie pod lipami,
Będzie to wszystko wnet załatwionem,
Gdy w domu znajdziem się — sami...

LXXXVIII.

Tak, druhu! Tu, pod lipami,
Znajdziesz serce wszystkich podniety,
Tu możesz znaleźć pospołu,
Najrozkoszniejsze kobiety...

Kwitną tak cudnie, przedziwnie,
W barwnych swych szatach jedwabnych,
Poeta trafnie w nich znalazł
Odblask kwiateczków powabnych...

Jak strojne te pióropusze!
Przepyszne tureckie szale,
Policzki, szyje tabędzie,
Wszystko tam kwitnie wspaniale...

LXXXIX.

Rzadkoście mnie rozumieli,
Rzadkom ja rozumiał was,
Tylko gdyśmy w błocie brnęli
Rozumieliśmy się wraz!

XC.

Lecz narzekali kastraci
Z układną minką niebiańską,
Żalili się, żalowali,
Że śpiewam trochę grubiańsko...

I dźwięcznym chórem wznosili
Swoje słodziutkie głosiki,
Śpiewali słodko, rozkosznie,
Kryształowemi tryliki...

Śpiewali o serc tęsknocie,
O uczuć harmonii ślicznej,
Damy aż we łzach tonęły,
Przy uczcie tej artystycznej...

XCI.

Nad wałami Salamanki,
Lekki zefir igra mile,
Tam, wieczorem, z donną moją
Spieszę, błogie spędzać chwile...

Wiotką kibić mej kochanki
Opasuję mem ramieniem,
Czuję serca żywsze bicie,
Słodkiem poję się marzeniem...

Ale nagle wietrzyk trwożny,
Przez gałęzie drzew się wdziera...

I jezioro sine w dali
Szemrze, barwę chmur przybiera...

Ach sennora! Mam przeczucie,
Że grochowe dasz mi wianki,
I że więcej nie postanę,
Na tych wałach Salamanki!

XCII.

Mieszka przy mnie don Henrico,
Co to pięknym jest nazwany,
A komnaty nasze dzielą
Cienkie tylko z drzewa ściany...

Płoną damy Salamanki,
Gdy on błądzi ulicami,
Wąsik czarny, mina strojna,
Otoczony zawsze psami...

Lecz gdy wieczór już się zbliża,
Sam w pokoju biedny siedzi,
W rękę trzyma mandolinę
I jak przez sen ciągle bredzi...

I po strunach palcem trąca,
Śpiewem głosi swe kochanie,
Ach! Jak gniewa mnie i drażni
Ustawiczne to brzdąkanie!...

XCIII.

Ledwiem cię ujrzał, zaraz poznałem
Żem twemu sercu jest miły...
Gdyby zła matka przy nas nie stała,
Usta by wnet przemówiły...

Jutro, porzucę znowu miasteczko,
Ucieknę w dal bez wytchnienia,
I do okienka, gdzie lśni twa główka,
Przyjazne rzucę spojrzenia...

XCIV.

Już po nad góry wstaje słońeczko,
Baranki dzwonią, ryk słychać krów,
Słońko ty moje, luba dziewczeczko,
Jakże bym pragnął ujrzeć cię znów!
Spoglądam w górę okiem kochanka,
„Bądź zdrowa, wołam, słońko już lśni!“
Ale napróżno... Nie drga franka,
Luba śpi jeszcze... Czy o mnie śni?

XCVII.

Rozmarzony, letni wieczór,
Okrył niwy, łąki, lasy,
Złoty księżyc na błękiecie,
Zdobi ziemię swemi krasy.

Muska stawek jaskółeczka,
Woda cicho szemrze, dyszy,
A wędrowiec to pluskanie,
I te ciche szepty słyszy...

W stawie kąpie się rusałka,
Ślady nóg wyciska w piasku,
Śnieżna szyja jej i ramię,
W księżycowym świecą blasku...

XCVIII.

Noc na obcych drogach drzemie,
Serce chore, łza na licu...

W tem, jakby zbawienie sływa,
Blade światło tve, księżycu...

O! księżycu, blaski twoje
Noc łagodzą promieniami,
Rozpływają się me bóle,
Oczy me zachodzą łzami...

XCIX.

Śmierć — to noc, zimna, ponura,
Życie — dniem skwarnym, bez cienia,
Nad słońcem zawisła chmura,
Sił nie mam — szukam wytechnienia...

Szumią nad łożem mem drzewa,
I słowik w nich przyczajony,
Żałosne piosenki śpiewa,
O mej miłości — prześnionej...

C.

Powiedz, gdzież jest twa kochanka,
Której snuteś pieśni zwoje,
Gdy płomienie wszechpotężne,
Przenikały serce twoje?

Ach! Przygasły te płomienie
I zastygła pierś pod łzami,
A ta książka — mieści urnę,
Z mej miłości popiołami...





ZMROK BOGÓW

przekład

Μιζονα.



Maj przybył! Przybył z słońcem, jak złoto świecącym,
Z swym jedwabnym zefirem i technieniem duszającym,
I przywabia ponętnie świeżemi kwiatkami,
Pozdrowia niebieskimi fijołków oczami.
I przepyszny kobierzec, misternie utkany,
Z złotych światel i rosy rzucając na łany,
Przywołuje nań zewsząd rój człowieczych dzieci,
Który z śmiechem radości posłuszny mu — leci.
Mężczyźni kładą świeże pludry nankinowe,
I z lśniącemi guzami fraki szafirowe;
Młódź piękna, w biel się stroi, barwę swojej sławy,
Młódź pod nosem zakręca wąsików objawy,
A miejskie wierszoroby do kieszeni kładą,
Szkiełka, papier, ołówki, i całą gromadą,
Wszyscy z gwarem radości biegną za rogatki,
I tam, ległszy na brzuchach, zrywają pstre kwiatki.
Dziwią się, że tak pilnie rosną sobie drzewa,
Słuchają, jak rój ptasząt ucieszony śpiewa,

I z piersi ich wezbranych okrzyki zachwytów,
Lecą w górę, het, aż tam! do jasnych błękitów...

.
I do mnie maj też przyszedł... Zapukał trzykrotnie
Do drzwi i rzekł: „Maj twoją odwiedza samotnie,
Wybladły marzycielu, pójdź w moje objęcia“!
Lecz jam mu odrzekł przez drzwi na słodkie zaklęcia:
— Próżno niemiły gościu wołasz mnie do siebie,
Ja bowiem, zwodzicielu, znam na wylot ciebie,
I cały ustrój świata, o tak, znam za wiele,
Z chorej mej duszy dawno pomknęło wesele,
I serce moje szarpia wciąż cierpień pazury,
I widzę wszystko, wszystko, przez te grube mury:
Ludzkie domy i ludzkich serc ciemne głębiny,
I w jednych, jak i drugich, fałsze, zdrady, winy;—
Na obliczach ich czytam, co myślą w skrytości,
Odkrywam pod dziewczyny rumieńcem skromności,
Przenamiętnej rozkoszy pragnienie pałace,
A na łbach mędrków, dzwonki pajaca szydzące.
O tak, ja w tego świata olbrzymiej przestrzeni,
Prócz kuglarskich obrazów i powiewnych cieni
Nie widzę nic: i ciągle zapytuję z żalem—
Czy on domem warjatów jest, czy też szpitalem?
Oczy moje przenikły ziemi piersi czarne,
Niby szybę z kryształu i lśnią mi poczarne,
Straszne, okropne dziwy, które maj daremnie
Pragnie skryć i swym czarem zasłonić przyjemnie.
Widzę w grobach, z oczami w kole, wyciągniętych
Bładych trupów, z rękami na piersiach wpadniętych,
I plugawych robaków, co im z ust wciąż liżą...
I obwisłe przy kościach reszty ciała gryzą...
Widzę syna, co spieszy z piosenką radosną,
Na grób swojego ojca, na schadzkę miłosną,
I tam, z swą zalotnością siada, — i złośliwie

Blade kwiaty się śmieją — słowik przeraźliwie
Wrzeszczy, a ojciec budzi się z licem złowieszczem,
I matka ziemia wzdryga się boleści dreszczem...

O biedna, biedna ziemio, ja znam twe cierpienie,
Widzę, jak ci pierś palą trawiące płomienie,
Jak z żył twych krew gorąca, nieustannie bije,
I z ran otwartych ogień i dym się wciąż wije...
Widzę synów twych, straszna olbrzymów gromada,
Machając pochodniami z przepaści wypada,
I wściekle wyjąc hymny, pełne klątw i zgrzytu
Po żelaznych drabinach drze się do błękitu.
A w ślad za nimi pełza reszta karłów z wrzaskiem;
Gwiazdy podruzgotane odpadają z trzaskiem;
Złote zawiasy łamią ciosy rąk zuchwałych,
I spada w dół strącony rój aniołów białych.
A błądy władca siedzi na tronie — i z głowy,
Zdarłszy promienny djadem — wyrывa włos płowy,
I coraz bardziej zbliża się zastęp szalony,
Z krzykiem, w dal swych pochodni ciska grań czerwony,
A karły zaś za włosy pochwycawszy, wleką
Aniołów i biczami ognistemi sieką,
A strwożeni uchodzą przed napaścią ową,
I mój anioł kochany, z twarzą lilijową,
Jasnowłosy, na ustach z miłością bez końca,
I oczyma lśnięcemi jak lazur od słońca,
Ucieka — i na niego karzeł czarny, krzywy,
Wpada — zdziera płaszcz jasny i szarpie krwi chciwy
Zębami białe ciało i krzyk straszny w dali,
Wyje jak huk piorunów, z łoskotem się wali
Wszystko, niebo i ziemia i w szatach ciemności
Stara noc włada w głuchych przestrzeniach nicości...



NOWA WIOSNA

przekład

Alexandra Kraushara.

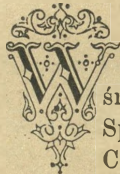
JOHN A. HORN

1890

THE UNIVERSITY OF CHICAGO



PROLOG.



śróǳ galeryi mistrzów pędzła
Spotykacie się z rycerzem,
Co to wybrał się na wojnę
Z bronią, lancą i pancerzem...

Lecz amorki rozpasane
Wrywają miecz mu z dłoni,
Opasują wieńcem z kwiatów,
Choć się rycerz szemrząc broni...

Tak, wśród błogich przeciwności,
Wciąż się miotam w cierpień znoju,
Gdy tymczasem inni walczą —
W wielkich czasów naszych boju...

I.

Pod śnieżystem siedząc drzewem,
Słyszysz zdala wichrów tony,
Widzisz jak milczące chmury
W mgły chowają się obsłony...

Widzisz, jak zamarło wszystko,
Las i błonia szronem ścięte,
W koło zima, w tobie zima,
I tve serce zamarznięte...

Nagle widzisz, jak w twych oczach
Wszystko światłem się oblało,
Sądzisz, że cię białe drzewo,
Pyłem śniegu osypało...

Lecz to nie są płatki śniegu,
To wiosenne są powiewy,
Oko twoje nęca, drażnią,
Te zielone, cudne krzewy...

Co za rokosz, urok jaki!
Widzisz wiosnę wśród parowu,
Śnieg zamienia się w listeczki,
A tve serce kocha — znowu...

II.

W lesie wszystko się zieleni,
Nowe kwiatki szybko rosna,
Słońce uścisk ziemi zsyła,
Witaj, witaj, młoda wiosno...

Mój słowiku! Już i ciebie,
I tve cudne trele słyszę,
A pieśń twoja, pieśń wiosenna,
Miłosnemi szeptu dysze...

III.

Wiosennej nocy wzrok powłóczył się,
Pociechę duszy twej niesie...
Jeśli cię miłość z wyżyn strąciła,
Ona cię znowu podniesie...
Z liści wysmukłej, zielonej lipy,
Pieśń Filomeli w dal spływa,
Gdy śpiew jej cudny pierś mą przenika,
Do lotu dusza się zrywa...

IV.

Kocham kwiat pewien—lecz nie wiem jaki?
I to mnie boli —
Więc w kwiaty wszystkie, szukając serca,
Wglądam powoli...
Kwiateczki wszystkie wonią przejęte,
Słowiczek śpiewa,
Więc szukam serca, co, tak jak moje
Kocha — omdlewa...
Słowiczek śpiewa, a ja rozumiem
Co go zachwyca —
Bo nas oboje tęsknica dręczy —
Serca tęsknica...

V.

I maj już nadszedł uroczy,
Kwitną już kwiaty i drzewa,
Z błękitem niebios przezroczy
Różowy obłok się zlewa...
Z liściastej, wonnej altanki,
Słowików spływają tony,

I skaczą białe baranki
Po miękiej trawce zielonej...
Chciałbym się oddać zabawie,
Mieć udział w tańcu ochoczym,
Lecz chory leżę na trawie
I marzę — sam nie wiem o czem...

VI.

Cicho płynie dźwięk w mej duszy,
Płynie z szumem fal,
Dzwoń wiosenna ma piosenka,
Dzwoń w bezmierną dal...

Dzwoń piosneczko, aż do chatki
Gdzie jest trawnik róż,
Gdy tam jedną z nich napotkasz —
Ukłon mój jej złóż...

VII.

Motylek w róży jest zakochany,
Kraży w koło niej bez końca,
A w koło niego kraży świetlany
Promyczek złotego słońca...

Lecz w kim się kocha piękna różyczka?
To mi zagadka pałaca!
Czy się domyślać tutaj słowiczka?
Czy kocha gwiazdka milcząca?

Nie znam miłości różyczki gońca,
Ja jednak wszystkie was wielbię:
Różo, motylku, promyczku słońca,
Słowiku, gwiazdko i — ciebie!

VIII.

Brzmia weselem wszystkie drzewa,
Z gniazd wzlatają śpiewne tony;
Któż jest owym dyrektorem
W tej orkiestrze drzew zielonej?

Czy nim jest ów dzięcioł stary,
Co swym dziobem w drzewo puka?
Czy pedantem tym — kukułka,
Która w takt zawzięcie kuka?

Czy nim jest poważny bocian,
Co swe długie, cienkie nogi,
Równocześnie w takt posuwa,
Jakby zamiar knuł złowrogi?

Nie! To w mojem własnem sercu
Jest siedziba dyrektora...
On to bije takt i nosi
Nazwę — zda mi się — amora!

X.

Noc cudna, ciepła, istic wiosenna,
Kwiat w ziemi zbudziła łonie...
Jeśli me serce czujnem nie będzie,
To znów miłością zapłonie...

Lecz któryż kwiatek, ze wszystkich kwiatów
Swoją przykuwa mnie władzą?
Śpiewne słowiki — druhowie moi,
Lilji obawiać się radzą!

XI.

W dzwon niech na trwogę uderzą!
Zmysły się moje rozprzegły,

Wiosna i oczy urocze
Przeciwko mnie się przysięgły...

Wiosna i ócz pięknych dwoje,
Obłądy w sercu mem szerzą...
Sądzę, że róże, słowiki,
Do spisku tego należą...

XII.

Za miłości tęsknię łzami,
Aby zwilżyć pierś spragnioną,
Lecz się, lękam że ta prośba
Może jeszcze być spełnioną...

Ach, miłości słodkie męki,
Gorzkie łzy, co dręczą łono,
Znów tajemnie się wkradają,
W pierś niedawno zagojoną...

XIII.

Błękitne oczy wiosenne,
Rosą jak łzami zalane.
Są to prześliczne fijołki,
Do wieńca lubej zebrane...

Zrywam je w rzewnej zadumie,
Lecz to, co serce me smuci,
I wszystkie myśli me ciche,
Słowiczek głośno już nuci...

Tak! wszystkie myśli me skryte,
Wydała ptaszęca zdrada,
I rzewną mą tajemnicę,
Calutki las już posiada...

XIV.

Gdy przechodząc mnie dotykasz,
Rąbkiem lśniącej swej odzieży,
Drży me serce, i namiętnie
Za twym śladem pięknym bieży...

Wtedy zwracasz się w mą stronę,
Oczy twoje lśnią jak zorze,
I me serce przeleknione,
Już za tobą biedz nie może...

XV.

Wysmukłe lilji ramiona
W toni jeziora się plotą...
Księżycą twarz rozjaśniona,
Wita je drgań swych pieszczotą...

Swą główkę lilja zmieszana
Chyli ku fali wzburzonej...
Spostrzega nagle młodziana,
Co klęczy, blady, zbiedzony...

XVI.

Jeśli w głębię moich pieśni
Wzroku twego wniknie władza,
To zobaczysz młode dziewczę,
Jak się po nich wciąż przechadza...

Jeśli słuch posiadasz dobry —
To usłyszysz głos nieznaną,
Śmiechem, śpiewem i westchnieniem
Będziesz wkrótce opętany...

Gdyż jej słowo, jej spojrzenie,
W świat uludy cię uniesie,

Będziesz jak marzyciel wiosny,
Błądził, jak i ja, po lesie...

XVII.

Czego tak błądzisz wiosenną nocą?
Kwiatki tajemnem światłem migocą,
Fijołki zdjęte są trwogą...
Róże, rumieńcem szkarłatnym płoną,
A lilje blade, z główką zwieszoną,
W błękity piąć się nie mogą...

Luby księżycu! O, jakże skromny
Jest ród tych kwiatów! A ja, niepomny,
Ból im sprawiłem słowami...
Lecz mógłłem wiedzieć, że mnie słuchały,
Kiedym miłością przejęty cały,
Rozmawiał z niebios gwiazdami?...

XVIII.

Niebieskie oczy twe,
Miłosną budzą trwogę...
Gdy na nie patrzę się,
Słowa szepnąć nie mogę...

O nich zblizka i zdala,
Gdzie jestem — ciągle śnię,
Niebieskich myśli fala
Zalewa serce me...

XIX.

Znów me serce ujarzmione,
Dawna niechęć już — wspomnieniem,
Znowu cudny dzień majowy
Rzewnem duszę przejął tchnieniem...

Znowu rankiem i wieczorem
Na przechadzkach plany snuję,
I pod każdy kapelusik
Z ciekawością podpatruję...

Znowu staję po nad rzeką,
Wzrok ogarnia nieb przestrzenie
Ach! Być może, że ma luba
Z łódki rzuci mi spojrzanie...

W szmerze kaskad ciągle słyszę
Ciche szepty, łzy i żale,
I me serce znów rozumie
Co te białe mówią fale...

W labiryncie ogrodowym
Znów miłosnych szukam zdarzeń...
A ptaszęta na drzewinach
Szydzą z moich głupich marzeń...

XX.

Róża tak pachnie! Lecz czy odczuwa
Woń liści swoich? Czy słowik cudny,
Wie, jakim czarem duszę osnuwa,
Śpiew jego rzewny, ułudny...

Odpowiedź trudna — budzi zwątpienie,
A choćby słowik i róża
Prawdę tały... miłem — złudzenie,
Co się z ich uczuć wynurza...

XXI.

Że kocham ciebie — muszę uciekać,
Z sercem okrytem żalobą...
Czyż mogę smutny, gniewny, stroskany,
Być obok ciebie i z tobą...

Że kocham ciebie — twarz moja blednie,
Policzki chudną mi srodze...
Jeszcze mnie kiedyś nazwiesz szkaradnym,
Więc przebacz mi, że — odchodzę...

XXII.

Błądę pomiędzy kwiatami,
Owiany wiosny urokiem —
I błądę jak w rozmarzeniu,
Niepewnym z wzruszenia krokiem...

Trzymaj mnie silnie, o luba,
Niech się mój zapal ostudzi...
Do stóp twych mógłbym się rzucić,
A ogród pełen jest ludzi...

XXIII.

Jak księżycyca srebrna tarcza
Drga, gdy tonie w gniewnym morzu,
A on sam — spokojny, stały,
Po niebiańskim mknie przestworzu...

Tak i ty, jesteś spokojną,
Tylko postać twa natchniona
Drga swym blaskiem w piersi mojej,
Co tak dziwnie jest wzburzona...

XXIV.

Me serce i serce twoje,
Zawarły święte przymierze,
Silnie do siebie przyległy,
I zrozumiały się szczerze...

Tylko młodziutką różyczkę,
Którą się pierś twa zdołała,
Wiernego nam sprzymierzeńca,
Zgniotła uścisków tych siła...

XXV.

Któż to wynalazł chłodne zegary?
Chwile, minuty? — te czasu miary,
Był to zapewne człowiek kamienny,
Siedział wśród zimy, myślą brzemienny,
I liczył myszek ciche chrupania,
Lub smutnych świerszczów żalosne drgania...

Lecz kto wynalazł całusy rzewne?
Był to szczęśliwy człowiek zapewne,
Całował tylko, dumął o rajach,
O cudnej wiośnie, o pięknym maju,
Kwiatki tryskały z trawników łona,
A w niebo piosnka biegła natchniona...

XXVI.

Jakaż cudna woń gwoździaków!
Jakiemż dziwnem światłem nowem
Drgają gwiazdki, jak rój pszczołek,
Na tle niebios fijołkowem...

W pośród gęstych drzew gałęzi,
Widzę domek niski, lśniący,
Słyszę już skrzyp drzwi oszklonych,
I jej głosik — srebrno brzmiący...

Błoga chwilo powitania!
Któż o rajach przy niej nie śni?
Róże nas już podsłuchują,
I słowików słyszeć pieśni...

XXVII.

Czyż nie miałem już w marzeniach
Tak czarownych słów pociechy?
Czyż nie śniły mi się drzewa,
Kwiaty, blaski i uśmiechy...

Czyż przez liście nie lśnił księżyc,
Nie drgał w białej stawu fali?
Czyż bogowie marmurowi,
U twych progów nie czuwali?...

Ach! wiem ja, jak się zmieniają
Sny, gdy chłodna myśl dojrzewa,
Jak się w śnieżny całun kryją,
Biedne serca, kwiaty, drzewa...

Jak i my ziębniemy zwolna,
Każdy w swoją idzie stronę,
Jak powoli się rozstaje,
Serce z sercem skojarzone!...

XXVIII.

Pocałunki, co, w ciemnicy
Odkradane — życie kraszą,
Te całusy — jakimż rajem,
Napełniają duszę naszą...

Pełna przecuć, wspomnień żądna,
Biegnie dusza w gwiazd krainę,
Marzy trochę o przeszłości,
O przyszłości odrobinę...

Pocóż jednak myśl utrudzać,
Gdy się całus duszą wchłania?
Roń lży lepiej, duszo miła,
Płacz łatwiejszym od — dumania...

XXIX.

Był raz król stary, pochyły,
Włosy miał szronem srebrzone,
Pojął on, chociaż podżyły,
Młodziutkie dziewczę za żonę...

Był piękny paż w jego dworze,
Młody — jak wiosny bławaty,
Śpiewał w królowej komorze,
I trzymał rąbek jej szaty...

Lecz straszne pieśni podboje!
Słuchajcie, co było dalej,
Oto — umarli oboje...
Bo zbyt się pokochali...

XXX.

Znów zakwitł wspomnień mych krzew,
Które czas mrozi i ziębi,
Dlaczego słów twoich śpiew,
Tak mnie dziś wzrusza do głębi?...

O, nie mów, że kochasz mnie...
Wiem, że i miłość serc szczerą,
Że piękno, że wiosny dnie,
Że wszystko z czasem zamiera...

Więc nie mów, że kochasz mnie,
W milczeniu uścisk mi złóż,
Gdy wrócę — ach, nie dziw się,
Że ujrysz zwiędły pęk róż...

XXXI

„Księżycowym, srebrnym blaskiem,
Lip wysmukłych błyszczą kwiaty,

I słowików cudnym śpiewem,
Dyszą gajów aromaty“...
„Jakże tutaj siedzieć miło,
Jak nam wszystko w duszy śpiewa,
Kiedy blaski księżycowe,
Przez gałęzie świecą drzewa“...
„Liść lipowy ma kształt serca,
Z jego cudnem wykończeniem,
I dlatego — zakochani,
Radzi siedzą pod lip cieniem“...
„Widzę uśmiech na twojej twarzy,
Patrzysz na mnie wciąż miłośnie,
Powiedz, luba! Jakaż żądza,
W sercu twojem teraz rośnie“?...
„Luba moja, gdy chcesz poznać
Chęci moich tajemnicę,
Radbym, aby wiatr północny
Białą przyniósł nam śnieżycę“...
Byśmy w futra otuleni,
W dal pomknęli saneczkami,
I cieszyli się w tej jeździe,
Trzaskiem bicia i dzwonekami...

XXXII.

Raz spostrzegłem elfów grono,
Gdy pędziło przez las cwałem,
Harmonijne rogów granie
I brzęk dzwonek usłyszałem...

Mile oko zabawiała
Złota uprząż ich rumaków,
A łabędzie elfów grono,
Mknęło chyżo lotem ptaków...

Mile śmieje się królowa,
Kiedy z drogi nagle zbacza,
Czy to miłość odrodzoną,
Lub, czy śmierć, ów śmiech oznacza?

XXXIV.

Rankiem daję ci fijołki,
Którym zebrał idąc borem,
A w noc późną znoszę róże,
Jakie zrywam nad wieczorem...

Wiesz ty jednak — jaki symbol
Dar ów wonny znaczyć może?
Byś mi we dnie była wierną,
A kochała w nocnej porze...

XXXV.

List, którym dostał od ciebie,
Nie świadczy miłej usługi,
Nie chcesz mnie kochać już więcej,
Lecz list twój nieco przydługi...

Dwanaście stroniec pisania...
Toć to manuskrypt tomowy!
Tak się nie pisze obszernie,
Wieniec wręczając grochowy...

XXXV.

Nie obawiaj się, bym zdradził
Miłość moją wobec świata,
Choćby słowa ust mych — kryła
Alegoryj mglista szata...

W nieprzejrzanym kwiatów lesie,
Leżą duszy mojej tony...
Owa wrząca tajemnica,
Płomień, w duszy mej tajony...

Nie obawiaj się, choć róża
Snopem iskier się rozżarza...
Świat nie wierzy już płomieniom,
Za poezye je uważa...

XXXVI.

Cudna wiosna w dzień i w nocy,
Mąci spokój moich wrażeń,
Jak zielone, dźwięczne echo,
Wnika wciąż do moich marzeń...

Pod jej tchnieniem — coraz chyżej
Płynie w niebo rój skrzydlaty,
Gdy łagodniej zefir wieje,
Czuję fjołków aromaty...

I czerwieniej kwitną róże,
Złotą glorią otoczone,
Jak niebiańscy aniołkowie
Wieńczą skronie w gwiazd koronę...

Zdaje mi się, żem słowikiem,
I trelami boleść koję,
Że tym różom najpiękniejsze,
Śpiewam pieśni, hymny moje...

Aż mnie budzi świt słoneczny,
Swą płomienną, jasną twarzą,
Wtedy inne już słowiki,
Pod mym oknem czule gwarzą...

XXXVII.

Rój gwiazdeczek złotonogich
Po niebiosach cicho mknie...
Aby ziemi nie obudzić,
Co spoczywa w słodkim śnie...

Nieme lasy cicho drzemią,
Słychać wolny takt ich tchnień,
I marząco się wydłuża
W dal, wysokiej góry cień...

Ale cicho! Do mej duszy
Spływa jakieś echo z drzew...
Byłżeby to głos kochanki?
Lub słowika cichy śpiew?

XXXVIII.

Wiosna jest smutną i jej marzenia
Smętnemi są. I każdy kwiat
Bólem przejęty. Słowików pienia
Noszą na sobie cierpień ślad...

Nie bądź wesołą, luba dziewczyno!
Współczucie miej dla cierpień mych...
Ja ci te łezki, co z ocz popłyną,
Zcałuję z pięknych lic twych...

XXXIX.

I znów mnie los porywa w dal...
I znów me serce w grubej żałobie...
I znów mnie los porywa w dal...
O! Jakże radbym zostać przy tobie...

Już dudni wóz, rumak się rwie...
Pod mostem, cicho, w dal płynie rzeka,
I znowu szczęście opuszcza mnie;
I znów od ciebie będę zdaleka...

Po niebios tle mkną roje gwiazd,
Jakby je przestrach gnał niewstrzymany,
O! Żegnam cię! Wśród obcych miast,
Wszędzie ci sercem będę oddany...

XL.

Ledwo wzrosły życzenia —
Już swe główki schyliły...
Trwa to do nieskończenia
I tak trwa do mogiły...

Nie może być inaczej!
I to właśnie mnie gniewa...
Serce moje — z rozpaczy
Krwią się w piersi zalewa...

XLI.

Błękit dzisiaj tak wygląda
Jak twarz starca nad mogiłą,
Zimny, smutny i chmur grono
Jakby płaszczem go okryło...

Gdy na ziemię rzuca okiem,
Musi wędnać każde kwiecie,
Musi wędnać pieśń i miłość
Na sierocym, smutnym świecie...

XLII.

Zgorzkniały, z sercem zimnem jak lód,
Ponuro błędzę przez zimny świat...
Nadomiar — jesień i gęsta mgła
Zaciera zmarłych okolic ślad...

I szumi wiatr... Zziębniętych drzew
Czerwone liście kołysze dreszcz...
I ziewa las, mgła pędzi z pól,
A co najgorsza... już pada deszcz!...

XLIII.

Mgłę jesienną, sny lodowe,
Wiatr rozpędza zawieruchy,
Obnażone z liści drzewa
Wyglądają jak złe duchy,

Jedno tylko drzewo smutne
Dźwiga jeszcze zieleń płową,
Zwilgotniałe cierpień łzami,
Swą zieloną trzęsie głową...

Ach! Me serce tem pustkowiec,
Pozbawionym życia głazem...
A to drzewo liścia pełne,
Twoim, luba, jest obrazem...

XLIV.

Niebo szare i codzienne,
Miasto w nudach wegetuje,
Ciągłe jeszcze głupie, marne,
W nurtach Elby się rysuje...

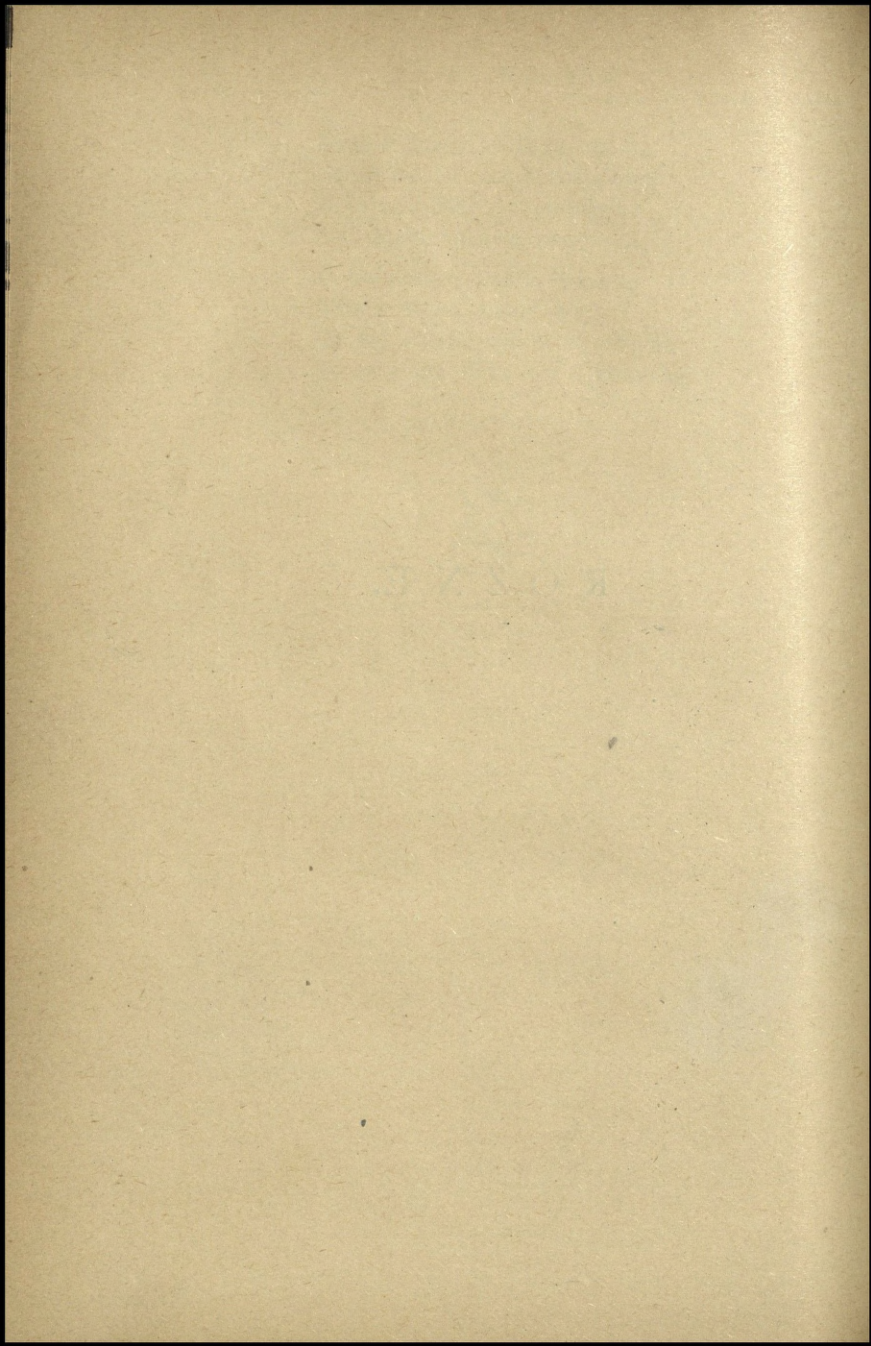
Długie nosy, wieczną nudą,
Samochwalstwem przesiąknięte,
A to wszystko świętobliwe!
Lub ambicyą swą nadęte...

O południe! Jakże wielbię
Twoje niebo, twoje bogi,
Od tej chwili, gdym tu wrócił,
W czas tak dżdżysty i złowrogi...



R Ó Ź N E.



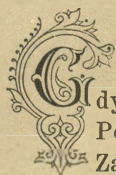




SERAFINA

przekład

Maryi Konopnickiej.



I.

Gdy po lesie chodzę zmrokiem,
Po tym sennym, cichym lesie,
Zawsze się przy moim boku,
Lekka postać twoja niesie.

Czyż to nie twój welon biały,
Nie błysk słodki twego lica?
Czy przez ciemną jodeł zieleń
Pada tylko blask księżyca?

Czy to własne łzy są moje,
Których lekki szmer tu słyszę?
Czy ty, miła moja, przy mnie,
Płacząc, idziesz w lasu ciszę?

Że ucho me tak silnie
 Ku ustom tulę twym!
Co z ustek twoich płynie,
 Zapewne wiedzieć chce,
Czy słów, czy pocałunków
 Pieszczotą poisz mnie.
O, gdybym sam to wiedział,
 Co w duszy mojej wre!...
I słowa i całunki,
 Tak dziwnie płaczą się.

VII.

Z przestraczem pierchła, jako łań,
 Jak szybka łań przez wrzosa,
I biegła między krzaki te,
 A wiatr jej rozwiął włosy.
Tam gdzie się w morze spuszcza głaz
 Dognałem ptaszę moje,
I słodkim czarem słodkich słów
 Koilem niepokoje.
Jak wniebowziętym w górze tam,
 O raju nam się śniło,
Pod nami w głębi morza szum,
 I słońce zachodziło.
Pod nami w głębi, w ciemną toń,
 Zapada piękne słońce,
A fale nad niem huczą, grzmia,
 Rozkoszą wskroś dyszące.
O nie płacz, luba! słońca blask
 Nie skona w wód tych łonie;

Ono się skryło w sercu mem,
I żarem swym tam płonie.

VIII.

Na skałach tych budujem chram,
Nowego chram zbawienia,
Gdzie trzeci zakon bierze cześć,
Swobodny od cierpienia.

Zniszczone są już oba te,
Co nas trwożyły długo,
I stary ten ascetyzm zczezł,
Gdzie ciało ducha sługą.

Czy słyszysz Boga w głębi fal?
Tysiącem mówi głosów!
Czy widzisz go, jak świeci nam
Tysiącem gwiazd z niebiosów?

Przedwieczny Bóg ten w świetle jest,
I z cieniów ma ołtarze,
On jest we wszystkim, co ma być,
I w pieśczęt naszych czarze.

IX.

Gęsty mrok na morzu leży,
Pełne drobnych gwiazd niebiosy,
A z pod wodnej słyhać toni,
Przytłumione, ciche głosy.

Stary wiatr północny trąca,
W struny morskich fal u brzegu,
Co tak drżą, jak organ, w sobie
Kiedy hymnem się rozlega.

Pół pogańsko, pół kościelnie,
 Dźwięczą tej melodyi tony,
 I potężnie w górę biją,
 By ucieszyć gwiazd miliony.

A te gwiazdy, coraz większe,
 W radosnym się palą szmerze,
 Aż ogromne jako słońca,
 Toczają się po niebios sferze.

I przy hymnach z dołu grzmiących
 Szalonymi pędzą kręgi.
 Pół słowiki, a pół słońca,
 Rozwijają światel wstęgi.

I tak wre to, i tak pędzi,
 Morze, niebo razem śpiewa.
 A olbrzymia rozkosz jakaś,
 Burzą serce mi zalewa.

X.

Cieniów mgliste pocałunki,
 Cieniów miłość, cieniów życie,
 Czyliż myślisz, że zostanie,
 Zawsze równe serca bicie?

Z miłosnego nam uścisku
 Jak sen luby wszystko znika,
 Serce nasze — zapomina,
 Oczy nasze — noc zamyka.

XI.

Pod czarnym żaglem płynie ma łódź
 Wśród dzikiej fali mórz;

Ty wiesz, jak ciężki jest smutek mój,
A w pierś mi wpychasz nóż.

Jak wiatr niestałe serce twe,
Tu jest, tu niema już...
Pod czarnym żaglem płynie ma łódź,
Wśród dzikiej fali mórz.

XII.

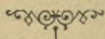
Z morza się kamień runiczny dźwiga,
Ja na nim siedzę z dumami memi,
A wicher świszczce, a mewy krzyczą,
A morze huczy wały srebrnemi.

Miałem ja kilku miłych mi druhów,
Miałem kochankę lubą, uroczą...
Gdzież oni teraz?... A wicher świszczy,
A fale huczają i pianę toczą.

XVI.

Słońce w morzu się odbija,
Niby złotopłynne zdroje...
Kiedy umrę, bracia mili,
Rzućcie w morze ciało moje.

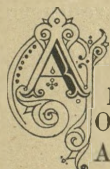
Zawszem kochał ja te fale,
Co mi nieraz potajemnie
Ochładzały serce wrzące,
I kochały mnie wzajemnie.



RYCERZ OLAF

przekład

Maryi Konopnickiej.



I.

przed tumem dwu tam stoi,
Obaj w szatach szkarłatowych
A ten jeden — to sam król jest,
A ten drugi — kat czerwony.

Aż tak rzecze król katowi:
— „Już po śpiewie popim widzę,
Że się kończą zaślubiny,
Miej więc topór w pogotowiu“.

Grzmią organy, huczają dzwony,
Lud się we drzwi tłumem wali,
Wśród orszaku pstrego dworzan
Idą strojni nowożeńcy.

Jak trup blada, jak liść drżąca,
Jest królewska piękna córa;
A pan Olaf idzie wesół,
Idzie wesół, uśmiechnięty.

I z uśmiechem ust rumianych
Do chmurnego króla rzecze:

— „Witaj zdrowo, miły teściu!
Dziś ci oddać mam swą głowę.

Dziś śmierć moja. Ale daj mi
Pożyć jeszcze do północy,
Abym święcił me wesele,
Pięknym tańcem i bankietem.

Daj mi pożyć, teściu drogi,
Aż ostatni puhar spełnię,
Aż przetańczę tan ostatni,
Do północy daj mi pożyć!“

Aż katowi tak król rzecze:
— „Na porękę moją biorę,
Głowę jego do północy;
A ty topór miej gotowy.“

II.

Po uczcie weselnej pan Olaf już syty.
I puhar ostatni już do dna wypity, —
 Żona mu na ramię,
 Jak lilja się łamie,
Kat we drzwiach stoi u proga.

Zaczyna się taniec, brzmi sala muzyką
Pan Olaf od stołu porywa się dziko,
 I z żoną swą młodą,
 Ostatni tan wiodą,
Kat we drzwiach stoi u proga.

A gęśle wesoło i hucznie tam dźwięczą,
A fletnie tak tęsknie, żałośnie tak jęczą,
 A tłum coraz bledszy,
 Na młodych się patrzy,
Kat we drzwiach stoi u proga.

Kochanką jedyną twej duszy została,
Tańczyłabym z tobą tak w nocy.

A piąta na szyi zawisła mu pusta,
I ręce pieściła ponętnie;
Ostatnia zaś z bogiń poczęła go w usta,
Całować gorąco, namiętnie.

Lecz rycerz był mądry, odganiał pokusy,
Radzące, by oczy otworzył,
I długo z ust Niksy ssał słodkie całusy,
I sen go zupełnie nie morzył





DWA SONETY DO MATKI

przekład

Józefa Kościelskiego.

I.

Przywykłem w życiu głowę nieść z wysoka,
Myśl moja dumnie się korytem toczy;
Choćby król nawet chciał mi spojrzeć w oczy,
Zlękłego przed nim nie spuściłbym oka.

A przecież, matko, choć aż do obłoka
Lot myśli dumnie wzbija mię ochoczy,
Gdy twoja postać błysnie mi w przezroczy,
Wnet mię zdejmuje pokora głęboka.

Twojegoż ducha tajna to potęga,
Co wszystko wokół w swoją służbę wprzęga
I błyskawicznie aż do nieba sięga?

Czy też wspomnienie we mnie pozostało,
Że tyle win mych serce ci ścisnęło,
To drogie serce, co mnie tak kochało?

II.

Rzuciłem ciebie, bo mię myśl szalona
Gnała, by w tęsknej świat przemierzyć męce,
Szukając, żali Miłości nie znęcę,
By ją namiętnie przycisnąć do łona.

I wszędziem szukał i pytał: gdzie ona?
Na każdym progu wyciągałem ręce,
Miłości żebrząc w błagalnej piosence, —
Lecz wszędzie, szydząc, wzruszano ramiona.

I zawszem szukał Miłości — i zawsze
Miłości! Losy coraz niełaskawsze
Dały mi tylko: przesył albo zgniłość.

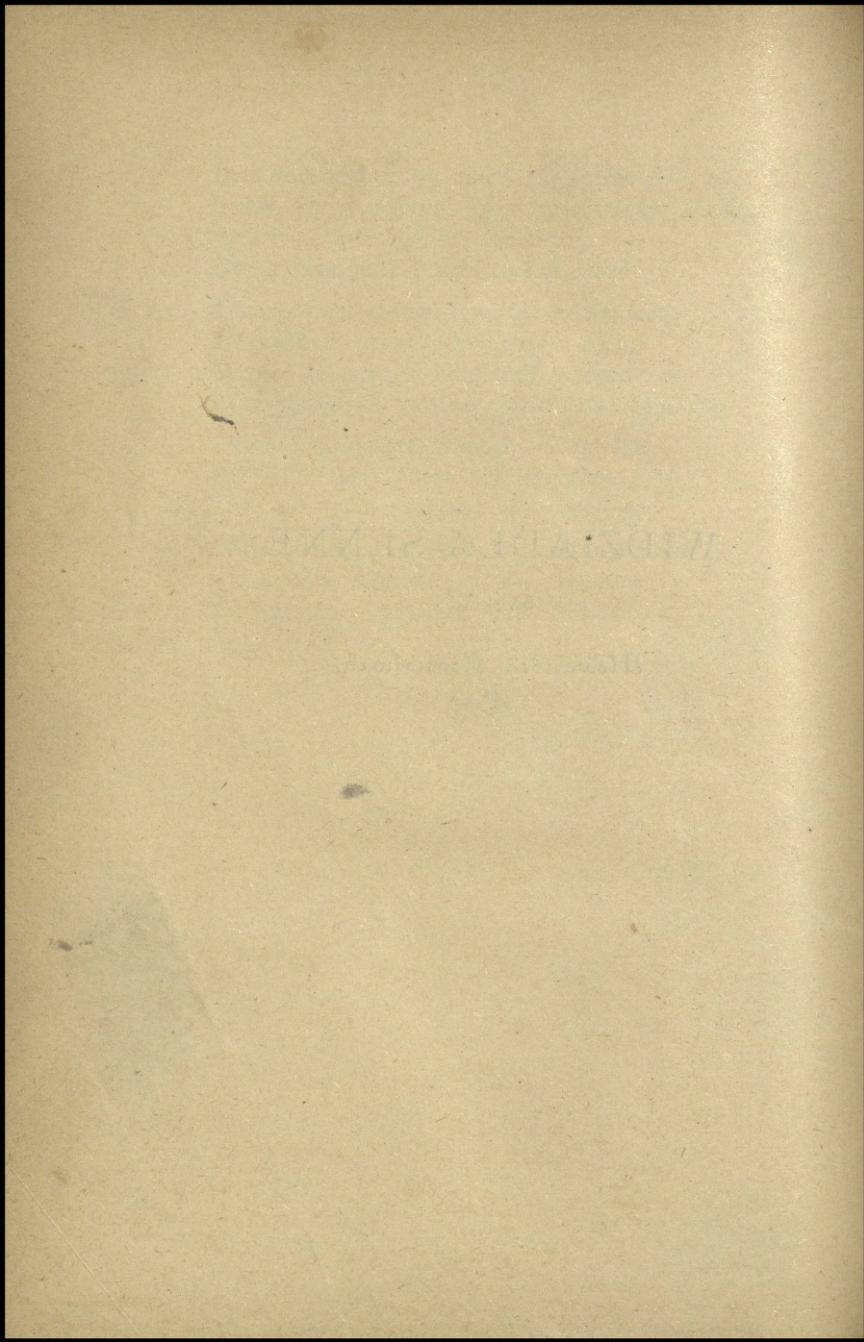
Więc w dom wracałem. Tyś wyszła do sieni,--
A to, co w twojem oku się promieni,
To była ona! wreszcie ona: Miłość!



WIDZIADŁA SENNE

przekład

Alexandra Kraushara.





I.

Sniłem ja niegdyś o czuciach namiętych,
O pysznych lokach, myrtach, kwiatach wiosny,
O słodkich ustach, narzekaniach smętnych
O chmurnych zwrotkach melodyi żalosnej.

Ach! Już pobladły senne te marzenia...
Zblakło widziadła najmiłszego ciało!...
Zostało tylko to, co w dniach natchnienia
Wrzące uczucie w mięki rym wlewało...

Ty jedna tylko zostałaś, o pieśni!
Zniknij, lecz wróć mi widziadła wspomnienie,
Niech serce moje dawne czary prześni...
Powiewnym cieniom ślę powiewne tchnienie!

II.

Dziwny obraz w dziwnym śnie
Czarem, strachem, przejął mnie.
Jeszcze się nim wzrok napawa...
W sercu huczy dzika wrzawa...

Kwitnie w dali cudny sad,
To był dumań moich świat,

Kwiatów wiele w nim widziałem,
Hołd ich wdziękom śląc z zapalem.

Z pośród kwiatów, z pośród drzew,
Wzłatał w niebo ptasząt śpiew.
Słońce złotem się rumieni,
Kwiat tysiącem łśni odcieni.

Kielich kwiatów — cudną woń
W nadpowietrzną wznosi toń;
Radość, uśmiech, dnia nektary,
Odślaniają mi swe czary...

Gdzie najgęstszy krzewin zwój,
Marmurowy szemrze zdrój,
Tam, dziewczątka cudne, młode,
Pograżało szaty w wodę...

Słodki uśmiech, oczu blask,
Jakby zdrój niebiańskich łask
Płynął w serce moje długo,
Oblewając światel smugą...

Piękne dziewczę spieszy się,
Szepcząc piosnkę, jakby w śnie,
„Płyn, płyn, wodo! ręczo, śmiało,
„Szatę moją umyj biało...”

Gdy tak woda szemrze, drży,
Rzekłem: „Dziewczę, powiedz mi,
Co tu robisz? Mów, tak każę,
Komu szaty niesiesz w darze?”

Dziewczę mówi: „Panie mój,
To śmiertelny dla cię strój.”
Po tych słowach zaszła zmiana...
Widmo przysło jak mórz piana...

Gdy ten pierwszy obraz zgasł,
Nagle-m ciemny ujrzał las,
Drzewa w wichrów mknęły szumie,
Pogrążając mnie w zadumie...

Zniknął słońca jasny blask,
Słysząc siekier głuchy trzask;
Strachem zdjęty, przerażony,
Biegłem w gęstsze lasu strony...

Kiedym w lasu wtargnął głąb,
Kwitnął tam stuletni dąb,
Tam znów widzę dziewczę młode,
Jak wciąż rąbie dębu kłodę...

Głucho szumi ciemny las,
Ciężki topór huczy wraz,
Dziewczę nuci wznosząc rękę:
„Czas wyciosać już trumienkę.“

Czując tętna wrzącej krwi,
Pytam: „Dziewczę, powiedz mi,
Komu nuczysz tę piosenkę
Komu żłobisz tę trumienkę?“

W oczach widma błysła łaza...
„To dla ciebie trumna ta.“
W tem znów zaszła marzeń zmiana,
Widmo przysło jakby piana...

Wiatr gna echa w głuchą dal,
Serce moje dręczy żal,
Zasłuchany, zapatrzony,
Wzrok w błękitu wzniosłem strony...

Gdy niepewny stawiam krok,
Jakieś światło úmi mój wzrok,
Biegnę rączo w drzew gęstwinę
Tam spotykam znów dziewczynę...

Widmo — śnieżną, białą dłoń,
 Wciąż w ziemistą nurza toń,
 I tak stojąc nad mogiłą,
 Straszny, dziwnym blaskiem lśniło...

Słysząc smętny wichrów wiew...
 I cmentarny, cichy śpiew:
 „Żłóbcie ręczo szpadle miłe
 „I wyżłóbcie tu mogiłę!“

W oczach moich krew się émi,
 A więc pytam: „Powiedz mi,
 Powiedz dziewczę cudne, hoże,
 Komu ścieszysz śmierci łożę?“

Rzekło z cicha: „U mych stóp,
 Tobie, panie, kopię grób,
 Wkrótce będzie już gotowe,
 Łoże twoich snów grobowe...“

Gdym to ujrzał w strasznym śnie,
 Zimny dreszcz przeniknął mnie,
 W grób wskoczyłem w oka mgnieniu,
 Lecz sen pierzchnął — jak w marzeniu...

III.

W marzeniu na wpół sennem raz siebie ujrzałem
 We fraku, w kamizelce jedwabnej, śnieżystej,
 Jak gdybym się wybierał na bal uroczysty...
 I spotkał się wzrok duszy — z serca ideałem...

Skłoniłem się głęboko, z wejrzeniem nieśmiałym,
 I pragnąc wypowiedzieć komplement strzelisty:
 „Czy to ślub twój? spytałem, aniele złocisty...“
 Lecz w tej chwili — z rozpacz, z bólu — oniemiałem...

I łzy gorzkie, co w siebie ból serdeczny chłona,
Z pięknych oczów mej lubej spłynęły po twarzy...
Widziadło nagle znikło za mglistą zasłoną.

O! słodkie, cudne oczy, jak gwiazdy świecące,
Choć nieraz kłamałyście miłość swą natchnioną,
Ja wam składam i we śnie me hołdy gorące!..

IV.

Przedemną, we śnie, stanął człowiek wymuskany,
Miał minę pyszną, hardą i pańskie narowy,
Cienką nosił bieliznę, piękny strój balowy,
Lecz wewnątrz był ohydny, obmierzły, zbrukany...

Duszę miał wynędziała, podartą w łachmany,
Lecz na pokaz miał wygląd szlachetny i dumny;
Głosił wciąż o odwadze jakiś frazes szumny,
Jakby był rycerskości przyłbicą odziany...

„A wiesz ty kto on taki? Gotuj się na mękę!“
Tak Morfeusz wyszeptał i wyciągnął rękę...
Tam — gdzie obraz widziadła w lustrze się kryształy,

Przed ołtarzem, stał człeczek; małą główką kiwał,
A przy nim luba moja... Wyras „tak“ szeptali...
A chór djabłów tysiąca: „Amen!“ wykrzykiwał...

V.

Czemu tak kipi gorąca krew?
Czemu tak serce kołysze gniew?
Krew szumi, pryska i burzy się,
A płomień dziki me serce żre...

Serce me smętny zawodzi tren,
Gdyż dziwny miałem tej nocy sen,
Rozsnuł się senny widziadeł raj,
I powiódł w ułud nadziemskich kraj...

Powiódł mnie w jasny, przeźroczny gmach,
Widzialny tylko w fantazyi snach,
Słysząc tam płąsy i dźwięki harf
I widać cienie cmentarnych larw...

Blaski i światła, wesela szum,
Przy stołach gości biesiadnych tłum,
Wszyscy przywdziani w weselny strój,
Ach! Panną młodą był — anioł mój...

To była ona — marzeń mych świat,
Przy niej nieznanym młodzieniec siadł,
Tam skierowałem chwiejny mój krok,
Topiąc ognisty w kochankach wzrok...

Duch mój, uczuciem zazdrości gnan,
Wprawiał mnie w blizki omdlenia stan,
Pograżał w szaleństwo głęboką toń,
Gdy młodzian lubej całował dłoń...

Pieni się wino w kryształach fasz,
Młodzian niem jedną wypełnia z czas,
Podaje lubej, jak róży krzew...
Biada mi, własną mą pije krew!..

Na misach pełno soczystych grusz,
W jednej z nich luba zatapia nóż,
I z swoim lubym częstuje się,
Biada mi! Było to — serce me...

I płoną lica wdziękiem swych kras,
Młodzian kochankę ujmuje w pas,
I poufalszy przybiera ton,
Biada mi! Czuję już blizki zgon...

Kłębi się para z pijanych głów,
Do tęsknej skargi braknie mi słów,
Więc głuchy tylko wydają jęk,
Gdy w koło tańców rozbrzmiewa dźwięk...

A gdy tak stoję, bez słów, bez tchu,
Młodzian kochankę wiezie — do snu...
Szepcze jej słówko — jak wichru wiew,
Panna kraśniej... lecz tłumi gniew...

VI.

W słodkim marzeniu, o cichej nocy,
Gdym roił widziadeł światy,
Przybyła do mnie najmiłsza moja,
Do mej przybyła komnaty...

Spoglądam na nią, jakby na obraz,
Jakby na kwiat cudnej woni,
Ona się do mnie uśmiecha mile,
Więc z ogniem przemawiam do niej...

„Zabierz mi wszystko, wszystko, najmiłsza,
Przyjmij z rąk swego kochanka!
Bylebym tylko mógł być przy tobie,
Od nocy, do brzasku ranka“...

Spogląda na mnie... Dziwne wzruszenie
Rozrzewnia cudną dziewoję...
I mówi do mnie, błagając słodko,
„Przyszłe mi życie daj swoje“...

„Życie ci oddam, krew oddam moją,
Skarbie mój drogi, jedyny,
Wszystko ci oddam, lecz nie dam nigdy,
Przyszłego życia krainy!“

Gwałtownie słowa z serca mi płyną,
Niemi namiętność mą koję,
Lecz dziewczę ciągle jeszcze mię błaga:
„Ach! przyszłe życie daj swoje!“

Słowa te w duszę wnikają wrzając,
Dziko ich fala się wzbiera,

Lecz dźwięk ich głuchy — dławi mnie, dręczy
I oddech w piersi zapiera...

Widzę aniołków skrzydlatych roje,
Zdobne niebiańską zasłoną,
Za nimi pędzi zapamiętałe
Ohydnych koboldów grono...

Wszczyna się walka. Hufiec koboldów
Straż archanielską zdobywa,
Lecz walka cichnie i rój zdobywców
W mgłę się porannej rozplywa...

I ja się również rozplywam w raj, u,
Tuląc kochankę do łona,
Ona się do mnie namiętnie tuli,
Łzami rozkoszy zroszona...

Kochanka płacze... Ja wiem, dlaczego,
Jam ulżył serca wzruszeniom,
„Poddaj się, luba, szepczę namiętnie,
„Miłości mojej płomieniom...

„Poddaj się, luba, miłości mojej,
„Pozostań na zawsze ze mną,
Wtem, gdy to mówię, krew ma się ścina,
I przepaść widzę przedemną...

Z przepaści rwą się koboldów tłumy,
Z krzykiem, wściekłością i szałem,
A w mych objęciach kochanka znika...
Nagle — sam jeden zostałem...

I wciąż przeciągłe słyszę okrzyki,
Tysiącznem wtórzone echem,
Tłuszcza koboldów w krąg się zacieśnia,
Z klątwą, szyderstwem i śmiechem...

I coraz bliżej mknie huf koboldów,
I słyszeć okrzyk daleki:

„A gdy oddałeś swe przyszłe życie,
Do nas należysz — na wieki!“

VIII.

Z domu kochanki wracałem nocą
I szedłem drogą koło cmentarza...
Jakieś światełka tam się migocą
I widok grobów duszę przeraża...

Skinęło na mnie z grajka mogiły
I blask księżycy osrebrzył drzewa...
Słyszałem szepty: „Witaj nam, miły!“
Mgła jakaś dziwna blaski rozwiewa...

I z pod kamienia grajek wychodzi,
Siada wysoko na zrębie głązów,
I na swej cytrze piosnki zawodzi,
Jakieś widziadła chmurnych obrazów...

Czy znacie jeszcze starą piosenkę,
Co duszy taką sprawiała mękę,
Wtórując dziką jej grą?
Anieli zwą ją — niebian marzeniem,
Szatany — strasznem piekieł cierpieniem,
Ludzie — miłością ją zwą...

Zaledwie rozbrzmiał dźwięk ten ostatni,
Rozpadł się mogił kamienny mur;
Powietrzne widma z grobowej matni
Zbiegły do grajka, jak piekielny chór...

O, miłości! Czary twe
Tu przywiodły wszystkich nas!
Śpoczywamy w śmierci śnie,
Czy powstania nadszedł czas?

I słychać jęków piekielny szum,
Szmary grobowe, szepty pacierza,

I grajka obiegł cmentarny tłum,
A grajek w cytrę dziko uderza...

„Brawo! brawo! mili goście,
Przybывajcie wraz,
Zmartwychwstania chwile gościę,
Bo już nadszedł czas...
Dość spokoju
W śmierci znoju!
Trzeba dziś szalonym być!
Miłość głupia
Jak woń trupia
Nam kazała tutaj gnić...
Dalej, żwawo,
W lewo, w prawo,
Niech się zacznie djabli tan!
Przy bankiecie
Opowiecie,
Jak kto był miłością gnan!

Wtem, z pośród mogił, wyszedł chłopczyzna,
I trupim głosem śpiewać zaczyna.

„Byłem ja sobie krawczykiem,
I szyłem cienką igielką,
Zwano mnie dziarskim chłopczykiem
Z nożycami i igielką,
Lecz przyszła dziewczka nieczuła,
Z nożycami i igielką...
I w pierś mnie strasznie ukuła
Nożycami i igielką“...

Wybuchła śmiechem tłuszcza grobowa,
Wystąpił drugi i rzekł te słowa:

„Rinaldo Rinaldiniego,
I zbója Orlandiniego,

A głównie Karola Mora
Wziętem sobie za mentora...
Chcę dorównać im w całości
Poświęciłem się miłości...
I jak ci bohaterowie,
Miałem kochankę w swej głowie.

I wdychałem, losy kłamię,
Wtem gdy mię miłość obsiada,
Rękę nieznacznie wsunąłem
W kieszeń mojego sąsiada,
Wzięto mnie zaraz samotrzeć,
Spętano sądową sprzeczką,
Żem lzy miłości chciał otrzeć —
Sąsiada mego chusteczką...

Ach! wszystko się zapomina,
Gdy życie zdjęte żałobą...
Przyszedł więc cień Rinaldina,
I duszę moją wziął z sobą!“

Wybuchła śmiechem tłuszcza grobowa,
Wtem wyszedł trzeci i rzekł te słowa:

„Śmieli się ze mnie widzowie,
W teatrze — marzeń mych snach,
Gdym wołał z czuciem: Bogowie!
Lub słodko wdychałem: „Ach!“

W grze Mortimera wytwornej
W twarz Maryi patrzyłem się...
Lecz mimo gry mej wybornej,
Zrozumieć nie chciała mnie.

Ach! Był to krok nieszczęśliwy!
Gdy Marya nie chciała mnie znać,
Porwałem sztylet — prawdziwy...
I — odtąd przestałem grać...“

Wybuchła śmiechem tłuszcza grobowa,
Wtem wyszedł czwarty i rzekł te słowa:

„Z katedry głosił wiedzy wyrazy
Stary profesor: Uczyć się pora!
Lecz zamiast lekcyj więcej sto razy
Słuchałem żywych dzieł profesora!

Często im ukłon siałem w okienko,
Bom kochał dziewczę, ów kwiat nad kwiaty,
Lecz przyszedł inny i zdrożną ręką
Zerwał ów kwiatek, bo był — bogaty.

Więc wszystkim kwiatom klątwę rzuciłem,
Z nich chciałem zrobić balsamów leki,
Lecz jad z tych kwiatów tylko wypilem,
I spać poszedłem; ach! spać na wieki!“...

Wybuchła śmiechem tłuszcza grobowa,
Wtem wyszedł piąty i rzekł te słowa:

„Do zamku pana mosty zawodzą,
Miał on córeczkę i bogactw krocie.
Cóż mnie bogactwa jego obchodzą?
Jam hołdy składał dzieweczki enocie.

Pan miał w swym zamku baczłą ochronę
I służby zastęp, żelazne skrzynie...
Lecz cóż mi wadzą zamki strzeżone?
Jam postanowił wleźć — po drabinie...

Już prawie byłem w oknie mej lubej,
Wtem, słyszę z dołu śmiech i wołanie;
„Czekaj kochanku — nie szukaj zguby,
Ja ci pomogę na zawołanie!“...

Tak drwił pan dumny, kurek odwodzi,
I mierzy do mnie z wściekłym zapalem.

„Do stu szatanów! nie jestem złodziej!
Ja tylko ukraść kochankę chciałem“...

O! To nie była chwila zabawna...
Wzięli mnie siłą pańscy strażnicy,
Gdy słońko wstało — jam już oddawna
Wisiał bez życia na szubienicy!...

Wybuchła śmiechem tłuszcza grobowa,
Wszedł trup bez głowy i rzekł te słowa:

„Miłość wznieciła polowań żądzę,
Z nabitą bronią po lesie błądzę,
Wtem słyhać głos z wierchołków drzew:
Kruk głośno kracze: krew! krew!

Gdyby gołąbka zmieść pokryjomu!
Dałbym go lubej, zaniósł do domu,
Więc po zaroślach pełnę krok w krok,
Czy go też zoczy chciwy mój wzrok?

Wtem słyszę gruchań, słów co niemiara,
Może to grucha gołąbków para?
Skradam się cicho: mam ją już, mam!
Biada mi! Lubę znalazłem tam...

Gołąbka mego, mą narzeczoną...
Gach jej wciąż szepece słowa pieszczone...
Hejże myśliwce! Pal prosto w łeb!
I wnet na gachu krwi strumień skrzepł...

I niezadługo kat wziął mnie z sobą...
Jam korowodu główną osobą,
Kroczym wśród lasu... Z wierchołków drzew
Kruk znowu kracze: „krew! krew!“

Wybuchła śmiechem tłuszcza grobowa,
Wtem skrzypek powstał i rzekł te słowa:

„Śpiewałem wszystkim swe pieśni,
Lecz dziś nie śpiewam nikomu...
Gdy serce pęka w swej cieśni,
Piosenki idą do domu“...

Gdy już przebrzmiały ostatnie tony,
Taniec się zaczął dziki, szalony,
Lecz w tem zegary pierwszą wybiły,
I duchy z trzaskiem wpadły w mogiły...

IX.

Śniłem rokosznie. Wszelkie cierpienie
W nicość się nagle rozpadło,
W tem spłynął do mnie obraz precudny,
Cudnej dziewczeczki widziadło...

Było jak marmur — zimne i białe,
Lecz urok sprawiało miły —
Włos miało bujny, dziwnie spleciony,
Łezki się w oczach perliły...

I zwolna, zwolna, zbliża się ku mnie,
Wdziękiem mnie swoim zachwyca,
I do mej piersi zwolna się tuli
Snu marmurowa dziewica...

Jakże mi pulsa namiętnie biją!
Jak serce ogniem mi pała!..
Pierś mojej lubej drgań tych nie czuje;
Luba ma — zimna jak skała...

„Serce me zimne, — mówi widziadło —
Zastygły w żyłach krwi soki,
Lecz znam ja jeszcze siłę miłości.
Znam ja miłości uroki...”

Niema rumieńca na mojej twarzy,
Krew po mych żyłach nie spływa,
Lecz nie obawiaj się mego cienia,
Jestem ci szczerze życzliwa“...

Dziko, namiętnie, ściska mię widmo
I patrzy twarzą wybladłą —
W tem, kur straszliwy zapiał krzykliwie;
I nagle znikło widziadło...

X.

Już wiele sennych widziadeł
Zakląłem słów moich siłą,
Lecz one nie chcą ustąpić,
Skryć się pod zimną mogiłą...

Straciłem zaklęć formułę,
Pod wpływem grozy, przestracchu,
I mnie samego — te widma
Ciagną do piekieł swych gmachu...

„Puśćcie mnie, puśćcie, szatany!
Rozpacznem bronię się słowem,
Jeszcze tu szczęście na ziemi
Jaśniej w świetle różowem!

Wszakże do marzeń mych kwiatka
Uczucie ciągnie mnie błogie,
Czyż może urok mieć życie,
Gdy cię już kochać nie mogę?

A jednak kwiat ten mieć muszę,
Posiąść ów skarbiec przeczysty,

Muszę raz tylko na ustach
Złożyć mój całus ognisty!

Z ust lubej muszę usłyszeć
Miłosną serc tajemnicę,
A potem będę posłusznym
I zejdem w grobów ciemnicę“...

I widma to usłyszały,
I znaki dają złowieszcze...
O, luba! Otóż przybywam,
Luba! Czy kochasz mnie jeszcze?

XIII.

NIEMCY.

Sen.

Dziecię szaleństw! Nie schodź nigdy
Z czarodziejskich marzeń toru,
Lecz nie szukaj nigdy w życiu
Marzeń swoich pierwowzoru...

Raz, na pięknem stałem wzgórzu,
W szmaragdowym Renu blasku,
Wzrok mój w Niemiec tonął błoniach,
O słonecznym zorzy brzasku...

I szemrzące Renu fale
Odzywały się wśród głuszy,
Widma przeczuć, tęsknych obaw,
Przenikały w głąb mej duszy...

Gdy się teraz w nie wsłuchuję,
Inne w sercu tkwią pamiątki,
Z dawnych marzeń — ani śladu,
Czas rozerwał je na szczątki...

Nad zielenią mej ojczyzny
Rozpościera władzę zima,
Widzę tylko rój karzełków,
Pełzających w grób olbrzyma...

Paniczyków w strojnych szatach
Skaza płacy nie nie plami;
Łotry noszą pęk orderów,
Jurgieltnicy są panami.

Dziwny obraz przedstawiają
Ich zbytkowych szat atłasy,
Przyzywając na myśl chmurną
Dawne, dobre, stare czasy,

Kiedy kwitły obyczaje,
Cnoty skromne i domowe,
Kiedy młodość przed starością,
Uchylała kornie głowę...

Kiedy ludzie w dniach niedoli
Pomagali jak brat bratu;
Gdy despoci nie krzewili
Krzywoprzysięstw systematu...

Kiedy dane komu słowo
Klątwą niemal było wzniosłą,
Gdy mężczyzna rósł w pancerzu,
A w mężczyźnie serce rosło...

Mej rodzinnej ziemi sady
Kwieciem cudnem ustrojone,
Toną w barwach i zieleni,
Blaskiem słońca ozłoczone...

Ale najcudniejsze kwiecie
Więdnie w sadach naszych stale...
Ono, co i w dawnych czasach,
Na urwistej rośnie skale...

Nie pozwala mu zakwitać
Dziejów naszych ręka mściwa...
Ów skromniutki, wdzięczny kwiatek—
Gościńnością się nazywa...

PIEŚNI

przekład

Alexandra Kraushara.

THE

NEW

EDITION



I.

Pięknością oczy twe słyń,
Uroczą moja dziewczyno,
Do takiej tylko dziewoi
Rwą się skrzydła duszy mojej...

Cudne, łagodne twe lica,
Jaśniejają blaskiem księżyca;
Policzki twoje rumiane,
Jak zorze świecą różane...

Z twoich drobniutkich usteczek
Wygląda pereł sznureczek,
Lecz, co jak brylant prześwieca,
Twych piersi kryje skarbnica...

Tajemnicza jakaś siła
Serce moje przygnębiła,
Gdy raz pierwszy blask uroczy,
Me marzące olśnił oczy...

II.

W samotności dusza ma
W gorzkich łzach cierpienia tonie,
Od wesołych stronię dusz,
Od radości ludzkiej stronię...

Płyną gorzkie moje łzy,
I cierpienie wciąż się budzi...
Lecz palących serca mąk
Najobfitsza łza nie studzi...

Niegdyś — dziarska moja krew
Ożywiła me istnienie,
Z życia-m słodki czerpał sok,
Nie wiedziałem co -- cierpienie...

Kwieciem mał się mój świat,
I młodości dzielne czyny;
W oczach moich lśniły wciąż:
Róże, fioletki i jaśminy...

Zapatrzony w rzeki nurt,
Wciąż igrałem z losów zdradą...
Lecz gdy teraz patrzę weń —
Widzę twarz młodzieńca bladą...

Dziwnie zbladła moja twarz,
Gdy me oko ją ujrzało...
Serce moje dręczy ból,
Coś dziwnego mi się stało...

Oczy moje kryje mrok,
Mgła cierpienia je zakrywa,
A z mej piersi głuchy jęk,
Dziwny wciąż się jęk wyrzywa...

Tajemnicza bólu moc
W strzępy serce me rozdziera,

Jakiś straszny wspomnień żar
Me wnętrzości wciąż pożera...

Że w mem biednem sercu wciąż
Walczą straszne niepokoje,
Że z boleści ginę już,
To jest, luba! dzieło twoje...

III.

Każdy młodzieniec wyniośle kroczy
Przy boku swojej dziewicy...
Ja tylko jeden, zmiłuj się Boże,
Błądzą samotny, w tęsknicy...

Na widok szczęścia obcych mi ludzi
Sączy się łza pod powieką...
I ja mam także kochankę lubą,
Lecz ta — odemnie daleko...

Pocóż tak tęsknić i cierpieć dłużej?
Taka wciąż szepczę wymówkę —
Wezmę tłumoczek i kij podróżny,
I pójdę w świat, na wędrówkę...

I przez sto godzin wędrować będę,
Aż dojdę do murów miasta,
Co po nad ujściem rzeki przysiadło,
Zeń kilka wieżyc wyrasta...

Tak się zakończy moje cierpienie,
Serce nabrzęknie nadzieją,
Tak z moją lubą błąkać się będę,
Pod lip rozkosznych aleją...

IV.

Kiedy bawię u kochanki
Jestem wszystkim rad,

Zdaje mi się, żem bogaczem,
Mógłbym kupić świat...

Ale w chwili rozłączenia
Zbytek niknie wnet...
Duszy nie nie opromienia,
Czuję jarzmo bied...

V.

Czy dziś przyjdzie? Rankiem czekam,
Czy wierzyć jej słowu?
A wieczorem znów narzekam,
Niema lubej znowu...

Cierpi serce me boleśnie,
Błądzą jakby cień,
Marzę o niej nocą, we śnie,
Myślę o niej w dzień...

VI.

Miotam się, dziwną owładnięty trwogą,
Niedługo ujrzę najmiłą dziewczę,
Tę najpiękniejszą z pośród ziemskich bogiń
O, wierne serce, z kąde te niepokoje?...

Godziny jednak leniwie się wloką,
Powoli kroczą chwil życia ogniwa,
Ziewając pełzną ubocznemi drogi,
Ach! pędzej, pędzej, czeredo leniwa!

Dzika namiętność serce me rozpięra,
Wciąż o niej myślę, do wczesnego ranka,
Lecz czas, co nigdy nie cierpiał, nie kochał,
Żartuje sobie z porywów kochanka.

VII.

Pod drzew osłoną błdziłem,
Samotny, z serca cierpieniem,
Aż oto — dawne marzenie
Swojem owiało mnie tchnieniem...

Kto wam podszeptał to słówko?
Wy, ptaszki, na nieb błękiecie?
Zamilczcie! Serce usłyszysz,
I jadęm struje mi życie...

„Szło dziewczę, piosnkę śpiewało,
Smutne, z schyloną główką,
Myśmy tę pieśń podsłuchały
I w lot schwyciły jej słówko“...

Teraz w podstępnych zamiarach
Krażycie wciąż pokryjomu,
Chcecie mi boleść mą odkraść,
Lecz ja — nie wierzę nikomu...

VIII.

Do piersi mojej zbolątej
Przyłóż najmiłsza swą rękę,
Słyszysz — tam stolarz pracuje,
By mi zbudować trumienkę.

Wśród pracy jego łoskotu
Opuścił sen me powieki...
Ach! spiesz się, spiesz z swą robotą,
Bym mógł już zasnąć na wieki...

IX.

Radbym — by moje piosenki
Były kwiatkami polnemi...

Chciałbym je posłać mej lubej,
Zapachy olśnić wonnemi...

Radbym, by piosnki te miały
Całusów kształt estetyczny...
W sekrecie bym ich udzielił —
Usteczkom mojej prześlicznej...

Radbym, by moje piosenki
Ziarn groszku kształt posiadały...
Miałbym z nich zupkę grochową...
Jakiż jej smak doskonały!

X.

W cichej ustroni, w ojca ogrodzie,
Bładawy kwiatek szeleszcze...
Już przeszła zima, wiosna nadchodzi.
A kwiatek błady wciąż jeszcze...
Bładego kwiatka korona
Jak chora lśni narzeczona...

I błady kwiatek tak mówi do mnie:
Ach, zerwij, zerwij mnie, bracie!
Ja odpowiadam: Nie zerwę ciebie,
Bo w białej kwitniesz wciąż szacie...
Ja zaś się dręcę i nużę,
By znaleźć kwiatek w purpurze...

Na to mi kwiatek: Płonne zabiegi!
Twym trudom nie nie pomoże...
Szukasz napróżno, nigdzie nie znajdziesz
Kwiatka w różowym kolorze.
Więc zerwij mnie, póki pora,
Jestem jak ty ciągle chora...

Tak szepcze kwiatek... Jam go też zerwał,
Zerwał ów kwiatek uroczy,
I nagle serce krwawić przestało,
Łzami zalsniły me oczy...
Do piersi mej, po dniach znoju,
Zawitał anioł spokoju...

XI.

Piękne gniazdko cierpień moich,
Gdziem wyczerpał serca siły,
Piękny grodzie, żegnam ciebie,
Żegnam ciebie, grodzie miły...
Żegnam ciebie, święty progu,
Twe uroki tajemnicze,
Gdziem raz pierwszy ujrzał ciebie,
I precudne twe oblicze...

Ach! Dlaczegom ją napotkał,
I pokochał sercem całym,
Temu smutny los zawdzięczam,
Że się smutnym, nędznym, stałem...

Twej miłości nie pragnęła
Moich marzeń cicha fala...
Tylko chciałem — żywot błogi
Pędzić, patrząc na cię zdala...

Lecz ty sama mię odtrącasz,
Wszystko czynisz na przekorę,
Tyś mój umysł opętała,
I przez ciebie serce chore...

I tak wlokę żywot nędzny,
Bez nadziei i bez siły,
Aż mą biedną złożę głowę,
Gdzieś, daleko — w głąb' mogiły...

XII.

Czekaj, czekaj, mój sterniku,
Wnet za tobą dziś popłynę...
Dwie dziewice dziś porzucam:
Europę i — jedyne...

Łez potoku, spłyn z mych oczu,
Tryśnij krwi z mojego ciała,
Bym twą barwą mógł wypisać,
Co ma dusza wycierpiała...

Czemu krew ma, dzisiaj właśnie,
Tak przejmuję cię żalobą?
Wszakże bladym i skrwawionym
Byłem nieraz już przed tobą...

Czy znasz jeszcze piosnkę starą,
O tej zdradzie przedwiekowej,
Co rajskiego jabłka darem
Ród zgnębiła Adamowy?...

Jabłko — źródłem ludzkiej biedy...
Ewa wniosła śmierci technienie,
Eris Troję ogniem zmiotła,
Tyś mi dała: śmierć, płomienie...

XII.

Góry, zamki, mkną przelotnie
W zwierciadlanej Renu fali,
A mój statek płynie żwawo,
W blasku słońca się kryształy...

Przypatruję się widokom,
Chłonąc wrażeń tych rozkosze,
Zwolna budzą się uczucia,
Które w piersi mojej noszę...

Rzeki Renu nurt rozkoszny,
Nie zamaça szczęścia tonu,
Lecz znam ja go! Zewnątrz miły,
Kryje wewnątrz grozę zgonu...

Zwdzięcznym śmiechem, lecz z zagładą,
Renie! Tyś obrazem lubej,
Ona także się uśmiecha,
Kryjąc w sercu żądło zguby...

XIV.

Z cierpień prawie że szalałem,
By znieść ból — już sił mi brak,
Jednak wszystko przebolełem,
Nie pytajcie jednak — jak...

XV.

Tam gdzie ród gwiazdeczek gości,
Muszą kwitnąć te radości,
Których tutaj brak nam technienia;
W zinnem śmierci uściśnieniu,
Żar udziela się istnieniu
I mrok nocy — w dzień się zmienia...

XVII.

Gdy się łamią serca młode,
Żal ich w niebie się kryszkali,
A gwiazdeczki temu rade,
Takie szepty ślą z oddali...
„Biedni ludzie! Wciąż się wielbią,
Wciąż śpiewają serc piosenkę,
Muszą jednak wciąż się dręczyć,
I śmiertelną sprawiać mękę...”

„My, na górze, nic nie wiemy,
Co to: kochać się serdecznie...
I jedynie z tej przyczyny
Będziem żyć i—istnieć wiecznie“...

XVIII.

Różne przybierając formy,
Ściele ci się wciąż pod nogi,
Ale zawsze jestem chory,
A ty sprawiasz mi ból srogi...

Kiedy psotna ręka twoja
Za motylkiem się ugania,
Gdy ją płochą depczesz nogą,
Czyż nie słyszysz mego łkania?

Kiedy zrywasz piękną różę,
I w szatańskich psot zamiarze
Cudnych ją pozbawiasz liści,
Czy nie słyszysz, jak się skarzę?

Gdy przy tak zbrodniczym czynie
Kolec z róży się wylania,
I drobniutką dłoń twą krwawi,
Czy nie słyszysz mego łkania?

Czy nie słyszysz skargi echa,
Gdy twój głos tęsknicę koi?
Ja to zawsze, w dzień i w nocy
Jęczę w głębi duszy twojej...

XIX.

Kwitną już błonia i lasy,
W obłokach śpiewa skowronek...
Wonny, wśród barw niezliczonych,
Zawitał wiosenny dzionek...

Rozkoszny śpiew skowroneczka
Koi mój smutek miłosny,
A z serca znów się dobywa —
Ton dawnych cierpień żaloszny...

Skowronek nuci lękliwie:
„Jakaż spotkała cię strata?“
— Ach! — odpowiadam — tę piosnkę
Wszak długie nucę już lata...

Nucę ją w głuchym gaiku,
Gdy nocą Venus lśni biała,
Już twoja babka, skowronku,
Tę piosnkę smutną słyszała...

XX.

Dzień cały o niej marzyłem,
I nocą biegłem w jej tropy,
A kiedym we śnie spoczywał,
Sen przed jej przywiódł mię stopy...

Kwitła, jak róża wiosniana,
Wśród jasnych blasków poranka,
Widzę na łonie jej kanwę,
A na niej obraz baranka...

Patrzy łagodnie i wzrokiem
Trwożnie po moim przebiega...
Ach! Czegoż jesteś tak blady?
Co ci, Henryku, dolega?

Patrzy wciąż na mnie — i żywsze
Wzrastają w niej niepokoje,
Ach! Czego płaczesz tak gorzko,
Henryku! Co znaczą łzy twoje?

Patrzy się na mnie badawczo,
Czekając słów moich treści,

„Ach! mówię — tyś łez przyczyną,
A w sercu — źródło boleści...

Powstaje wtedy i ręką
Zbolałych piersi dotyka...
Nagle — ból niknie jak mara,
I przykry sen z oczu znika.

 XXI.

Pójdę, gdzie kwitnie łąka zielona,
Ptaszek tam nuci, kwiat tryska z łona,
Gdy noc wieczysta myśl mą otoczy,
Gdy ziemią łzawe przysypią oczy,
Nic już nie przerwie cmentarnej ciszy,
Ucho — ptaszęcych brzmień nie usłyszysz...

 XXII.

A więc zawrzemy przymierze,
Kwiateczki me ukochane!
Będziemy śmiać się, gawędzić,
I pędzić chwile wiośniane...

Ty, piękny kwiatku majowy,
Ty, róžo, z rosą jak łezki,
Ty, cudny, barwny gwoździku,
I ty fijołku niebieski!

Zbliżcie się do mnie! Was wszystkie
Zasypie grad pocałunków...
Tylko z jedyną rezedą,
Nie chcę mieć żadnych stosunków...

 XXIII.

Znowu mnie dawny zapal unosi,
Jakbym na rączym biegł koniu,

I dążył żwawo do zamku lubej,
Co lśni w uroczym ustroniu...
Znowu mnie dawny zapal unosi,
Jakbym przybywał z daleka,
I miał się rzucić do krwawej walki
Tam, gdzie przeciwnik mnie czeka...
I pędzę szybko jak czarna chmura,
Wokół mnie wietrzno i ciemno,
Mój szermierz dziki i luba moja
Muszą dziś uleść podemną...

XXIV.

Dniem i nocą sercem czułem,
Poetyczną tkankę snułem,
Harmonijne przędłem trele;
Nie zyskałem jednak wiele...

XXV.

Że ciebie lubię, mopsiku,
To dla cię nie nową sprawą,
Kiedy ci daję łakocie,
Liżesz mi rękę łaskawą...
Chcesz psem pozostać, co umie
Wyrażać to, co pies czuje...
Ach! Reszta moich przyjaciół,
Zbyt się przedemną maskuje...

XXVII.

Miłość — nienawiść. Nienawiść — miłość,
W życiu oboje zaznałem...
Dziwna to jednak była zawilość...
Wiecznie tym samym zostałem...

XXVIII.

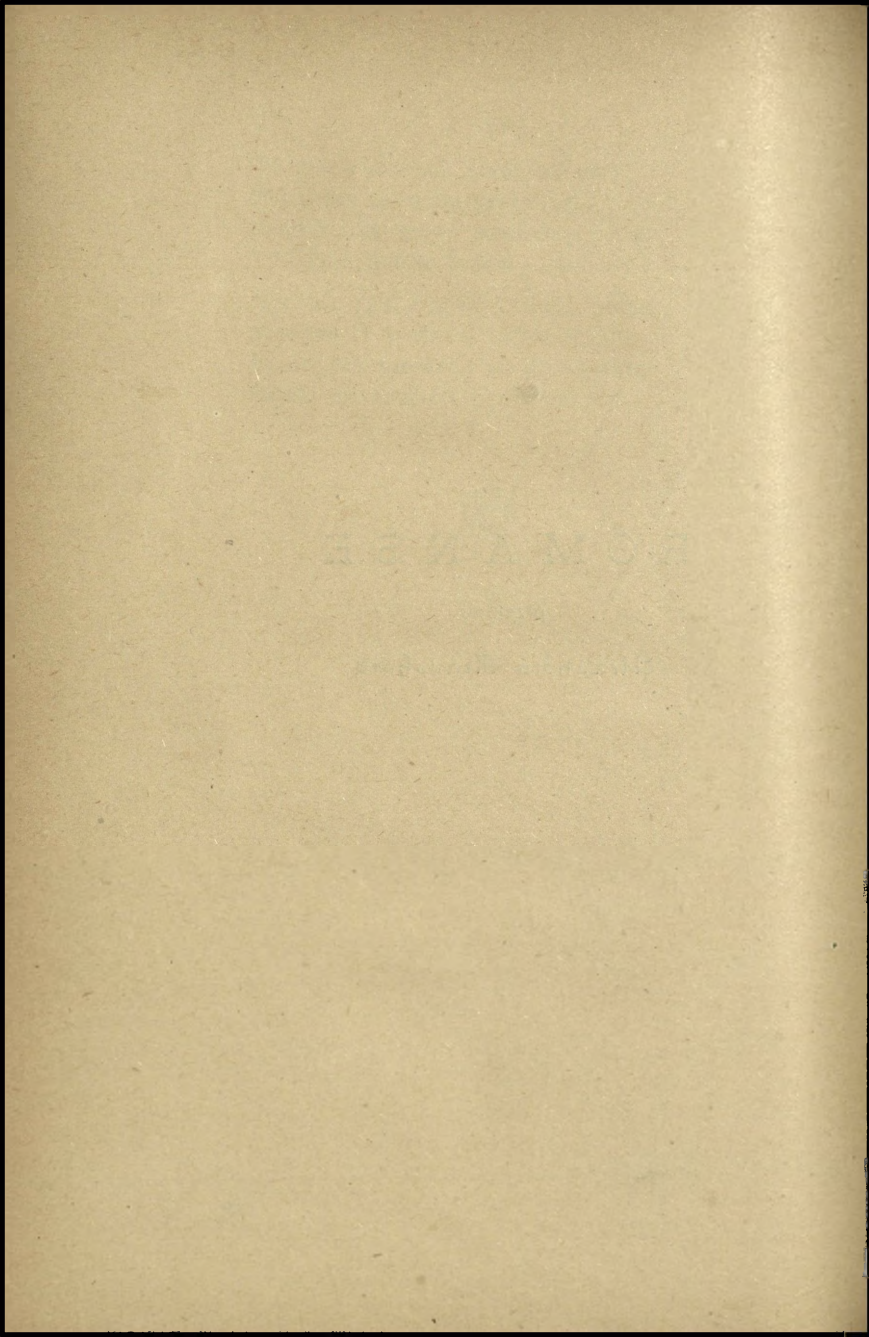
Twemi wielkimi, mądrymi oczy,
Patrzyłaś na mnie przez łyżę . .
Mogłaż być zgoda pomiędzy nami?
Tyś taka dobra, a jam — tak zły!
Jam tak zgorzkniały i złości pełen,
Niosłem ci w darze ironii zgrzyt,
Tobie, tak szczerzej, co duszą całą
Rajski mi chciałaś zgotować byt...



ROMANSE

przekład

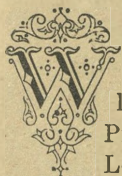
Alexandra Kraushara.





I.

NAMASZCZENIE.



leśnej głuszy, na ustroniu,
Przed obrazem Matki Boskiej,
Leżał w skrusze chłopiec błądy,
Z twarzą smutną, pełną troski.

„O, Madonno, niechaj we mnie
Wstąpi łaska Twoja błoga,
Nie odtrącaj mnie od siebie,
Od świętego Twego proga...

„O, Madonno, splot Twych włosów
Lśni w mem sercu tak słonecznie,
Słodki uśmiech ustek Twoich,
Wnika w duszę moją wiecznie...

„O, Madonno, oczy Twoje,
Koją serca mego trwogę,
Łódka życia wartko płynie,
Gdzie wskazują gwiazdki drogę...

„O, Madonno, Twem cierpieniem
Cierpię, smutny, na uboczu,

I w pobożnym zachwyceniu
Świecę ogniem Twoich oczu...

„O, Madonno, niech mi świecą
Twej korony jasne blaski,
Ześlij na mnie łask Twych zdroje,
Błogie zdroje Twojej łaski!“

Stała się nagle cudu tajemnica...
Las i samotna w lesie kaplica
Znikły, jak widmo w marzeniu sennem;
Chłopiec w zdumieniu został bezdennem...

I spostrzegł jasną salę zdziwiony,
Obraz Madonny opromieniony,
W postaci dziecka, o cudnej twarzy,
Gdy w oczach jego zachwyt się żarzy...

Sala się kwiatów napełnia wonią,
Widmo na błękit wskazuje dłonią,
I do chłopczyka niebiańskim głosem
Mówi: „Ja twoim zajmę się losem!..“

Któż udziela namaszczenia?
Opatrzności silne ramię,
Na niebiosach symbol kładzie,
Tęczą zowie świat to znamię...

Aniołkowie ruchem skrzydeł
Ślą do nieba śpiewne dzięki,
I śpiewają cudne pieśni,
Harmonijne niebios dźwięki.

Chłopczyk mowę tę zrozumiał,
Cudną mowę niebian raję,
Śpieszy rąco do tych krain,
Gdzie myrt w cichym kwitnie gaju...

II.

SMUTNY.

Sprawia wszystkim ból pokutny
Chłopiec trupio blady...
Na twarzyczce jego smutnej,
Łza wyryła ślady...

Litościwy zefir wieje
W bladą twarz chłopczyny;
Właćby chciały weń nadzieję,
Oporne dziewczyny...

Z wrzawy miasta w leśną ciszę
Dąży blade chłopię,
Gdzie wesoło drzew liść dysze,
Ptak na niebios stropie...

Lecz wnet milknie śpiew ptaszyny,
Liść swą główkę zniża,
Kiedy chłopiec do gęstwiny,
Zwolna się przybliża...

III.

GŁOS Z GÓR.

Rycerz pędzi przez dolinę,
U wzgórzystych stóp:
„Ach! Czyż ujrzę mą dziewczynę?
Czy wśród walki dzisiaj zginę?“
Bieży głos przez chmury sine:
„Czeka ciebie grób!“

Pędzi dalej rycerz smętny,
Na przepaści kraj,
Żal mu młodej krwi namiętnej,
I wciąż słyszy głos pamiętny:
„W grobie znajdziesz raj“...

Z poranej bólem twarzy,
 Rycerz ściera łzę;
 O spokoju mógł marzy
 I wciąż słyszy głos z cmentarzy:
 „W grobie — łoże twe!“

IV.

DWAJ BRACIA.

Na gór szczycie widać zamek,
 Otulony nocą,
 A w dolinie — jasne miecze
 Wśród szczęku migocą...

Walczą tam rodzeni bracia
 I w kling ostrych szczęku
 Chcą zakończyć spór zacięty,
 Z bronią w bratnim ręku...

Wszak to płomień oczu Laury
 Dzielnych braci dwoi,
 Obaj ogniem uczuć płoną,
 Do cudnej dziewoi...

Dla nich obu — pięknej Laury
 Żar uczuć nie stygnie,
 Więc, co oczy rozdwoiły,
 Niechaj miecz rozstrzygnie...

Chęć zwycięstwa, szal zazdrości,
 Wzmacnia dłoń rywala,
 A wśród nocy, bratnia walka
 Silniej się rozpala...

Biada, biada! Krew braterska
 Walkę tę zaostrza...
 Obaj bracia jednocześnie,
 Topią w piersi ostrza...

I spłynęły lata mnogie,
Cisza wśród natury,
A ów świadek krwawej walki,
Patrzy smętnie z góry...

O północy jakieś cienie
Okryte żałobą,
Ciągle jeszcze ostrzą miecze,
Ciągle walczą z sobą...

V.

BIEDNY „PIETREK“

I.

Tańczą z sobą Jaś z Małgosią,
Śmiech zdobi ich usta;
Na uboczu stoi Pietrek,
Wybladły jak chusta...

Jaś z Małgosią szczęściem płoną,
W ślubnem przystrojeniu,
Pietrek zdala schnie z zazdrości,
W powszedniem odzieniu...

Pietrek patrzy na kochanków
I szepcze nieśmiało:
Gdybym, ach, był mniej rozsądnym —
Cośby się tu stało...

II.

Serce moje ból rozpiera,
W pośród nocnej ciszy,
On i we dnie, w znojnjej pracy,
Ciągle towarzyszy...

Ciągnie mnie coś do Małgosi,
Chęci me rozpala,

Lecz gdy tylko ją spostrzegam—
Stronię od niej zdala...

Więc na wzgórze pójdę strome,
Tam jej nie zobaczę,
Lecz gdym tylko w samotności—
Znów tęsknię i płaczę...

III.

Gdy kto widzi cień Piotrusia—
Ból mu serce ściska,
Z łzami w oczach, z raną w duszy,
Patrzą nań ludziska...

„Patrzcie! Z grobu widmo wstało,
W trupiej swój ochydzcie...“
Lecz nie! Płochę krasawice
On do grobu idzie!...

Skarb on stracił najcenniejszy,
Więc chce spocząć w grobie...
Biedny Pietrek! Tam najlepiej
Będzie mógł spać sobie...

VI.

PIEŚŃ WIĘŹNIA.

Za zbrodnię czarów uczynić chciano
Węgiel z babuni mej ciała...
Wójt już zapisał papierów stosy,
Ale się przyznać nie chciała...

A gdy ją biedną w kociół wrzucono,
Krzyczała: mord! w niebogłosy...
Wraz z gęstym, czarnym, jak smoła dymem
Kruk czarny wzleciał w niebiosy...

Moja pierzasta, czarna babuniu,
Daj dowód twojej dobroci,
Do krat więzienia przyleć cichutko
I przynieś słodkich łakoci...

Moja pierzasta, czarna babuniu,
Kraź ponademną wciąż wkoło,
By ciotka oczu mi nie wykuła
Gdy będę fruwać wesoło...

VII.

GRENADYEROWIE.

Idą do Francyi dwaj grenadjery,
Co w Rosyi jeńcami byli —
A gdy w niemieckie weszli kwatery,
Z boleścią głowy zwiesili...

Tam — wieść, jak piorun niedościgniona,
O Francyi głosi im doli:
Że wielka armia — zbita, zwalczona,
A cesarz, cesarz — w niewoli!

Z rozpaczą w sercu, o takiej stracie
Biedacy wieści słuchali...

Jeden z nich rzecze: „Bracie mój, bracie,
Jak dawna rana mnie pali!“

A drugi rzecze: „Pieśń już skończona,
Radbym wraz z tobą ledz w grobie,
Lecz dziecko moje i moja żona,
Zamrą bezemnie w żałobie...“

„Co mi po dziecku, co mi po żonie!
Ich smutny los mnie nie boli...
Niech żebrać idą po moim zgonie,
Mój cesarz, cesarz w niewoli!“

„Bracie! To moja prośba ostatnia...
 Gdy chwila zgonu wybije —
 Zabierz me zwłoki... niech je tam bratnia,
 Francuska ziemia przykryje..."

„I krzyżyk legii, wstęczę pancerną,
 Połóż na piersi starganej...
 Do zeszlęj ręki broń moją wierną
 I pałasz podaj kochany..."

„Tak chcę spoczywać wśród walk posuchy
 I czekać wojny oznaków —
 Póki nie zagrzmie huk armat głuchy,
 I tętent rżących rumaków..."

„Gdy strzały armat będą dudniły
 Na znak, że bój się rozżarza...
 Wtedy powstanę zbrojny z mogiły,
 Cesarza bronić, cesarza!"

VIII.

POSELSTWO.

„Posłuchaj giermku rozkazu pana!
 Spiesz i osiodłaj wnet konia...
 I pędź przez lasy, góry i błonia,
 Do zamku króla Dunkana!"

A gdy zobaczysz znany ci wzgórek,
 Spiesz tam, gdzie są masztalerze,
 I tych wybadaj: która z dwóch córek
 Ślub przed ołtarzem dziś bierze?

Gdy ci powiedzą: że czarnobrewa...
 W lot ptaka przyjdź mnie pocieszyć,
 A jeśli rzekną, że biała dziewa,
 Nie masz się czego tak spieszyć...

Tylko mi kupisz, jak drzewo suchy,
Sznur długi, mocny, lecz cienki,
Potem tu wrócisz — jak skała głuchy,
I sznur ten dasz mi do ręki“...

IX.

UPROWADZENIE.

Kochanko miła! Nie pójdę sam,
Musisz pójść ze mną wraz,
Oboje pójdziem tam pokryjomu,
Do murów zimnych straszego domu,
Gdzie stara matka moja jedyna,
Wygląda tęsknie powrotu syna...
„Straszny człowieku! Puść mnie, ach, puść,
Kto cię przywołał, kto?
Oddech twój pali, w oczach twych zdrada,
Dłoń twoja zimna, twarz trupio biała,
Ja chcę tu zostać i o dnia brzasku,
Kąpać się w woni i w słońca blasku...“
Ach, zostaw róże i słońca blask,
Luba kochanko ma!
Owiń się w fałdy jasnej opony,
I uderz w lutni weselne tony,
A w pośród skocznych tonów piosenki,
Wiher owionie twej pieśni dźwięki...

X.

DON RAMIRO.

— „Donna Claro, donna Claro,
Skarbie uczuć moich luby,
Na mą zgubę się przysięgłaś,
Bezlitośnie chcesz mej zguby...“

Donna Claro, donna Claro,
Czyż nie miłem życie tobie?
Tam, pod ziemią, straszna męka,
W ciemnym, głuchym, zimnym grobie...

Donna Claro, a więc jutro
Don Fernando, twój pan młody,
Stanie z tobą przed ołtarzem,
Czy zaprosisz mnie na gody?"

— „Don Ramiro, don Ramiro,
Gorycz słów twych strasznie boli,
Boli bardziej — niż wyrocznie,
Które szydą z mojej woli...

„Don Ramiro, don Ramiro,
Precz z rozpaczą i żalobą,
Dziewcząt wiele na tej ziemi,
My — nie możemy żyć ze sobą...

Don Ramiro, ty, coś mężnie
Nieprzyjaciół zgnębił wiele,
Odnieś tryumf nad swem sercem,
I przyjdź jutro na wesele!"

— „Donna Claro, donna Claro,
Chcesz doświadczyć mojej mocy...
A więc będę tańczyć z tobą,
Do widzenia! Dobrej nocy!"

Dobrej nocy! Skrzypło okno...
Rycerz stał w osamotnieniu,
Czekał długo i nareszcie
Zniknął — w głuchej nocy cieniu...

I noc przeszła. Brzask poranku
Wszędzie światło dzienne szerzy,
W dali — jakby sad zielony,
Gród Toledo drzemiąc leży...

Cudne gmachy i pałace,
Błyszcą dumnie w jutrzni świecie,
I kościołów ostre wieże,
Tworzą obraz na błękiecie...

Jak rój pszczołek wkoło ula,
Dźwięczą świątyń pańskich dzwony,
A z pod sklepień tych kościołów,
Płyną w niebo modlitw tony...

Spójrz, tam, w dali, ileż ludu!
Jakie dziwne głosów szumy!
Zewsząd, jak na wielkie święto,
Cisną się ciekawe tłumy...

Huf rycerzy w barwnych strojach,
Wieniec kobiet nieprzejrzany,
A w oddali jęczą dzwony,
I basowo grzmią organy...

W pośród tłumów, z wdziękiem kroczy
Oblubieńców młoda para,
Don Fernando, piękny młodzian,
I precudna donna Clara...

Do przedsionków pałacowych,
Przystrojonych w kwiatów wieńce,
Ciągnie orszak zaproszonych,
I dziewice i młodzieńce...

Cieszy się rozkosznym płasem
Ucztujących par gromada,
Wartko płyną szczęścia chwile,
I już zwolna noc zapada...

Dają znak do nowych tanów,
Mkną na salę pary nowe,
I w jarzących światła blasku,
Szaty błyszczą ich godowe...

Na wysokich krzesłach, w sali,
Siedzą młodzi narzeczeni,
Ci nie słyszą tańców, gwaru,
W szept miłosny zatopieni...

A na sali tańczą pary,
Od podmuchów wiosny letsze,
Brzmi huk bębnow, trąb, fanfarów,
Ich odgłosem brzmi powietrze...

— „Lecz dlaczego piękna donno,
Wzrok twój dziwnie zapatrzony
W jeden kącik naszej sali?“
Pyta rycerz zadziwiony...

— „Czyż nie widzisz, mój Fernando,
Postać stoi tam złowroga...“
Na to rycerz z wdzięcznym śmiechem:
Ach! to tylko cień, ma droga!

Cień się zbliża. Był to młodzian,
Czarna zdobi go opona,
I Ramira w nim poznaje
Panna — dziwnie zapłoniona.

Już rozbrzmiewa nocny taniec
I wesołość pląsów błoga,
Wśród akordów trąb weselnych
Taktem walca drga podłoga..

„Chętnie z tobą tańczyć będę,
Z cicha dziewczę wyszeptano,
Ale w czarnej tej oponczy —
Na bal przyjść nie wypadało!..

Z dzikim wzrokiem don Ramiro
Patrzy w oczy panny młodej...
I wśród tańca mówi głucho:
„Wszak wezwałaś mnie na gody!“

W wirze tańca mkną jak duchy,
Od powiewów wiosny letsze,
Brzmi huk bębnow, trąb, fanfarów;
Ich odgłosem brzmi powietrze...

„Czemuż lica twe tak blade?“
Pyta panna, sama blada —
„Zaprosiłaś mnie na gody!“
Głucho rycerz odpowiada...

Jaśniej błyszczą światła w sali,
Pędzi para opętana,
Jakby chciała być przy sobie
Od północy — aż do rana...

„Czemu ręce twoje zimne?“
Cicho dziewczę wciąż się żali —
„Zaprosiłaś mnie na gody!“
Szepta rycerz, tańcząc dalej...

„Puść mnie, puść mnie, don Ramiro,
Czuję jakieś trupie chłody...“
Na to rycerz bezlitośnie:
„Zaprosiłaś mnie na gody!“

Bez wytchnienia, w dzikim szale,
Mkną tancerze ci zawzięci,
Tony skrzypiec jęczą dziko
Wszystko koło nich się kręci...

„Puść mnie, puść mnie, don Ramiro,
Twej grzeczności mam dowody!“
Na to rycerz odpowiada:
„Zaprosiłaś mnie na gody!“

„A więc uchodź, w imię Boże!“
Mówi dama do rycerza.
Ledwie słowa te wyrzekła,
Rycerz znikł, jak szept pacierza...

Patrzy dama, trupio blada,
 Drżąca, trwożna, przerażona,
 I na ręce don Fernanda
 Pada z krzykiem, wpół zemdlona...
 „Co to znaczy? — młodzian pyta —
 Co przejmuje cię obawa?“
 — A... Ramiro? — pyta dama,
 Patrząc w twarz kochanka łzawo...
 Don Fernando patrzy chmurnie,
 Czoło jego troska kryje,
 „Ach! nie pytaj,“ mówi głucho:
 „Don Ramiro, już — nie żyje!“

XI

ALMANZOR.

I.

W kordowańskim, wzniosłym tumie,
 Stoi kolumn tysiąc trzysta,
 A na gęstych tych kolumnach
 Lśni kopuła przysadzista...
 Na kolumnach, łukach, ścianach,
 W którąkolwiek spojrzysz stronę —
 Widzisz słowa Alkoranu,
 Ręką mistrzów wyrzeźbione...
 Władcy maurów — dla Allacha
 Tę świątynię zbudowali,
 Lecz się wiele już zmieniło
 W ciemnych wieków bystrej fali...
 Na wieżycy, gdzie muezin
 Wzywał lud — do modlitw, skruchy,
 Dzisiaj — dzwony chrześcijańskie
 W melancholii jęczą głuchej...

A na stopniach, kędy wierni
Powtarzali głos proroka,
Łyse mnichy niemym tłumom
Ukazują cud z wysoka...

A Almanzor ben Abdullach,
Patrzy bacznie w tum Kordowy
I kolumny mierząc wzrokiem —
Temi do się szepcze słowy:

„O, kolumny! Was wzniesiono
Na Allacha powitanie,
A dziś — na wspaniałość waszą,
Wstrętni patrzą chrześcijanie!“

I pochylił rycerz głowę,
Nie folgując maura dumie,
Nad chrzcielnicą wyrzeźbioną,
W kordowańskim świetnym tumie!

II.

Rączo schodzi z tumu stopni
I na koniu mknie jak chmura,
Aż mu drgają włosów sploty
I bufiaste drgają pióra...

Gdzie do Alkolei płynie
Nurt Gwadalkiwiru płowy,
Gdzie migdały kwitną białe
I lśni kwiat pomarańczowy...

Dzielny rycerz rączo spieszy,
Gwiżdże, śpiewa, na swobodzie,
Hołd składając leśnym ptakom
I szemrzającej rzeki wodzie...

W Alkolei głuchym zamku
Sama mieszka donna Klara.
Ojciec jej w Nawarze walczy
I huf wrogów zmóźdz się stara...

A Almanzor — już zdaleka
Słyszy bębnow, trąb dudnienie,
Widzi światel drobne smugi,
Co przez liści pełzną cienie...

A na zamku — dam dwanaście
I rycerzy huf nie mniejszy,
Wszyscy tańczą, dziarsko, żwawo,
Lecz Almanzor najzwinniejszy...

Wesołością podniecony.
Mięsza się do dam rozmowy,
Umie ująć je swym wdziękiem
I gła dkiemi ująć słowy...

Izabelli cudnym rączkom
Pocałunki śle zwodnicze,
Umie siaść i przy Elwirze,
Śmiało patrzeć w jej oblicze...

Z śmiechem pyta Leonory:
„Czy się dzisiaj jej podoba?“
Mówi, że krzyżyki płaszcza
Najpiękniejsza dlań ozdoba...

I zapewnia każdą damę,
Że mu miłość pierś rozżarza,
„Jakiem jest chrześcijaninem!“
Już trzydziesty raz powtarza...

III.

A na zamku Alkolei
Już przycichły tańce, krzyki...
Znikły już tańczących grona
I zagasły świec płomyki...

Donna Klara i Almanzor
Pozostali tylko sami —
I ostatni odbłysek lampy
Pada na ich twarz smugami...

A na krześle siedzi donna,
Zapatrzona, zasłuchana,
U jej stóp marzący rycerz,
Kłoni głowę na kolana...

Z złotej fioły — na rycerza
Woń różaną donna zlewa,
I z chmurnego jego czoła
Smutek rączką swą rozwiewa...

I łza z oczu donny spływa
Na włos bujny Almanzora...
A on smętnie lica chmurzy,
Z czoła znika mu pokora...

Śni mu się, że stoi w tunie,
Że wpatruje się w niebiosy,
Że z pokorą w duszę chłonie
Jakieś dziwne, smętne głosy...

Wszak to kolumn ciche jęki,
Wywołane wspomnień chwilą...
Dłużej cierpieć już nie mogą,
Łamią się... ku ziemi chylą...

Słysząc trzask i łoskot straszny,
Bledną księża, jakby duchy,

I kopuła się zapada
I jęk bogów słyhać głuchy!..

 XII.

DONNA KLARA.

Nocną porą, po ogrodzie,
Błądzą stopy donny Klary,
Z wieżyc zamku słyhać śpiewy,
Brzmią bębenki i fanfary...

„Już mnie nudzą gry i pląsy,
Nudzą szumne pochlebstw roje,
I rycerze, co w swych rymach,
Sławiają lica, oczy moje...

„Wszystko już straciło urok,
Od tej chwili, gdy w gwiazd blasku
Raz spotkała wzrok rycerza...
Był jak święty na obrazku!

„Wiotki, rosły, blade w licach,
Wzrok niebios dumnie mierzy,
Co za zapal, jakiż ogień!
Jak przy mieczu święty Jerzy!..“

Tak dumiała donna Klara,
Stojąc, wsparta u kolumny,
Lecz gdy oczy wzniosła w górę,
Stanął przed nią rycerz dumny. —

I, po chwili, splekli dłonie,
W piersiach ich miłości burze,
Ale zefir głaszcze lica
I szept cichy ślą im róże...

Ciche szepty ślą im róże
I kochanków wzrok się żarzy,

„Ale, powiedz mi, o luba,
Zkąd rumieniec na twej twarzy?“

— „To komary mnie tak kłują...
A komary — podczas lata
Są mi tak nieznośnie wstrętne —
Jakby żydów éma brodata...“

— „Ach, daj pokój émom i żydom,
Rzecz rycerz, z lekkim śmiechem,
Patrz, jak z drzewa listek spada,
Za dalekiem dążąc echem...“

„Wszędzie — wonie róż, granatów,
Wszędzie mirty woń rozlana,
— Ale powiedz mi, o luba,
Czyś ty szczerze mi oddana?“

— „Ja cię kocham, mój najmilszy,
Na Chrystusa klnę się szczerze,
Co Go żydzi umęczyli,
Ci złoczyńcy, ci szalbierze!“

— „Ach, daj pokój klątwom, żydom,“
Rzecz rycerz, mrużąc oczy,
„Patrz, jak w dali tęsknią lilje,
Wśród srebrzystej mgły obłoczy...“

„Tęsknią lilje mgłą owiane,
Blaski płyną w gwiazd eterze,
— Ale powiedz mi, o luba,
Czyś przysięgła tylko szczerze?“

— „Niema fałszu w słowach moich,
Ni fałszywej niema głoski,
Tak jak w krwi mej — niema kropli
Maurów krwi, lub krwi żydowskiej...“

— „Ach, daj pokój maurom, żydom!“
Mówi rycerz coraz gładziej,

I do cichej róż altanki
Donnę Klarę już prowadzi...

Tam ją słowa, zmysły, pieśni,
W sieć miłości usidliły;
I, po chwili, już na wieki
Dwa się serca skojarzyły...

A w oddali śpiew słowików
Głuszy wszystkich ptasząt wrzawy,
I robaczki ogniem lśniące
Migotają wpośród trawy...

A w altance coraz ciszej...
Słychać tylko szmer granatów,
Ciche szepty lilji z różą,
I westchnienia polnych kwiatów...

W tem, wśród błysku sztucznych ogni,
Z wieżyc zamku pieśń zabrzmiała,
Donna Klara w pół marząca
Z lubych objąć się wyrwała...

— „Słuchaj, luby, czas się rozstać,
Ale przedtem, proszę kornie,
Wyjaw mi nazwisko swoje,
Któreś tań tak upornie!“

A ów rycerz — z wdzięcznym śmiechem
Znów całuje tysiąc razy
W ręce, w usta, swoją donnę...
Wreszcie mówi te wyrazy:

— „Ja, sennora, twój najmilszy,
Co cię kochać się ośmiela,
Jestem — rodem z Saragossy
Synem — rabbi Izraela!“

XII.

Na egzemplarzu

„RABBI Z BACHARAH.“

Ach, rozbrzmiej w głuszy jęki głośnemi,
Męczeńska, święta, ma pieśni!
Ty, którą tulił tak długo, długo,
W najskrytszej piersi mej cieśni...

Na echo twoje bledną narody,
Szczękają wspomnień okowy,
W tobie, ma pieśni, łza jasna płynie,
I ból tysiąco — wiekowy....

Na echa twoje — wielcy i prości,
Lodowe serca w habicie,
Kobiety, starcy, płaczą jak dzieci,
Wtórzą im gwiazdy w błękicie...

I łez tych struga płynie daleko,
W krainy róż i hebanu,
I jednym źródłem z cicha się zlewa —
W przejrzyste fale Jordanu!

XIV.

PIELGRZYMKA DO KEWLAAR.

1.

Na łożu syn leżał blady,
A nad nim czuwała matka...
— „Czy nie powstaniesz, Wilhelmie?
Patrz, spieszy wiernych gromadka...“
— Jestem tak chory, mateńko,
Że nic w mej duszy nie śpiewa...

Gdy wspomnę o zmarłej Gretchen —
Serce mi bólem nabrzmiwa...“

— „Powstań, pójdziemy do Kewlar“ —
Odrzecz matka synowi...

„Tam — Przenajświętsza Dziewica
Twe serce chore uzdrowi...“

Szeleszczą święte sztandary
I słońce zwolna zapada,
To do Kolonii, nad Renem,
Dąży pobożnych gromada...

Matka podąża za ludem
I tuli syna do łona...
Śpiewają w chórze oboje:
„O, Maryo, bądź pozdrowiona!“

2.

Najświętsza Panna w Kewlarze,
Odziana szaty lśniącemi,
Dziś wiele łask świadczyć musi,
Bo wiele nędzy na ziemi.

Chorzy przynoszą Jej w dani
Ofiary skromne, dziecięce,
Z wosku zrobione figurki,
Woskowe nogi i ręce...

Kto rękę z wosku w dań składa —
Ten zdrowiem rękę użyznia,
Kto daje nogę woskową —
Temu się rana zabliźnia...

Nie jeden przybył o kuli,
A dziś już biega po linie...
Ten — co palcami nie ruszał,
Dziś, z gry na skrzypkach już słynie...

Matka do syna się zbliża,
Z małym serduszkim woskowem:
— „To oddaj Pannie Najświętszej,
A serce twe będzie zdrowem...“

Syn westchnął, spojrzął na matkę,
A potem w obraz cudowny,
Oczy mu łzami nabiegły,
Z ust płynął żal niewymowny:

— „O, Ty! Bądź błogosławiona,
W przeczystych aniołów chórze!
Królowo nieba i ziemi,
Tobie mą boleść wynurzę...“

„Mieszkałem z matką, nad Renem,
W Kolonii, pobożnym grodzie,
Gdzie lśnią kościołów wieżyce,
O bladym słońca zachodzie.

„A przy nas—Gretchen mieszkała...
Lecz zmarło dziewczę kochane...
Maryo! Masz serce w ofierze,
Zabliźnij serca mą ranę!“

„Uzdrow me serce zbolące,
A dusza moja stęskniona
Śpiewać ci będzie co rano:
O, Maryo! Bądź pozdrowiona!“

3.

Na łożu, w cichej komorze,
Śpi syn i matka spoczywa,
Nagle, do chaty z lazurów,
Najświętsza Panna w mgle spływa...

Schyła się z lekka do łoża
I dłoń — jasności promyka

Kładzie na serce choremu,
Patrzy nań chwilę i — znika...

Matka to we śnie widziała,
Dziwny jej ciężar dolega...
Zrywa się ze snu wylękała
I drżąc do łoża przybiega...

Tam leżał syn jej — nieżywy!
Z białym krzyżykiem u ręki,
Lecz twarz miał jasną, pogodną.
Jak gdyby odbłask jutrzeńki...

Matka spojrzała w niebiosą...
Klękała — i łzami zroszona
Szepnęła usta drżącemi:
„O Maryo! Bądź pozdrowiona!“

 XV.

BALTAZAR.

Północ się zbliża. Po dziennym znoju
Gród Babilonu marzy w spokoju...

A tylko w górze, na zamku króla,
Igrają światła, tłum głośno hula...

W królewskiej sali dwór się zabawia;
Baltazar ucztę swoją odprawia...

Dworzanie, w świetne szaty odziani,
Wznoszą okrzyki — jak opętani...

Spijają wina, jadła roznoszą.
Króla te dźwięki poją rozkoszą...

Widokiem ucztę wciąż się zachwyca;
Dziwnym zapalem skrzą mu się lica...

Czuje odwagę, zapal bojowy,
I bluźni bóstwu grzesznemi słowy.

Rzuca niebiosom głos śmiały, dziki...
Służba pochwalne wznosi okrzyki...

I coraz huczniej grzmi pieśń pijana,
Służalec wraca na rozkaz pana...

Stos złotych naczyń dźwiga na głowie
Ze świętej Arki wzięty Jehowie...

Budzi się w królu chęć niegodziwa...
Naczynie święte w dłonie porywa

I, dzikim wzrokiem wodząc dokoła,
W szale bluźnierstwa, pijany woła:

„Jam Babilonu władzca, Jehowo!
Rzucam Ci wzgardy, urągań słowo!“

Ledwie przebrzmiała ta mowa dzika,
W pierś króla przestrach tajemny wnika...

I, po wrzaskliwej rozpusty szale,
Milczenie grobu zalega salę...

Każdy się spojrzeć przed siebie lęka...
Na białej ścianie zjawia się ręka...

Kreśli nieznane, ogniste słowa,
I znika nagle, we mgle się chowa...

W królu zamiera -uciecha pusta...
Spogląda trwoźnie, blady jak chusta...

Przejęci trwogą, patrzą dworzanie
Na tajemnicze głoski na ścianie...

Schodzą się trwoźni króla magowie,
Odczytać wyrok w ognistym słowie...

Jeszcze się cienie nocy nie skryły —
Służalcze ręce króla dobiły...

XVI.

PIEŚNIARZE.

Spiesz gwarnie tłum pieśniarzy,
Wzrok zapalem promienieje,
Dziwna będzie to szermierka,
Dziwne będą to turnieje...

Wyobraźnia rozogniona —
Jest kolumną mu bojową;
Sztuka jego jest puklerzem,
A orężem — dzielne słowo!

Patrzą z góry piękne damy,
Wesołemi lśnią oczyma,
Lecz wybranej między niemi
Z wawrzyńcowym wieńcem — niema.

Kiedy inni biegną w szranki,
Walka dla nich jest zabawą...
Ale my, pieśniarze tkliwi,
Nosim w sercu ranę krwawą...

A kto tam najdzielniej walczy
I w pieśń wlewa serce całe,
Ten zwycięzcą — ten zdobywa
Z najpiękniejszych ust pochwałę...

XVII.

Rozmowa

NA PADERNBORSKIM WYGONIE.

— Czy nie słyszysz echa tanów?
Ton to skrzypiec urywany,
Pewno jakieś piękne dziewczę,
Skoczne tam zawodzi tany...

„Mylisz się, mój przyjacielu,
Tonów skrzypiec ja nie słyszę,
To zapewne prosiąt kwiki
Przerywają leśną ciszę...”

— Czy nie słyszysz leśnych rogów?
Słyszę strzelców pochod szparki,
Widzę białych owiec stada,
Pastuszkowie dmą w fujarki...

„Mylisz się, mój przyjacielu,
W uchu mojem brzmią jedynie
Świniopasów grube głosy,
Gdy do chlewa pędzą śwynie...”

— Czy nie słyszysz pieśni chórów,
Spływających tu falami?
Aniołkowie owym pieśniom
Biją brava skrzydełkami...

„Bezowocne twe zachwyty...
Chcesz rozróżnić dźwięk w hałasie,
Wszakże widzisz, że śpiewając,
Rój pastuchów gęsi pasie...”

— Czy nie słyszysz dźwięku dzwonów,
Jakby echa niebian mowy?
Widzisz jak pobożne grono
Do kaplicy mknie wioskowej?

„Ach, mój luby, odgłos dzwonek
Krów i wołów — ciebie mami,
Widzisz przecie, jak do stajni
Ciagną woły, trzęsąc łbami...”

— Czy nie widzisz szat powiewu,
U górskiego tam potoku?
Wszak tam stoi luba moja,
Z rzewną łezką w modrem oku...

„Przyjacielu, twe wrażenia
 Po nad wyraz są ładzące!
 Wszak to wiedźma jakaś stara,
 Kroczy zwolna tam — po łące...“

— Przyjacielu! Nie rozumiesz
 Tego, co fantasta czuje.
 Czyż złudzeniem i to nazwiesz
 Co w mem sercu pielęgnuję?

XVIII.

MARZENIE I ŻYCIE.

Dzionek był skwarnym, skwar był w mej duszy,
 Nic nie koіło moich katuszy,
 Gdy noc nadeszła — ta mar bogini —
 Różę ujrzałem w cichej pustyni... ,

Do niej doszedłem martwy, bez siły,
 Łzy się obfite w oczach kręciły,
 Duszę mą — błogość koіła cicha, ...
 Dziwne szły blaski z róży kielicha...

Zasnąłem wkrótce, słodko, radośnie,
 Marząc o róży, o cudnej wiośnie,
 Różowe dziewczę we śnie ujrzałem,
 I blask różowy nad śnieżnem ciałem...

Od niej dostałem skarbiec bogaty,
 Wniosłem go szybko do złotej chaty,
 Tam, w złotej chacie, szum nieprzerwany...
 Wesole pary zawodzą tany.

Tańczy dwunastu dzielnych rycerzy,
 W barwnej, powiewnej, lekkiej odzieży,
 Każdemu rękę daje dziewczyna,
 Gdy jeden skończył, drugi — zaczyna...

I szept tajemny marzenie płoszy:
„Nigdy nie wraca chwila rozkoszy...
Marzeniem było tve całe życie,
Zgasło, jak gaśnie gwiazdka w błękitcie.“

Spać, po tych słowach, nie mogłem dłużej...
Spojrzałem szybko w kielich mej róży;
Zamiast błyszczącej iskierki ładnej
W kielichu wił się — robak szkaradny..

XIX.

PRZEPLAKANE ŁZY.

Ty już nie żyjesz, droga dziecino,
Zgasły błękitne twoje oczęta,
I twarz powlekła się barwą siną...
Ty już nie żyjesz, dziecino święta!
Wśród bladej, ehmurnej, nocy jesiennej,
Sam cię do zimnej niosłem mogiły,
Gwiazdki szły za mną wśród mgły promiennej
Słowiki piękne piosnki nuciły...

Lasy, przez które niosłem tve ciało,
Śpiewały szumiąc pieśni żałobne...
A w dali — echo z gór powtarzało
Szumiących sosen pieśni nadgrobne...

Po nad jeziorem wstrzymałem kroki...
Tam chór topielic, gdzie jasne zdroje,
Wstrzymywał żartkiej fali potoki,
Patrząc z boleścią na ciało twoje...

A gdyśmy przeszli szlaki grobowe
Wystąpił księżyc, blady, zamglony,
I nad twym grobem miał smutną mowę,
A w dali brzmiały kościołka dzwony..

XX.

AZRAH.

O wieczornej, smętnej porze,
 Gdy na niebie księżyc błyska,
 Szło sułtańskie dziewczę hoże,
 Gdzie fontanna srebrna tryska...

Tam, niewolnik, lwa urody,
 Stawał ciągle w mgle księżyc
 I gdy patrzył w srebrne wody,
 Bładły mu spalone lica...

Raz — sułtanka z za gaiku
 Do araba przystąpiła:
 „Imię twoje, niewolniku,
 Jakaż ziemia cię zrodziła?“

Arab odrzekł: „Jam z imienia
 Azrah — znany w puszczy krainie,
 Jestem z tego pokolenia,
 Które kocha raz i — ginie...“

XXI.

PIEŚŃ NAD PIEŚNIAMI.

Ciało kobiety — jestto poemat,
 Przez Stwórcę światów wpisany
 W olbrzymie karty albumu świata,
 Ciepłym natchnienia owiany...

Tak. Szczęsną była ta wielka chwila!
 Bóg był wysoko natchniony...
 W cudowne kształty, w formy artyzmu,
 Ugiął On głaz niewzruszony...

Ciało kobiety — to pieśń najwyższa,
 Biblijna pieśń nad pieśniami...

Drobne rączęta w tem arcydziele —
Są cudownemi strofkami...

Jakąż jest wzniosłą, boską idea,
Szyja — co w niebo się zrywa!
Na niej się piętrzy główka przepyszna,
Myśl poematu treściwa...

Cudownych piersi rym harmonijny
Ma urok niewysłowiony —
Zachwycającą wdziękiem cezurą
Jest wiersz ten przepołowiony...

Plastyka mistrza — w biodrach przepysznych
Wrażenie rytmu nam sprawia...
Średniówka, z pięknym liściem figowym,
Również się nieźle przedstawia...

To nie poemat wskroś abstrakcyjny,
Barwami lśniący nikłemi...
Tętni on życiem, płacze i pieści
Ustami w rym splecionemi...

Tryska tam zewsząd natchnienie czyste,
Duch stał się tam poematem...
Na cudnem czole myśl promienieje —
Bóstwa, wzniosłości chryzmatem!

O! wielbić ciebie, wieszczu nadziemski,
Co słyniesz pieśni zaletą!
Czemżeż jesteśmy — partacze ziemscy—
Przed Takim —jak Ty — poetą!

Chcę się pogrążyć w pieśni Twej toni,
By szukać natchnień pomocy...
I studyom owym, studyom rozkosznym,
Poświęcę dni me i — nocy!

Tak! Dni i nocy studyować będę,
By nabyć wiedzy obszaru —

A jeśli nóżki schudną mi nieco,
To tylko... z pracy nadmiaru!

XXII.

ENFANT PERDU.

Lat trzydzieści czuwałem na wskazanej warcie,
Niestrudzony, jak żołnierz, pilnując wyłomu,
Bez nadziei, pomocy, walczyłem zażarcie,
Wiedziałem, że bez szwanku nie wrócę do domu...

Dniem i nocą czuwałem, kiedy inni śnili,
A jeśli ze znużenia nieposłuszna głowa
Kłoniła się ku piersiom — po niedługiej chwili
Budziła mnie chrapaniem tłuszcza obozowa...

Częstokroć na szyldwachu nudy mnie dręczyły...
Czasem bojaźń przelotna... (to wady chroniczne),
Chciałem umysł orzeźwić, pokrzepić swe siły;
Więc świstałem przez zęby piosnki satyryczne...

Tak! mężnie się sprawiałem, z orężem przy boku,
A gdy śmiał się przybliżyć zuchwały morderca,
Porywałem karabin i z wściekłością w oku
Rozpaloną mu kulkę wpędzałem do serca...

Mogło zdarzyć się czasem — że przeciwnik młody
Również dzielnie używał strasznego krzesiwa...
Ach! Zaprzeczyć nie mogę, są krwawe dowody...
Z mojej piersi zranionej krew zwolna upływa...

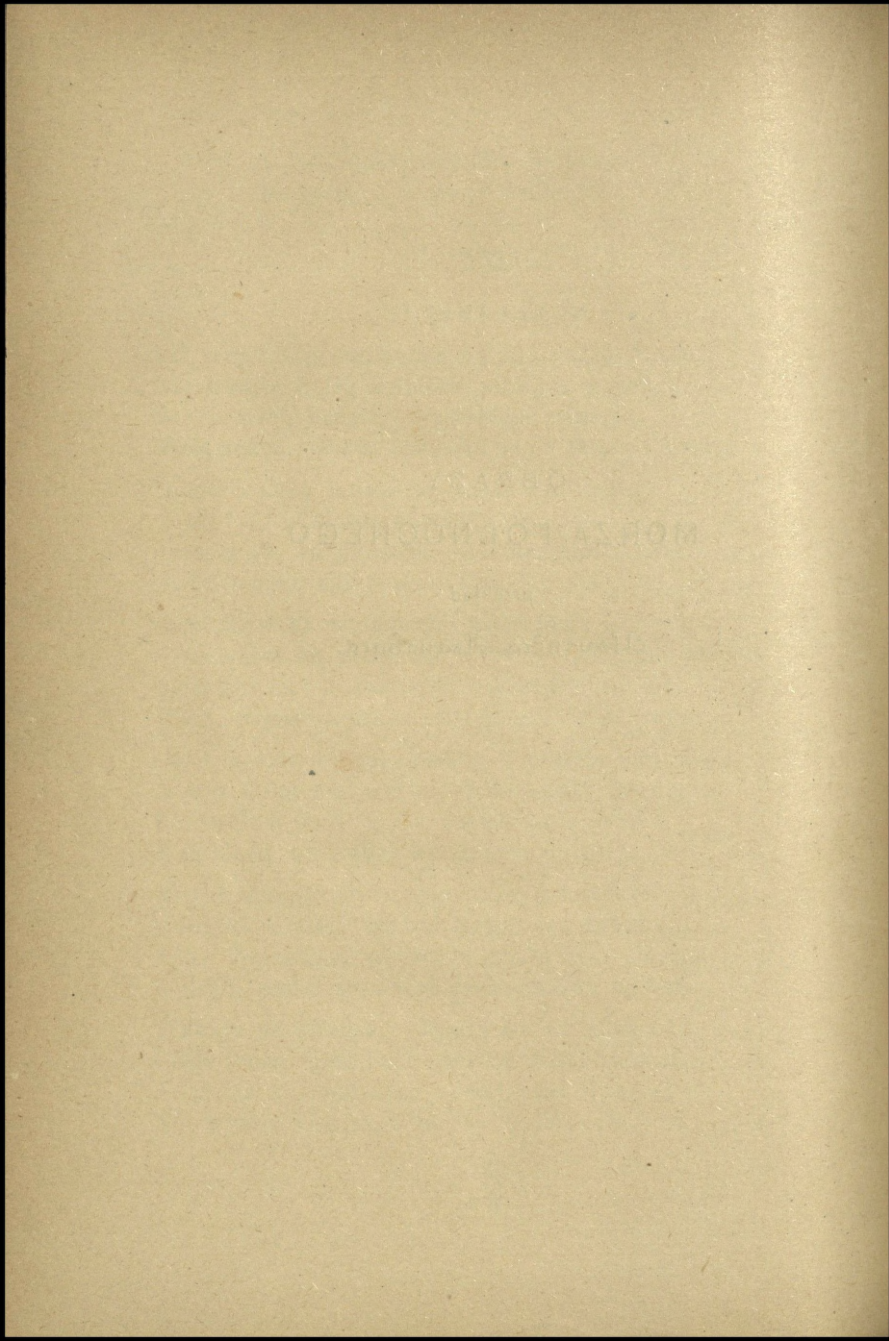
Wakuje posterunek! Jątrzą się me rany...
Ginie jeden — jest inna garstka niewylękła...
Ja padam niezwalczony — mój oręż wybrany
Nie wyszczerbił się w walce. Tylko — pierś mi pękła...



OBRAZY
MORZA PÓŁNOCNEGO

przekład

Alexandra Kraushara.





I.

K O R O N A C Y A .



Pieśni! Dobre pieśni moje,
Zbudźcie się!
Niechaj dźwięk surmy uderzy!
Na tarczach waszych puklerzy
Cudną ponieście dziewoję,
Którą, jak skarb, serce chowa...
Ona — to moja królowa!

Cześć Tobie, młoda królowo!

Z oblicza złotego słońca
Zerwę promienną koronę
I z niej dyadem uwiję,
Na czoło twe poświęcone...
Z jedwabnej, gwiazdami tkanej,
Szaty królewskiej —
Wykroję szmat najpiękniejszy,
Na płaszcz twój, luba, królewski...
Obdarzę cię, najpiękniejsza,
Sonetów wdzięcznym orszakiem;
Stanze i dumne terziny
Będą wszechwładzy twej znakiem...

Laurem twym będzie mój — dowcip,
 Trefnisiem — fantazyja ma...
 A godłem — niechaj ci będzie
 Gorzko śmiejąca się lza...

Co do mnie, piękna królowo,
 Wśród licznych dworzan twych tłumu,
 Klęcząc, w pokorzę ci wręczę
 Tę drobną szczyptę rozumu,
 Której nie wzięła z mej głowy
 Łaskawość pierwszej królowej...

II.

Z M I E R Z C H.

Nad bładem morza wybrzeżem
 Siedziałem chmurny, samotny...
 Słońce tonęło w oddali
 Rzucając odblask stokrotny
 Na białe, pienne fale,
 Które, w szalonych podskokach,
 Kłębiaste niosły warkocze
 Ku stromej wybrzeża skale...

Szum dziwny, szepty i drgania,
 Śmiechy, westchnienia i łkania,
 W rzewną melodyę zasnute,
 Czarowną tworzyły nutę
 Podań dziecięcych i pieśni...
 Które, sąsiedzi rówieśni
 Za młodych lat mych szeptali...
 Słońce już gasło w oddali,
 Gdyśmy, w te baśni wsłuchani,
 Jak w głębie morskiej otchłani,

Mądreml patrzyli oczy
Na ów krajobraz uroczy...
A w oknach—kwiatów powoje
Kryły ciekawe dziewoje,
Świeże—jak pączki róźane.
Światłem księżyca oblane...

III.

ZACHÓD SŁOŃCA.

Czerwone, ogniste słońce,
W toń srebrno-szarą zapada...
Za niem, jak duchów gromada,
Róźowych chmur płyną gońce...
Z jesiennych obsłon błękitu
Księżyca twarz patrzy blada...
A tam—z otchłani zenitu
Gwiazdzistych iskier snop spada...
Niegdyś, w niebiańskiej świątyni,
Małżeńskim węzłem złączeni,
Bóg—Sol i Luna—bogini
W nieb królowali przestrzeni...
W ich oczy, jak w oczy matki,
Gwiazdziste patrzyły dziatki...
Lecz w tę małżeńską pogodę,
Zawistni wnieśli niezgodę...
Oto—w samotnej zadumie,
Gdy jutrznia sieje swe brzaski,
W pochlebców tysięcznych tłumie,
Bóg—Sol roztacza swe blaski...
A tylko, o nocnej porze,
Gdy blask dnia słabo migoce,
Na niebios wpływa przestworze
Luna, jej dziatki sieroce,

I smutnym blaskiem jaśnieją...
Do nich, z westchnieniem, nadzieją,
Z wiecznym zachwytem na twarzy,
Rwą się zastępy pieśniarzy...

Lecz srebrno-biała bogini
O pięknem słońcu wciąż marzy...
Gdy ciemny wieczór zapada,
W czarną chmur szatę odziana,
Patrzy na męża z żalobą,
I „zbliź się!“ wołać nań rada,
„Dziateczki tęsknią za tobą!“
Lecz zdjęte dziwnym przestraczem,
Kryje się słońce za chmurę,
Spowite w złotą purpurę...

Tak złości siły nieczyste
Wniosły i ból i zniszczenie
Pomiędzy bogi wieczyste...
A ci bogowie strapieni,
Przejęci żalem i trwogą
Krażą po niebios przestrzeni
I żyć i umrzeć nie mogą...
Po orbit wciąż krażą kole,
Wlokąc promienną niedolę...

Ja zaś, człek biedny, poziomy,
Kryjąc swe żale, rozpacze,
Nie cierpię dłużej, nie płaczę...

IV.

NOC NA WYBRZEŻU.

Bez gwiazd i mroźną jest noc...
Morze poziewa...
Huczy nad morzem północny wiatr,
W powietrzu krąży wciąż mewa...

Wiatr szumi, huczy, jak stary zrzęda,
I szepcze z cicha do wody
Jakieś legendy chmurne, a dziwne,
I czarodziejskie przygody,
Norweskie sagi, dziwaczne baśni,
Eddy północnej zakłęcia,
Runiczne słowa, baśń o olbrzymach,
Co budzi strach niemowłęcia...
A wśród tych szeptów, białe, jak widma,
Powiewne siostrzyce morza
Pędzą gromadnie, wzlatując chyżo
Po nad faliste przestworza...

A po bezludnem, morskiem wybrzeżu,
Podmuchaem fal zwilgoconem,
Kraży nieznany jakiś młodzieniec,
Z sercem niezwykle wzburzonem...
Gdzie tylko stąpnie—krzeszą się iskry,
I muszle skrzypią zmiażdżone,
On szybko stąpa wśród chmurnej nocy,
Tuląc się w ciepłą oponę...
W dali—światełko w rybackiej chacie
Błyszczy, migoce i znika,
Młodzian tam dąży—wiedziony światłem
Tajemniczego płomyka...

Na morzu—ojciec i brat zostali...
A w chacie—córka samotna,
Przecudne dziewczę samo zostało,
Rybacka córka zalotna...
Wpatrzona w jasny płomień ogniska,
Wysłuchana w kociołka szумы...
Na jej obliczu płomień odbłyska,
Na czole—promyk zadumy...
Z jej odsłoniętej, szarej koszuli,
Widnieją śnieżne ramiona—

Ona swe piersi oburącz tuli,
Jak łania krzykiem spłoszona...
Słysząc stąpanie, trzeszczą drzwi chaty,
I, jak na magów zaklęcia
Zjawia się młodzian i wzrok zatapia
W uroczym wzroku dziewczęcia...
Dziewczę jak lilja drży bojaźliwie,
Na piersi chyli się głowa...
Młodzian namiętnie płaszcz swój odrzuca
I w te odzywa się słowa:

„Widzisz, dziecino, jestem ci wiernym,
Przybywam do cię w tej chwili,
Jak ci bogowie, co w dawnych czasach
Do cór człowieczych schodzili...
Schodzili do nich, by im w nagrodę
Służyła cenna zapłata,
By z nich początek brał ród królewski,
Ród bohaterów wszechświata...
Lecz nie myśl, dziecię, o mej boskości,
I nie trwaj w próżnym oporze,
Daj mi herbaty z mocnym arakiem,
Bo zimno, wietrzno na dworze,
Przy takim zimnie i my marzniemy,
My, dzieci cudu i czaru...
Często dostajem boskiego kaszlu
I wieczystego kataru...“

VI.

O ŚWIADCZYNY.

Już nadszedł wieczór... Zwartym szeregiem
Fale płynęły wciąż w dal...
Jam się przyglądał nad morskim brzegiem
Pienistym podskokom fal...

I, w wrzących uczuć rozpędzie,
Piers mą wypełnia tęsknota,
Za tobą, mój skarbie cenny...
Twój obraz sercem mem miota,
Smutek w niem rodząc bezdenny...
I towarzyszy mu wszędzie,
W fal szumie, w myśli natchnieniach,
I w rzewnych duszy westchnieniach...

Po piasku lekką kreślę wiciną :
„Ja kocham ciebie dziewczyno!“
Lecz przebiegł potok fal błądy
Po słodkiem duszy wyznaniu...
I w swem pienistem konaniu
Zatarł wyrazów tych ślady...

Wiotka wicino! Piasku powiewny!
Ulotna falo! Nie wierzę wam!
Ciemnieje niebo. Zrywam się gniewny,
Wyciągam silne me dłonie
Ku borów norweskich stronie,
Wyrywam jodłę i w Etny krater
Zanurzam ją...
I nad oponą chmur siną —
Ogniste kreślę wyrazy:
„Ja kocham ciebie, dziewczyno!“

Odtąd, gdy świeci toń szafirowa
Ogniste widać tam słowa,
Które, przez wieki nie zginą:
„Ja kocham ciebie, dziewczyno!“

VII.

P Y T A N I A.

Nad brzegiem morza, w skał zimnych cieniu,
 Młodzian oblicze przysłania...
 Z piersią wezbraną, z myślą w zwątpieniu,
 Zadaje falom pytania...

Pieniste fale! Wy, dzieci morza!
 Ulżyjcie duszy mej męce,
 Wyrwijcie myśl mą z zwątpień bezdroża
 Zbudźcie marzenia dziecięce...

Dajcie odpowiedź pytaniom moim,
 Starym — jak wieczność bez końca.
 W które swe myśli rozpaczne zbroim,
 By wzlecić do prawdy słońca...

Czemżeż jest człowiek? Czem jego życie?
 Zkąd przyszedł na świat? Gdzie dąży?
 Kto ma mieszkanie w nieba błękicie?
 Dla czego wszechświat tak krąży?

I szumią fale i wicher wieje
 I zastęp chmur w dal ucieka...
 Śmieją się gwiazdy, księżyc się śmieje,
 A głupiec czeka, i — czeka...

VIII.

R O Z B I T E K.

Nadzieja, miłość! Wszystko stracone...
 Ja sam, jak widmo, z piekieł otchłani,
 Podmuchałem fal wyrzucone,
 Leżę u morskiej przystani,

Przystani głuchej, z kamienia...
Przedemną — morza widok ponury,
A za mną — łzy i cierpienia...
Nad głową wloką się chmury,
Szarawych obsłon siostrzyce,
Co ciągną wodę bez końca,
Jak mgławych widm pokutnice,
Z ciemności — znowu do słońca...
Czynność bezbarwna, jałowa.
Jak istność ma — bezcelowa!

Mącą już mewy wód morskich pianę,
Budzi się życie w tej strasznej głuszy...
Zgasłe obrazy, sny zapomniane,
I w mojej budzą się duszy...

Tam, na północy, żyje dziewica,
Cudowna, królewska dziewa...
Światłością płoną jej cudne lica,
Blask szaty ciało oblewa...
Nad jej łabędzią, śnieżystą szyją,
Pukle jak sploty węzowe,
Łagodnie w koło płaczą się, wiją,
Królewską zdobiąc jej głowę,

I jasne czoło dziewicze...
Z pod tego czoła — światłości gońce
Kraszają jej białe oblicze,
Jak — czarne słońce!

O, czarne słońca! Ileż to razy
Promieni waszych ogniste błyski,
Budziły natchnień moich wyrazy?
A jam stał mileząc, omdlenia bliski...

I usta twoje szeptały słowa,
Słowa srebrzyste, jak blask księżycy,
Jak przenajczystsza gwiazda jutrzniowa,
Kiedy rozjaśnia wód modre lica —

I dusza moja — po nad gór szczyty
 Rwała się z pieśnią, w słońce, w błękity!
 Zmilknijcie mewy i morskie fale!
 Wszystko stracone! Miłość, nadzieja!..
 Zostałem nędznym, drżącym, samotnym,
 I, jak rozbitek na głuchej skale,
 Głowę, nad którą huczy zawieja,
 Tarzam po piasku wilgotnym!

IX.

P O S E J D O N.

przekład

Adama Sajgerta.

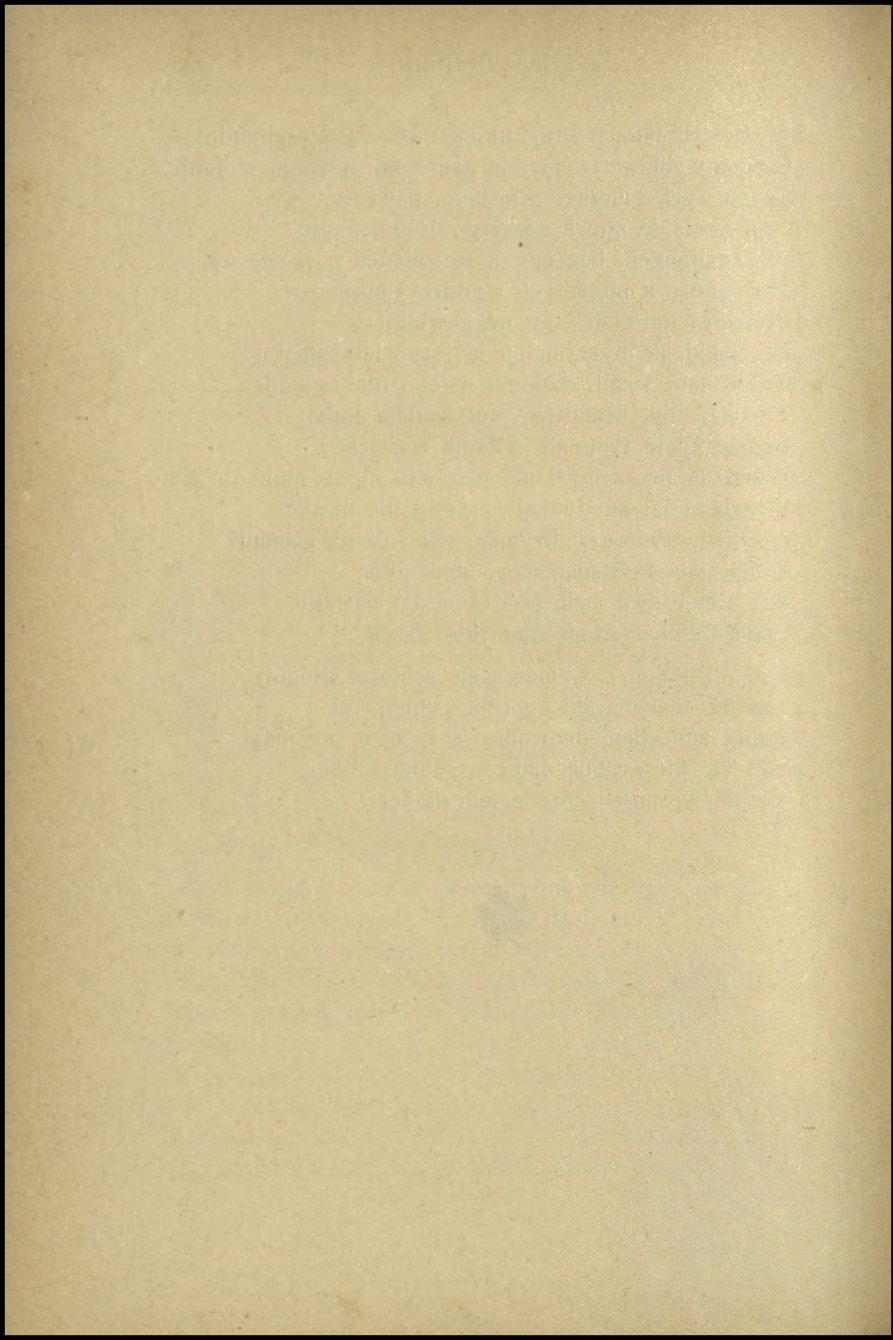
Słońce blaskiem igrało po szumiącej fali,
 W porcie okręt żaglami połyskał z oddali,
 Który mnie do ojczyzny miał w szybkim nieść biegu;
 Ja, samotny, spokojnie siedziałem na brzegu,
 Czekaając nim pomyślny wiatr w żagle powieje,
 I tymczasem czytałem sobie Odyseję,
 Tę pieśń starą, a wiecznie młodą. Z kart jej — szumnie
 Grało morze, i bogów technienie wiało ku mnie,
 I ludzkości się jasna uśmiechała wiosna,
 I nieb błękit i ziemia Hellady radosna.

Moje serce szlachetne towarzyszy wiernie
 Synowi Laertesza przez wędrowek ciernie,
 I w utrapieniu duszy usiada z nim społem
 Przy gościnnem ognisku, za biesiadnym stołem,
 Kędy przędą królewne purpurowe tkanki,
 I pomaga mu kłamać, i z nimfy kochanki
 Objęć uciec szczęśliwie, i z jaskiń olbrzymów,
 Idzie w noc kimeryjską czarnych pełną dymów,
 I rozbicie okrętu, wichry burz gwałtowne,
 I wszelkie z nim ponosi nędze niewysłowne.

I z westchnieniem krzyknąłem: „O zły Posejdonie!
„Straszny gniew twój! i ja sam czuję trwogę w łonie,
„Co się tyczy mojego własnego powrotu.“
A zaledwie te słowa rzekłem, wśród łoskotu
Fal szumiących, bóg morza we wieńcu z szuwarów
Siwą głowę z pianistych wynurzył obszarów,
I te słowa mi rzucił ku urągowisku:
„Nie lękaj się bynajmniej, mój ty wierszopisku!
„Gniew mój wcale czółenka twego nie uszkodzi,
„Ni fala, zbyt drażliwem kołysaniem łodzi,
„Będzie życiu twojemu miłemu zagrażać;
„Wszak ci przez myśl nie przyszło nigdy mnie obrażać,
„Wszakżeś mi ani jednej cegiełki nie zwalił
„Z świętej twierdzy Pryama, włoskaś nie osmalił
„W Kiklopa Polifema, mego syna oku,
„Ani ciebie swą radą wśród zdarzeń natłoku,
„Strzeże Pallas-Atene, mądrości bogini.“

Rzekł Posejdon, i w morza się schował głębinę.
A na ten marynarski koncept grubiański
Huknął śmiechem podwodny cały chór pogański,
Amfitryte niezgrabna, baba z rybim zadem,
I głupie Nereusza córy całym stadem.



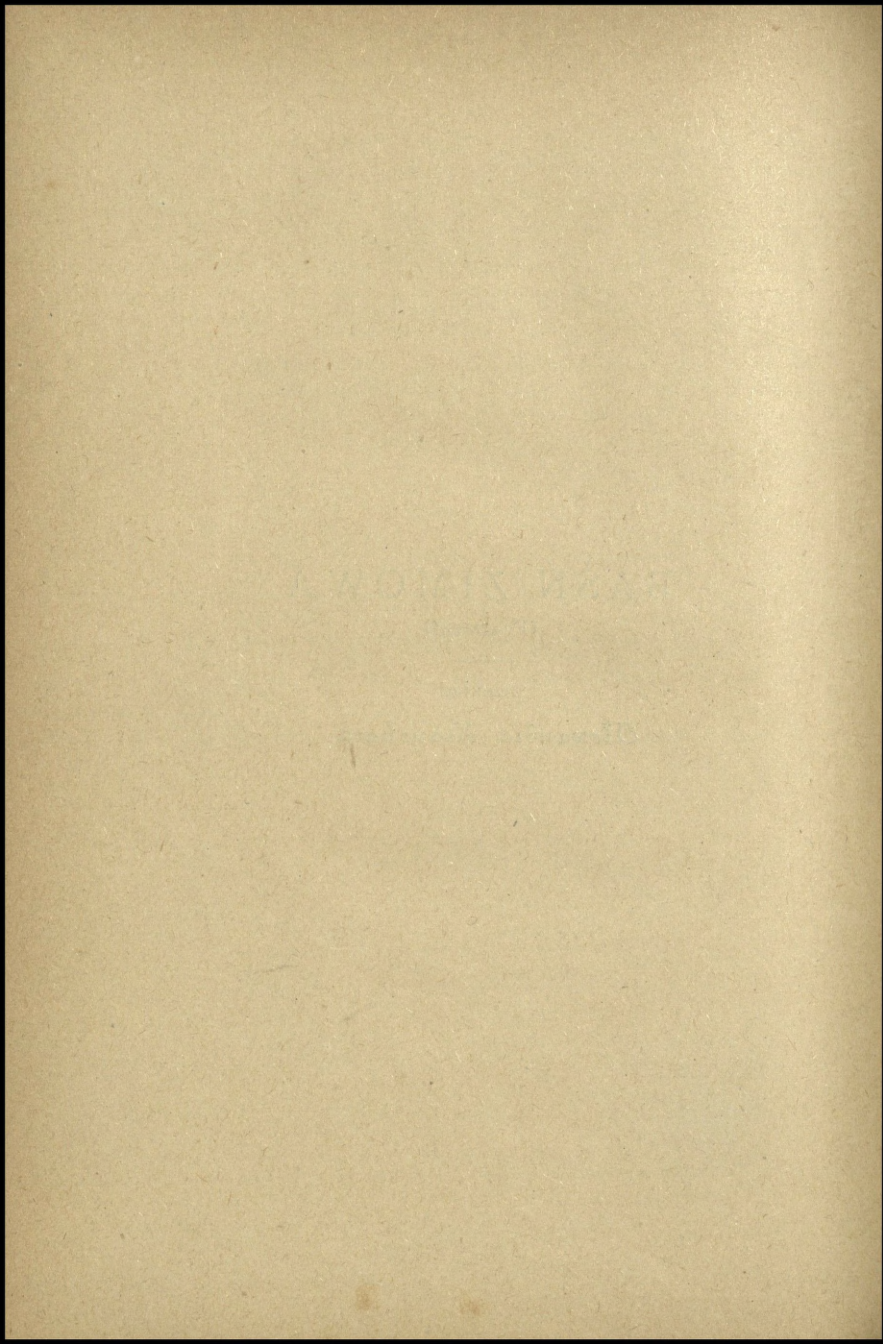


BAŚŃ ZIMOWA

(Fragment)

przekład

Alexandra Kraushara.





I.

B było to w smutnych dniach listopada.
Słońce krył obłok mgły szarej;
Wicher z gałęzi drzew zwiewał liście,
Gdym w Niemiec wjechał obszary.

A kiedym stanął już nad granicą,
Czułem, że słabną mi siły,
Serce mi silniej w piersiach zabiło,
I lzy się w oczach sperliły...

Na pierwsze dźwięki niemieckiej mowy
Dech piersią wciągnąłem całą,
Doznałem wrażeń—jakby me serce
Przyjemnie krwią się oblało...

Mała harfistka piosnkę nuciła,
Płaczliwe zawodząc tony,
Fałszywe nieco — ale jej pieśnią
Do głębi byłem wzruszony...

Była to piosnka o serca mękach,
O krwawych łzach poświęcenia,
Tam, nad padolem cierpień i płaczu,
Gdzie nikną wszelkie cierpienia.

Nuciła piosnkę o tym padole —
Co snuje szczęścia mamidła,
O życiu przyszłym, dokąd wiecześnie
Człowiecze szybują skrzydła...

Śpiewała rzewnie pieśni pokorne,
Niebiańską eja popeję,
Którą zazwyczaj lud usypiają,
Gdy chcą w nim stłumić—nadzieję...

Ach! Znam się nieco na pieśni tekście
I na jej znam się metodzie...
Wiem, że sekretnie spija się wino,
A głośno prawi — o wodzie...

Nową piosenkę, piosenkę lepszą,
Chcę wam zanucić, druhowie!
Niech moja muza o ziemskim szczęściu
Wesołą strofkę opowie...

Nam, tu, na ziemi, szczęścia potrzeba,
Cierpieć nie mamy już siły,
Niech brzuch leniwy tego nie trwoni —
Co pilne ręce stworzyły...

Na ziemi naszej dosyć jest chleba,
Dla wszystkich starczy go ludzi,
A oprócz chleba — kwitną tu róże,
Których wdzięk — zachwył w nas budzi...

Niech tam, na niebie, marzą i gwarzą,
Niech sobie tęsknią do nieba,
Zostawmy niebo — niebian aniołom,
Nam ziemskich uciech potrzeba!

A gdy po śmierci wzrosną nam skrzydła,
Fruniemy do niebian miasta,
Tymczasem tutaj chrupać będziemy
Niebiańskie wesela ciasta...

Nowa piosenka, piosenka lepsza,
Śpiewnemi niech zabrzmi tony!
Ton miserere niechaj zamilknie,
Niech zmilkną żałobne dzwony...

Panna Europa święci swe śluby
Z wolności pięknym aniołem,
Rozkoszny całus łączy ich usta
I dusze łączy ich społem...

Braknie im wprawdzie kapłańskiej stuły,
Lecz to ich związku nie gmatwa...
Niechaj nam żyje dobrana para!
Niech żyje przyszła jej dziatwa!

Tonem weselnym pieśń ma rozbrzmiewa,
Hymn szczęścia ją opromienia,
I w mojej duszy wschodzą już gwiazdy,
Gwiazdy wyższego święcenia...

Gwiazdy natchnione, iskrzą się dziko,
Zlewają w akord miłosny,
Czuję się silnym, że mógłbym łamać
Stuletnie dęby i sosny...

Z chwilą, gdym wstąpił na swojską ziemię,
Wszystkie me czucia odżyły,
Jestem olbrzymem—co z swej macierzy
Do życia zaczerpnął siły!

II.

.

III.

Zwłoki Karola — tum akwizgrański
Przed wielkim kryją ołtarzem,
Lecz Karol Wielki — niema łączności
Z Karolem Majer — pisarzem...

Rzecz to zaszczytna — być pochowanym
Jak cesarz, w przepysznym tumie,
Co do mnie — wolę żyć nad Nekarem,
W skromnych poetów żyć tłumie...

Nudzą się strasznie psy Akwizgranu,
I proszą się na wyrzywki:
„Nastąp nam nieco, panie, na łapy,
Dla własnej naszej rozrywki...”

W tej nudnej budzie byłem z godzinę,
O czym aż pisać nie miło,
Widziałem znowu żołdactwo pruskie,
Mało się w niem co zmieniło...

Zawsze też same płaszcze szarawe,
Czerwone kołnierzy łaty,
„Krew to francuzką ta barwa znaczy...”
Tak śpiewał Koerner — przed laty...

Zawsze też same sztywne figury,
Pedantów wstrętne hołota,
Z każdego kroku i z każdej twarzy
Zamarzła sterczy głupota...

Widać ich wszędzie kroczących dumnie,
Z tą miną sztywno — drewnianą,
Jakby połknęli kij historyczny,
Którym ich plecy chłostano...

Kańczug nie zniknął jeszcze z szeregów,
Nie znikła poddańcza mina,

A „ty“ dzisiejsze, w poufnym stylu,
Dawniejsze „on“ przypomina...

Wąs zawieszony na każdej twarzy,
Z peruki dzieli się losem...
Warkocz, co dawniej dyndał się z tyłu—
Pod każdym dynda dziś nosem...

Przypadł mi nowy mundur do gustu,
Którym rajtary się szczycą...
Pyszną się zwłaszcza hełmem wspaniałym,
Stalową kasku haubicą...

Ów wiek rycerstwa, tak romantyczny,
Z tradycyj naszych nie znika:
Czasy Joanny de Montfaucon
Fouqué, Uhlanda i Tiecka...

Wspomnienie średnich, rycerskich wieków,
Budzi się w nas bez wysiłku...
Gdy giermek nosił wierność w swem sercu,
A herb szlachecki — na t....

W myśli powstają wojny krzyżowe,
Czas, gdy się wszystko korzyło...
Niedrukowana epoka wiary,
Gdy gazet jeszcze nie było...

Tak! Hełm mi pruski przypadł do gustu,
Jest w nim idea zgryźliwa,
Bo tej idei, iście królewskiej,
Point'y nawet nie zbywa...

Boję się tylko, że w czasie burzy,
Żarcik to będzie niewczesny;
Łatwo na hełmy tak romantyczne
Grom może spaść nowoczesny...

Tak ciężki przybór ładnym jest wprawdzie,
Na świetnej jakiej paradzie,

Lecz łatwo może w czasie wojennym
Zacieżyć wam w rejteradzie...

Na szyldzie poczty — znanego ptaka,
Wstrętnego ptaka ujrzałem...

Patrzył z ukosa. Ja go nie cierpię,
Nie cierpię duszą i ciałem!

Szkaradny ptaku! Jeżeli kiedy
Znienacka wpadniesz mi w ręce,
Wyrwę ci pierze, stępię pazury,
I łeb ohydny ukręcę!

IV.

Do wrót Kolonii późnym wieczorem
Przybyłem. Swojskie powietrze
Istność mą dziwnym owiało czarem.
Czułem, że płuca mam lepsze...

Żywszym apetyt. Więc jajecznicę
Spożyłem, wielce soloną,
Gasząc pragnienie, silne nadmiernie.
Szklanicą wina zieloną.

Nektar nasz reński lśni jako złoto,
Napój to smaczny i zdrowy,
Lecz gdy zbyt chętnie chcesz się nim raczyć—
Wnet ci uderza do głowy...

Powstaje wówczas chaos w twych myślach,
A w oczach lśnią błyskawice...
Szukając ulgi—wybiegłem nocą
W puste Kolonii ulice...

Kamienne domy na mnie patrzyły,
Z wyrazem niemój boleści,
Jak gdyby chciały z zamierzchłych czasów
Wskrzesić ciekawe powieści...

Tu miała miejsce za średnich wieków
Pobożna bigotów scena...
Dunkelmännery głosili hasła
Znane z opisu Huttena...

Tutaj—kankana tańcząc mnichowie
Modlili się w niebogłoty,
Tutaj Hochstraten (Menzel-koloński)
Pisał zjadliwe „donosy“.

Tu płomień stosu żrąc ludzi, książki,
Krwawił jutrzenkę różaną,
Tymczasem bito w spiżowe dzwony,
Kirie Elejson śpiewano...

Złość i głupota swe harce sprośne
Sprawiały po dniach i nocach,
Skutki tych harców poznasz dziś jeszcze,
Po kazirodczych owocach...

Czy widzisz w dali olbrzymią postać,
W srebrzystym blasku księżycy?
Szatańsko-czarno pnie się w niebiosa
Znana kolońska wieżyca...

Miała być ona Bastylią myśli,
Plan obmyślono jej zdradnie,
Sądzone bowiem, że w jej piwnicach
Rozum niemiecki przypadnie...

Wówczas się Luter zjawił na scenie,
I wyrzekł stanowcze słowo:
A na to hasło—wnet się wstrzymano
Z dalszą wieżycy budową...

Tum nieskończony. Cieszę się wielce
Z takiej w robocie mitręgi...
Jest ona próbką niemieckiej siły
I protestanckiej potęgi...

Wy, głupie osły kolońskiej wieży!
 Słabemi chcecie siłami
 Podźwignąć znowu przerwana pracę?
 Niech was ułuda nie mami...

Płonne zabiegi! Wasze zachody:
 By fundusz zebrać jałmużną,
 Zebrać go wpośród pogan i żydów,
 Nic nie pomogą! Napróžno!

Napróżno palce Franciszka Liszta
 Akordy biorą najszersze,
 Nic nie zbierzecie! Choć król-poeta
 Gwoli wam składa swe wiersze...

Kolońskiej wieży nie zbudujecie,
 Choć wam szwabowie zgnębieni
 Okręt pokaźny przysłali w darze,
 Z ciężkim balastem — kamieni...

Nie będzie tumu, pomimo wrzawy
 I fantastycznych okrzyków,
 Pomimo jęków nad niemców dolą,
 Wszelakich sów i puszczyków...

 V.

Szeregiem domów, chmurnych, zgrzybiałych,
 Do mostu wiedzie ulica.
 Tam Ren ujrzałem, Ren zielonawy,
 Wsrebrzystym blasku księżycy...

Bądź mi pozdrowion, rzek naszych ojcze!
 Miłym mi czar twojej fali,
 Często o tobie myślałem starcze,
 Tęskniąc za tobą z oddali...

I gdym to wyrzekł, ozwał się nagle
 Głos jakiś z głębi, płaczliwy,

Głos ten przerywał w małych przestankach
Kaszel starości sędziwej...

„Witaj młodzieńcze, cieszy mnie wielce
To nagłe z tobą spotkanie,
Dawne to czasy, gdym widział ciebie,
Dość długiem było rozstanie...

„Połknąłem głązy, tam, pod Biebrichem,
I to mi bardzo doskwiera,
Lecz srożej jeszcze ciążą w żołądku
Wiersze—głupiego Beckera...

„Wiersze te święcą mą nietykalność,
Jak gdybym nie zszedł z czei toru,
Jak dziewczęę jakie, co to płci swojej
I swego broni honoru...

„Z wrażeń tej głupiej, dziecinnej pieśni,
Zaledwie mogę ochłonać,
A gdy ją słyszę — rwę włosy z brody,
Sam w sobie radbym utonać...

„Toż to francuzi śmieją się głośno
Z dziewictwa méj reńskiej fali!
Nieraz już oni nurty tej rzeki
Z nurtami wód swych miesza...

„Głupia piosenka i pieśniarz głupi!
Toż to urządził mnie ślicznie!
Przyznam się nawet, że swoją pieśnią,
Naraził mnie, politycznie!

„Gdyż jeśli znowu wrócą francuzi,
Spotkają mnie z miną drwiącą,
Mnie, com o powrót gallów do kraju
Modlił się nieraz gorąco!

„Wszak jam tak zawsze kochał serdecznie
Ród francuzików maleńki,

Czy jeszcze płąsa, śpiewa jak dawniej?
Czyż nosi białe spodeńki?

„Radbym go znowu tutaj powitać,
Powitać wodzów téj nacyi,
Boję się tylko — Beckera pieśni
I boję—kompromitacyi!

„Alfred de Musset przyjść tutaj może,
Z żołdactwem biednem i bosem,
I mnie, jak dobosz, wybębnić może
Swój wiersz zjadliwy pod nosem...”

„Tak Ren wyrzekał, a słowa jego
Jak lzy żałości mu lecą,
Więc wyszeptalem słowa pociechy,
By żalu ulżyć mu nieco...

„Porzuć obawę, stary mój Renie,
Płyn sobie dalej swobodnie,
Niema już teraz dawnych francuzów,
Inne przywdzieli już spodnie...

„Spodnie czerwone, na miejsce białych,
I guzów rząd metalowy,
Już tak nie skaczą, już nie śpiewają,
Pośępnie chylą już głowy...

„Teorye Kanta, Hegla, Fichtego,
Zajęły myśli ich płocze;
Pałą już fajki, spijają piwo
I w kręgle bawią się trochę...

„Są filistrami, jak my, germanie,
Nie dbają już o bitw gloryę,
Szydzą z Woltera — lubią natomiast
Hengstenbergera teoryę...

„Co prawda, pieśniarz, Alfred de Musset,
To jeszcze łobuz rycerski,

Lecz bądź spokojnym, my okiełznamy
Język poety szyderski...

„Gdyby cię znowu pragnął ugodzić
Rymów wojennych swych strzałą;
My wygłosimy przed całym światem,
Co go u kobiet spotkało...

„Bądź więc spokojnym, daj pokój starcze,
Wierszy Musseta pobudce...
Żegnaj mi Renie! Płyn sobie dalej,
Do zobaczenia się — wkrótce!“

VI.

Za Paganinim chodził tajemnie
Duch, (spiritus familiaris).
To—w psa postaci, to—jakby zmarły
Nieboszczyk, jegomość Harris.

Czerwone widmo śnił Napoleon,
Gdy ruszał w pochód dziejowy,
Sokrates widział swego demona...
Twór był to jego myślowy...

I ja, gdym nieraz przy mojem biurku
Bawił się grą piśmienniczą,
Widziałem gościa, z maską na twarzy,
Co za mną stał tajemniczo...

Płaszczem okryty, trzymał coś w ręku,
Co lśniło dziwnie wieczorem,
To coś tajemne, miało kształt noża,
Katowskim było toporem...

Gość przysadzisty miał straszne oczy,
Oczy, blask których pali...
Nigdy mi w niczem gość nie przeszkadzał,
Lecz stał spokojnie w oddali...

Dawno już temu te dziwne oczy
Jak gwiazdy mi nie migocą,
Gdy nagle, tutaj, znów zajaśniały,
W posępnej Kolonii, nocą...

Błądziłem milcząc, po ulic skrętach,
I dręczył mnie myśli nawał,
Gość chodził za mną, jakby cień jaki,
Kiedym przystawał, on stawał...

Stawał i czekał, to znów podchodził,
Zaczajał się na uboczu,
I tak dość długo szliśmy przy sobie,
Nie opuszczając się z oczu...

Chciałem to widmo zbić nieco z tropu,
Lecz wszystko było daremnie...
Więc zapytałem: „Czegoż mnie nękaś?
Czego pożądasz odemnie?

„Widzę cię zawsze, gdy myśl dziejowa
Tryska z mózgowój trybuny,
Gdy w sercu mojem, w istności mojej,
Myślowe palą się łuny...

„Patrzysz się na mnie wciąż przenikliwie,
Mów! Czego ręce twe strzegą?
Co chowasz ciągle pod płaszczem swoim?
Kim jesteś? Czego chcesz, czego?“

Lecz nieznajomy odrzekł mi sucho,
Ciągnąc swój głos flegmatycznie:
„Proszę cię tylko—bez egzorcyzmów,
Nie pytaj tak emfaticznie.“

„Nie jestem widmem zgniłej przeszłości,
Z grobowych wylęgłem torów,
Nie lubię pustych słów filozofów,
Nie znoszę mowy retorów.“

„Jestem praktycznym w każdym działaniu,
A gdy twój duch myśleć pocznie,
Ja—myśl twą zaraz oblekam w ciało,
W czyn ją zamieniam bezwłocznie.“

„Dni i godziny nieraz przechodzą,
Ja pracy swej nie przerywam...
Urzeczywistniam pomysły twoje,
Ty myślisz, ja — wykonywam.“

„Ty jesteś sędzią, ja zaś — pachołkiem,
Posłusznym w swoim urzędzie,
Spełniam wyroki, jakie ferujesz,
Choćby oparte na błędzie...“

„Pochód konsula topór poprzedzał,
W Rzymie okrytym żałobą;
I ty masz we mnie swego liktora,
Tylko miecz noszę — za tobą...“

„Liktorem twoim jestem, pieśniarzu,
Posłusznym misyi swój synem,
Noszę za tobą topór katowski,
Ja jestem—myśli twych—czy n e m...“

VII.

Sen mnie spokojny na mojem łóżku
W nadziemskie uniósł dziedziny;
Śpi się tak cudnie w łózkach niemieckich,
Choćby to były — pierzyny...

Ileż to razy do owych łózek,
Sercowe biegły me drgania!
Kiedym na twardem leżał pościaniu,
W bezsennych nocach wygnania!

Śpi się rozkosznie w niemieckiem łożu,
Skrzydłami mar kołysany,

Tu, dusza Niemca czuje się silną,
Porzuca ziemskie kajdany...

Czuje się wolną, bujając ręce
Po niebios jasnych przestrzeniach;
O, duszo Niemca, jak chyżym lot twój
W rozkosznych nocy marzeniach!

Bledną bogowie, gdy wlatasz do nich,
Z materyi zwolniona sideł,
Niejedną gwiazdę już zapaliłaś,
Dotknięciem anielskich skrzydeł!

Francuz, Rosyanin, ma ład na własność,
Anglik—mórz otchłań pokorną,
My tylko jedni—w przestworzach marzeń
Potęgę mamy bezsporną...

Tutaj królestwo mamy rozległe,
Szczyt naszej władzy podniosłej,
Inne narody, nie pnąc się w górę,
W płaskiej się ziemi rozrosły...

A kiedyś zasnął—to śniłem znowu,
Że o wieczornym znów chłodzie,
W blasku księżyca, błędzę bez celu,
Po starym, kolońskim grodzie...

A za mną znowu stał gość tajemny,
I patrzył na mnie z oddali,
Byłem zmęczonym, bez sił, bez woli,
Lecz szliśmy dalej, a dalej...

Szliśmy bez celu i w sercu mojem
Gasły uczucia zapaly,
Tylko z ran serca—krwi mej serdecznej
Czerwone krople ściekały...

Jam palce moje do nich przykładam,
Może to było złudzeniem,

Lecz mi się zdało, żem oddrzwia domów
Naznaczał krwi téj znamieniem...

I każdym razem, gdym wrota domów
Naznaczał takim sposobem —
Dzwonek umarłych słyszałem zdala,
Jak cicho jęczał nad grobem...

Na niebie księżyc mgła kryje czarna,
W pośród zmartwiałej natury,
A trop w trop za nim, jak tabun koni,
Nieokiełznane mkną chmury...

I trop w trop za mną szedł nieznajomy,
Z ukrytym w płaszczu toporem,
Mileząc i patrząc na siebie zdala
Jednym biegliśmy wciąż torem...

Przed nami widniał znów tum koloński,
Cisza i głusza dokoła,
Weszliśmy razem, milczący, smutni,
W otwarte wrota kościoła...

Tam panowały jak na cmentarzu
I śmierć i noc i milczenie,
Tylko dzieńgdzie pod nawy stropem
Gorzały ampuł płomienie...

Przed nami miejsce, gdzie, wśród ciemności,
Słabym promykiem drga świeca,
Była to lśniąca iskier tysiącem
Znana trzech króli kaplica...

Dziwna! królowie, co spoczywali
Cicho, w mogilnej swej celi,
Teraz, jak żywi, powstawszy z grobów
Na sarkofagach siedzieli...

Trzy kościotrupy, dziwnie przybrane,
Každy w złocistej koronie,

Siedziały dumnie, z berłami w dłoni,
Jak żywi władcy na tronie...

I jak koboldy w górskiej jaskini
Trupią ruszały wciąż dłonią,
Bił od nich zapach mogił, zgnilizny,
Zmieszany z kadzideł wonią...

Jeden poruszał nawet ustami,
Kośćmi cmentarnej swej zbroi,
Chciał mi tłumaczyć, dla czego żąda
Wiernopoddańczej czci mojej...

Najprzód, dlatego, że jest umarłym,
Że, dalej, królewską chwałą
Jaśniał za życia... że świętym został...
Wszystko to mnie nie wzruszało...

„Próżne—odrzekłem—twoje zachęty
Daremne słów twych potoki,
Widzę, że w każdej należysz mierze
Do przeszłych czasów epoki...

„Precz! Precz ztąd! Wiedźcie, że domem waszym—
Jama cmentarnej kostnicy,
Tu, życie bierze w swe posiadanie
Skarby téj waszój kaplicy...

„Jazda przyszłości wkroczyć tu musi,
Rycerską ujawnić cnotę,
Gdy dobrowolnie ztąd nie pójdziecie—
Kolbami ztąd was wymiotę!”

Kiedym to wyrzekł, wszczał się zgiełk jakiś
I wicher strasznie zaszumiał,
Ujrzałem błyski topora gościa,
On moją mowę zrozumiał...

Zbliżył się nagle, podniósł swój topór,
Spuścił z rozmachem ukośnie,

I w szczęty rozbił szkielet przesądów,
Zdruzgotał go bezlitośnie...

Wstrząsł się tum cały pod owym ciosem,
Powietrzem napełnił zgniłem...
Krew z mego serca trysła strumieniem,
A ja—ze snu się zbudziłem...

.



The history of the
 world is a long and
 interesting story
 which has been
 written by many
 authors. It is a
 record of the
 events which have
 taken place in
 the world from
 the beginning of
 time to the
 present day.



Z MELODYJ HEBRAJSKICH

przekład

Maryi Konopnickiej.

Nie kwituj życia z rozkoszy działu,
Gdy je masz jedno.

A jeśliś pewny swojego strzału,
Wal w samo sedno.

Za czub chwyć szczęście, i nim przemienie,
Dzierż należycie.

I to ci radzę: staw chatkę swą w dolinie,
A nie na szczycie.

2 MELÓDYJ HEBRÁJSKICH

1882

Сибирь: Новосибирск.

Эта книга есть перевод с
оригинала, изданного в
А. Сибиряковской типографии.
В ней не только
на дано описание, но и
Древней истории.
I то издание, как видно из
А. Сибиряковской



I.

KSIĘŻNA SABATH.



czarodziejskich baśniach Wschodu
Są zakłęci królewicze,
Co pierwotną swoją postać
Odzyskują w pewnych dobach.

Wtedy potwór ów kudłaty
Znów się pięknym księciem staje,
I bogaty strój przywdziewa,
I na flecie gra miłośnie.

Ale chwila wyzwolenia
Z pod uroku — szybko mija,
A królewska Jego Miłość
Znów przemienia się w straszdyło.

Księcia, co ma los tak smutny,
Śpiewa moja pieśń. On zwie się—
Izrael. Złych czarów słowo
W psa go niegdyś zamieniło.

Psem on, i z psią myślą w głowie
Tarza się przez tydzień cały
W błocie i śmietniku życia,
Pod szyderczych żaków świstem.

Lecz w piątkowy wieczór każdy,
O tajemnej zmierzchu chwili,
Pryska nagle czar, i pies ów
Ludzką staje się istotą.

I jak człowiek z ludzką duszą,
Z podniesionem sercem, czołem,
Czysto odzian i świątecznie
Na ojcowski dworzec wchodzi.

„Bądź pozdrowion domu miły,
Królewskiego ojca mego!
O, namiocie Jakóbowy,
Na twym progu usta składam!“

A wskroś gmachu tajemniczo
Idą szmery i szelesty,
A gospodarz niewidzialny
W tej cichości grozą dyszy.

Cisza... Tylko Seneszal,
(Vulgo sługa synagogi)
W dół i w górę śpieszno skacze,
By zapalić na czas lampy.

O, radosne światła złote,
Jakże błyszczą, jakże płoną!
Podlatują świec płomyki
Na świeczniku siedmiorogim.

Tam, przed arką, kędy Thora
Zachowana i zakryta,
W drogich opon jedwab mięki,
Klejnotami zewsząd lśniący,

U pulpitu swego stoi,
Na wzniesieniu, śpiewak gminy,
Strojny człeczek, co go czarny
Płaszczyk pięknie obramienia.

By ukazać białą rękę,
Raz wraz mota coś u szyi,
Jednym palcem trze powieki,
Drugim palcem krtań przyciska.

Zrazu puszcza ciche tryle,
Aż radośnie, tryumfalnie
Głos podniesie i zaśpiewa:

„Lecho Daudi Likras Kalle!

„Lecho Daudi Likras Kalle! —
Przybądź, przybądź oblubieńcze!
Oto miła czeka ciebie,
By odsłonić twarz dziewczą!“

Tę precudną pieśń godową
Stworzył ów szeroko-sławny,
Wielki piewca ów miłości,
Don Jehuda ben Halevy.

W téj-to pieśni są sławione
Zaślubiny Izraela
Z dostojną księżniczką Sabath,
Którą zważ też Cichą księżną.

Perłą, kwieciem wszechpiękności
Księżna ta. Piękniejszą od niej
Nie była królowa Saba,
Przyjaciółka Salomona.

Ta sawantka Etyopii,
Co rozumem błyszczyć chciała,
Przez swe mądre zagadnienia
Na czas dłuższy była nudną.

Za to księżna Sabbath, która
Jest wcieleniem błogiej ciszy
I spokoju, nienawidzi
Rozpraw i utarczek słownych.

Również jest jej wstrętne owo
Koturnowo-namiętne
Pathos, co z rozwianym włosom
Wbiega głośno deklamująco.

Skromnie kryje cicha księżna
Warkocz swój pod czepiec biały,
Słodko patrzy jak gazella,
I jak smukła palma kwitnie.

I na wszystko najmiłszemu
Dziś zezwała — prócz tytoniu.
„Luby! palić ci nie wolno,
Bo to dzisiaj sabat jest!

„Ale za to przy obiedzie,
Zawonieje ci w nagrodę
Boska zaiste potrawa,
Dzisiaj będziesz czulent jadł.“

... „Czulent, piękna iskro boża,
Elizejskich krain córo...“
Takby dźwięczał hymn Szylera,
Gdyby Szylerski czulent jadł.“

Czulent jest potrawą niebian,
I sam Pan Bóg ją Mojżesza
Nauczył gotować niegdyś,
Na Synai, wielkiej górze,

Gdzie wszechmocą swą zarazem
Wszystkie prawa świętej wiary
I przykazań dziesięcioro,
Grzmiąc objawił i błyskając.

Czulent — prawdziwego Boga
Koszerna to jest ambrozja,
Rajski, błogi chleb rozkoszy!
A z tem jądłem porównana

Ambrozja fałszywych bogów
Dawnej Grecyi, które były
Niczem innem, jak dyablami,
Ledwo jest asafetydą.

Gdy czulentu podje ksiązę,
W oku błyszczy mu natchnienie,
I rozpina kamizelkę,
I z uśmiechem błogim rzecze:

„Czyż nie Jordan to tam szumi?...
Czyż to nie są jasne zdroje
W palm dolinie, w ziemi Beth-El,
Gdzie wielbłądy cicho leżą?“

„Czyż nie trzód to dzwonki słyszę?
Czyż to nie są tłuste skopce,
Które, z pastwisk, z gór Gilleath,
O zachodzie pasterz spędza?...“

Lecz ten piękny dzień przemija,
A na długich nogach widma
Śpiesznie idzie zła godzina
Czarów. Ksiązę biedny wzdycha.

Już, już zimne czarownicy
Palce serca mu dotknęły.
Już po skórze dreszcz mu chodzi
Blizkiej psiej metamorfozy.

I podaje księżna księciu
Swoję złotą puszkę z nardem:
Zwolna węża, chce raz jeszcze
Orzeźwić się tym zapachem.

I podaje cicha księżna
 Napój księciu pożegnalny:
 Chciwie pije, ledwo kilka
 Kropel w kubku pozostawia.

I wylewa na stół resztę,
 I woskową świeczkę chwyta,
 I w wilgoci płomyk macza,
 Aż zagaśnie z głośnym skwierkiem.

II.

JEHUDA BEN HALEVY.

Fragment.

1.

„Niechaj mi do podniebienia
 Język przywrze, niech mi prawa
 Ręka uschnie, jeśli ciebie,
 O Jeruzalem, zapomnę!“

Nieustannie myśl i sława
 Krążą dziś te w mojej głowie
 I zda mi się, słyszę głosy,
 Psalmujące, męzkie głosy.

Czasem także mi się jawią
 Brody ciemne, długie brody.
 O, wy, senne mary! Kto z was
 Jest Jehuda ben Halevy?

Szybko mkną i nikną szybko:
 Widma boją się niezmiernie
 Pustej żywych gadaniny —
 Ale go i tak rozpoznał.

Poznałem go po tem bladym
I myślami dumnym czole,
Po spojrzaniu nieruchomem,
Jego słodkich, smutnych oczu.

Lecz najbardziej go poznałem
Po uśmiechu zagadkowym
Ust tak pięknie zrymowanych,
Jak miewają je poeci...

Lata idą i przechodzą,
A od dnia, gdy się narodził
Ben Halevy, przeminęło
Lat siedemset i piędziesiąt.

W Toledo, w Kastylii mieście,
Pierwsze światło ujrzałienne,
A Tag złoty szumem swoim
Kołysanki jemu śpiewał.

By rozwinąć loty ducha,
Wcześniej czuwał mądry ojciec,
Gdyż nauka się zaczęła
Od Thory, tej księgi Boga...

Thorę on czytywał z synem
W jej pierwotnym, pięknym tekście,
W malowniczych hieroglifach
Starochaldejskiego pisma,

Które w swych kwadratach wstało
Z dziecięcego wieku świata,
I dlatego tak do dzieci
Ufnie, błogo się uśmiecha.

Ten to stary, prawy tekst
Śpiewywało owo chłopię,
Według dawnej, prostej sztuki
Śpiewu, która Tropp się zowie.

Niby gołąb młody gruchał
Pełną brzmień gardłowych krtanią
I wyciągał cienkie tryle,
Jak uczony szpaczek młody.

Także Targum Onkelos,
Księgę napisaną w owym
Plat-judejskim dyalekcie,
Który aramejskim zwiemy.

Ten — do mowy się proroków
Tak ma, jakby szwabski język
Do języka niemieckiego —
Tę parodyę hebrajszczyzny

Równie wcześniej pojawił chłopiec
A znajomość mu ta rychło
Ku pomocy się przydała,
Gdy studyować talmud zaczął.

Tak. Zawczasu już go ojciec
Do talmudu zaprzągnął księgi,
I otworzył wówczas przed nim
Halachę, tę wielką szkołę

Szermowania, gdzie najtężsi,
Dyalektyczni atleci
Babilonu, Pumpedity,
Swe bojowe igry wiedli.

Ale niebo zsyła ziemi
Dwa odmienne światła zdroje:
Żarem pała we dnie słońce,
A miesięczna jasność koi.

Tak i talmud też dwoiście
Świeci i ztąd podział jego
Na Hallachę i Hagadę.
Pierwszą nazwał szermierstw szkołą.

Ale drugą, lecz Hagadę,
Chciałbym nazwać tu ogrodem,
I to wielce fantastycznym,
Któryby porównać można

Z tym, co także się na gruncie
Babilonu niegdyś zrodził,
Z ogrodem Semiramidy,
Onym ósmym świata cudem.

Ta królowa Semiramis,
Którą z dziecka wychowały
Ptaki, już do końca życia
Coś ptasiego miała w sobie.

Nie lubiła wprost po ziemi
Tak jak my, zwierzęta ssące,
Chodzić i dlatego właśnie
W powietrzu swój ogród miała.

Tam to na olbrzymich słupach
Tkwiły palmy i cyprysy,
Pomarańcze, grządki kwiecica
I posągi i fontanny,

Wszystko mądrze powiązane
Przez wiszących mostów mnóstwo,
Na których, jak na powojach,
Ptaki z wiatrem się bujały.

Pstre, poważne, duże ptaki,
Zadumane myśliciele,
Co w pogardzie mają pieśni
I czyżyki trylujące.

Wszystko tam oddycha błogo,
Balsamiczną, czystą wonią,
Niezmieszaną z ziemi tchnieniem,
Z wyziewami trujących.

Takim to ogrodem właśnie
Napowietrznym — jest Hagada...

A gdy młody talmudzista
Serce pyłem miał przysute,

Kiedy ogłuchł już od klótni
Hallahy i od dysputy
Nad fatalnem owem jajem,
Które kura w sabat zniosła,

Lub nad inną jaką kwestyą
Równiej wagi — wtedy chłopiec,
By orzeźwić się, uciekał
Do Hagady rozkwiecionej.

Tam to stare owe baśnie
I legendy o aniołach,
Tam powieści męczeństw cichych,
Pieśni, i mądrości ziarna.

Hyperbole — śmieszne może,
Ale wiarą wielką silne,
I płonące jako ogień,
I jak źródł bijące z duszy.

A szlachetne serce chłopca,
Uniesione było dziką
Mocą ową i słodyczą,
I mąk wielkich dziwną żądzą,

I bajeczną ową grozą
Pełnego tajemnic świata,
I wielkiego objawienia,
Co poezją się nazywa.

Tam to, owa wielka sztuka,
Wiedza piękna, twórcza siła,
Którą zwiemy wieszczów kunsztem,
Objawiła się chłopięciu.

I Jehuda ben Halevy
Był nietylko biegłym w Piśmie,
Ale mistrzem był on słowa,
Ale wielkim był poetą.

Tak, poetą był i gwiazdą
I pochodnią swego czasu,
Swego ludu dniem i światłem,
Wielkim i ognistym słupem,

Gorejącym słupem pieśni,
Co, przed cierpień karawaną
Izraela szedł — i świecił
Na pustyni, na wygnaniu.

Czysta i niepokalana
Była jego pieśń i dusza,
Kiedy Stwórca ją utworzył
Duszę tę, wtedy w zachwycie
Pocałunek na niej złożył...
A dźwięk pocałunku tego
Drży w poety każdej pieśni,
Uświęcony łaską ową.

A jak w życiu, tak i w pieśni
Jest najwyższym darem łaska...
Kto ją posiadał, ten nie zgrzeszy
Ani wierszem, ani prozą.

Takiego my z bożej łaski
Poetą, geniuszem zwiemy.
Absolutnym on monarchą
W wielkiem państwie myśli jest.

Bogu tylko odpowiada,
Nie ludowi! A tak w sztuce,
Jak i w życiu, lud nas może
Zabić, ale nigdy sądzić.

.

2.

.....
 „Nad wodami Babilonu
 Siedzim płacząc.... Harfy nasze
 Na żałobnych wierzbach wiszą.“
 Czy pamiętasz pieśń te starą?

Czy tę starą pomnisz nutę,
 Co, tak elegicznie zrazu
 Szemrze, szumi, niby kociół,
 Kiedy kipi na ognisku.

Dawno już, od lat tysiąca
 Wre ten we mnie ból ukryty.
 A czas liże ranę moją,
 Jak pies wrzody Hiobowe.

Dzięki ci, psie, za twą ślinę!
 Lecz ta ból ochładza ledwie.
 Zleczyć mnie — śmierć tylko może.
 Lecz ach, jam jest nieśmiertelny!

Lata idą i przechodzą,
 W krosnach czasu cewka biega
 Tam i nazad pracowicie,
 Lecz co tka—tkacz żaden nie wie.

Lata idą i przechodzą,
 A łzy ludzkie kapią w ziemię,
 Płyną, sączą się, a ziemia
 Ssie je cicho i łakomie.

Wściekły wrzątek! Drży pokrywa!
 Chwała temu, czyja ręka
 Chwyci płód twój niedowrzały,
 I roztrąci go o skałę.

Dzięki Bogu! Wrzątek stygnie
 I paruje z kotła, który

Zwolna cichnie. Przeszedł splin mój,
Mój zachodnio-wschodni splin.

Ach, już rzy mój koń skrzydlaty,
Rzy znów rażno, jakby z siebie
Zrzucił jakąś nocną zmoreę,
A wzrok jego mądry pyta:

„Czy powrócim do Hiszpanii,
Do małego talmudysty,
Co się wielkim stał poetą,
Do Jehudy ben Halevy?“

Tak. On wielkim był poetą,
Sennych królestw samodzięrcą
I koronę duchów nosił,
Ten poeta z bożej łaski,

Który, w świętych sirwentosach,
Madrygałach i tercynach,
W kanzonetach i ghazellach
Płomień duszy swej wylewał,

Duszy z bożym pocałunkiem.
Zaprawdę, nie był on mniejszym,
Ten trubadur, od największych,
Prowansalskiej lutni mistrzów,

I z Poitou i z Gujanny,
Z Russillonu i wszęch innych
Słodkich krain pomarańczy,
I chrześcijańskiej galanteryi.

O, chrześcijańskiej galanteryi
I pomarańcz słodkie kraje!
Jakże wonią, skrzą się, dźwięczą.
W czarującym wspomnień mroku!

O, słowiczy, piękny świat,
Gdzie miast Boga prawdziwego,

Ludzie bożka czezą miłości
I ofiary muzom palą.

Tam to kler, w różanych wieńcach
Na tonsurze psalmy pieje,
W tym rozkosznym „langue d'oc.“
Świeckie zaś, rycerskie pany,

Na ogromnych rosynantach
Przyszczypują wiersz i rymy,
Ku uczczeniu pięknej damy,
Której serce chętnie służy.

Bo w miłości — nie bez damy...
I każdemu, nieodbicie,
Damy trzeba truwerowi,
Tak, jak masła grzance chleba.

I bohater pieśni mojej,
I Jehuda ben Halevy
Miał obraną damę serca;
Lecz dość dziwną sobie damę.

Nie była to żadna Laura,
Której oczy, gwiazdy ziemskie,
W tumie onym, w Wielki Piątek,
Sławny pożar ów wznieciły.

I nie była kasztelanką,
Co, w swych młodych wdzięków kwiecie,
Na turniejach przewodniczy
I wawrzynem męźnych stroi.

I nie była biegłą w prawach,
Pocałunku kazuistką,
Ni uczoną doktrynerką,
Na miłosnych trybunałach.

Ta, którą ukochał rabi,
Smutną była mu kochanką

I żalosnych klęsk obrazem,
A zwała się — Jeruzalem.

Już od wczesnych dni dzieciństwa
Całą była mu miłością,
Już mu wówczas serce drżało,
Na to słowo: Jeruzalem.

Z purpurowym żarem w twarzy,
Stał chłopczyzna zasłuchany,
Gdy z dalekich krain wschodu
Pielgrzym przybył do Toledo:

Gdy o spustoszeniu prawił
Znieważonych starych grodów,
Gdzie na ziemi ślad promienny
Po proroków został stopie.

Gdzie powietrze pełne jeszcze
Wieczystego tchnienia Boga.

„O, żalosny widok!“ wołał
Pielgrzym ów, którego broda,

Srebrem w dół spływała, podczas
Kiedy koniec włosa brody
Znów był czarny, jakoby się
Odmładzała broda owa.

Był to pielgrzym dość szczególny...

Oczy z głębin mu świeciły,
Z tysiącletnich głębin smutku,
Kiedy wzdychał: „Jeruzalem!“

„Ona, ten gród święty Pana,
Stała się pustynią dziką,
Gdzie hyeny i szakale
Swoją obmierzły żywot wiodą.

„Waż i kruk się tam wylęga
Po zwietrzałych, starych murach,

A z powietrznych arkad okien
Żądny łupu lis wyziera.

„Tu, to tam, się czasem przemknie
Obszarpany pustyni sługa,
Co wielbłąda garbatego
Po wysokich trawach pasie.

„A na górnym tym Syonie,
Gdzie stał ów przybytek złoty,
Wspaniałością świadcząc swoją
O potędze królów króla,

„Dzikim chwastem przerośnięte
I omszałe dziś ruiny
Smutnie patrzą na przechodnia,
Jakoby też płacz swój miały.

„Mówią nawet, że naprawdę
Płaczą one raz do roku,
W dniu dziewiątym Ab miesiąca...
Ja to sam, oczyma memi

„Widziałem, jak grube krople
Z wielkich tych kapały głazów,
I słyszałem jęki głuche
Strzaskanych świątyni kolumn.“

Takie zbożnych ust powieści
Rozbudziły w piersi młodej
Don Jehudy ben Halevy —
Tęsknotę za Jeruzalem.

Tęsknotę poety! Senną,
Przeczuć pełną i fatalną,
Jak ta, którą w zamku Blois,
Uczuł raz szlachetny Bidam,

Messer Geoffroi Rudello,
Gdy rycerze wracający

Z dalekiego ziemi wschodu,
Zaprzysięgli przy puharze,
Że cnót wzorem i skromności,
Perłą, kwieciem wszystkich niewiast,
Jest precudna Melisanda,
Margrabina z Tripolis.

Jak wiadomo, o tej damie
Marzył odtąd ów trubadur,
W pieśniach słaWił ją, aż zamek
Blois wydał mu się ciasnym.

Więc go rzucił i w Ceucie
Siadł na okręt, lecz zachorzał
Na morzu i konający
Prawie, przybył do Tripolis.

I tu ujrzał Melisandę,
Ujrzał ją na własne oczy,
Którą wszakże tej godziny
Ogarnęły cienie śmierci.

Tak ostatnią swą miłosną
Pieśń śpiewając — skonał u stóp
Damy swojej Melisandy,
Margrabiny z Tripolis.

Szczególniejsze podobieństwo
W losie obu tych poetów!
Tylko, że ów, w późnym wieku
Wielką podróż swą przedsięwziął.

I Jehuda ben Halevy
Skonał u stóp swej kochanki,
I umarłą złożył głowę
Na łonie Jeruzalem.

.

3.

Po bitwie pod Arabellą,
Schował Wielki Aleksander
Kraj Daryusza, jego ludzi,
Harem, konie, dwór, kobiety,

Kulbaczone skarbcem słonie,
Berło, wielkie łupy, złota
I koronę schował w wielkie
Macedońskie pludry swoje.

W namiocie wielkiego króla,
Który uciekł, aby nie być
Także w nie zapakowanym
Znalazł młody wódz szkatułkę.

Małą, złotą szkatuleczkę,
Przystrojoną w miniatury,
Kosztownie inkrustowaną
I w kamee cudnie zdobną.

W tej skrzyneczce, która sama
Bezcennym klejnotem była,
Chował król klejnoty swoje,
Które zwykle go zdobiły.

Darował je Aleksander
Najmężniejszą armii swojej,
Uśmiechając się, iż mężów
Tak radują pstre kamyki.

Drogocenną, piękną gemmę
Posłał matce ukochanej;
Pieczęć była to Cyrusa,
Teraz miała spinką zostać.

Dla starego mistrza swego,
Arystotelesa, wybrał

Osobliwszy jeden onyks,
Do uczonych jego zbiorów.

A były tam jeszcze perły,
Cudny sznur, który królowa
Atossa w podarku dała
Fałszywemu Smerdysowi.

Lecz prawdziwe perły były.
A wesoly je zwycięzca
Dał tancerce najpiękniejszej
Z Koryntu, imieniem Thais.

Thais wplotła je we włosy
Rozwiane, jak u bachantki,
Owej nocy płomienistej,
Gdy tańczyła w Persepolis.

I gdy żagiew w dzikim szale
Cisnęła w ten gród królewski,
Co ogromnym ogniem buchnął,
Jak fajerwerk przy biesiadzie.

A po śmierci pięknej Thais,
Która zmarła w Babilonie,
Na chorobę babilońską,
Perły jej zostały tamże

Sprzedane przez licytację.
Utrzymał się przy nich kapłan
Z Memfis i wziął do Egiptu,
Gdzie później na gotowalni

Kleopatry się znalazły,
Która, najpiękniejszą z pereł
Utłukłszy, wypła z winem,
By podrażnić Antoniusza.

Z ostatnimi z Omajadów
Do Hiszpanii przyszły perły,

I wily się u turbana
Wielkich kalifów Kordowy.

Abderham je nosił trzeci,
Jako łańcuch na turnieju,
Gdzie trzydzieści złotych kalców
I Zulejmy serce przebił.

Po upadku tej dynastyi
Perły przeszły w ręce chrześcijan,
Jako cząstka królewskiego
Skarbu kastylijskich królów.

Odtąd, katolickie moście.
Królowe hiszpańskie, brały
Perły te na dworskie bale,
Walki byków i procesye,

Jako też na Auto-da-fé,
Kiedy siedząc na balkonie
Raczyły się miłą wonią
Upieczonych starych żydów...

Później jeszcze Mendizabel,
Wnuk szatana, dał te perły
W zastaw, aby pokryć niemi
Finansowe deficyty.

Na tulieryjskim to dworze
Ten sznur cudny się ukazał
Raz ostatni, zdobiąc szyję
Baronowej Salomon.

Taki los był pięknych pereł.
Mniej awanturniczą dołę
Miała szkatuleczka, którą
Aleksander sam zatrzymał.

Zamknął on w jej wnętrzu pieśni
Ambrozyjskiego Homera,

Ulubieńca swego, i tak
W głowach łoża jego, co noc

Stała cicha. Gdy król zasnął,
Wstawały z niej bohaterzy,
Jasne męże i w sny jego
Czarodziejsko się wplatały.

Inne czasy, inne ptaki.
I jam nigdyś kochał równie
Wielką pieśń o wielkich czynach
Odyseja i Pelida.

Jakże wtedy mi słonecznie,
Jak jutrzennie było w duszy!
Na mem czole winogrady,
A dokoła fanfar dzwięki.

Milcz, o pieśni! Połamany
Leży wóz mój, wóz bojowy,
Niema panter w mym zaprzęgu,
Niema kobiet, które, w koło

W bębny bijąc i cymbałki,
Tańczyły przy wozie moim.
Ja sam tarzam się po ziemi,
W nędzy nędz.... Lecz cicho o tem!

Cicho o tem! Tu jest mowa
O skrzyneczce Daryuszowej...
I myślałem sobie właśnie,
Że gdybym ją posiadał kiedy,

A nie był w nagłej potrzebie,
By ją sprzedać, lub zastawić,
Tobym zamknął do jej wnętrza
Twoje pieśni, słodki rabi.

O, Jehuda ben Halevy!
Twoje hymny, twoje treny,

I ghazele i obrazy.
Z drogi na Wschód i to wszystko
Dałbym spisać Zofarowi,
Na najczystszyim pergaminie,
I złożyłbym ten rękopism
Do tej złotej szkatuleczki,
I przy łożu ją postawił.
A gdyby tam przyszli kiedy
Przyjaciele i zdumieli
Nad przepychem tego cacka,
Nad tym cudnym bareliefem,
Tak subtelnym a skończonym,
I nad cenną inkrustacją
Wielkich tych kamieni drogich:
Rzekłbym do nich tak z uśmiechem:
Surowa to jest łupina,
Która droższy skarb zamyka.
W tej szkatułce oto leżą
Dyamenty, których blaski
Są odbiciem wielkich niebios,
I serdecznej krwi rubiny,
I turkusy nieskalane,
I szmaragdy obietnicy!
Perły czystsze, niżli owe,
Które królowa Atossa
W darze dała Smerdysowi.
A które stroiły później
Same tu znakomitości
Podstónczej ziemskiej kuli:
Thais, potem Kleopatrę,
Księdza Izydy, kalifów
I hiszpańskie monarchinie,

Wreszcie jaśnie oświeconą
Baronową Salomon.

Sławne owe w świecie perły
Chorobliwym są wyciekciem
Nędznej jakiejś muszli, która
Zdycha kędyś na dnie morza.

Te zaś perły, w tej tu skrzynce,
Wypłynęły z ludzkiej duszy,
Z pięknej duszy, stokroć głębszej,
Przepaścistszej, niżli morze.

Łez to perły są, albowiem
Don Jehudy ben Halevy,
Które wylał w wielkim bólu,
Nad zburzeniem Jeruzalem.

Łez to perły, nawleczone
Na nić złotą cudnych rymów,
Co z kuźnicy wyszła ducha,
Przekuta na pieśnię złotą.

Ta to pieśń tych łzawych perel
Jest wstawionym owym trenem,
Którym wszystkie rozproszone
Jakóbowe brzmiały namioty,

Dziewiątego dnia, miesiąca
Ab imieniem, w dzień doroczny
Zburzenia Jerozolimy,
Przez Tytusa Wespazyana.

Tak, to jest Syonu pieśń,
Którą umierając śpiewał
Don Jehuda ben Halevy,
Na ruinach Jeruzalem.

Boso i w pokutnym worze
Siedział on tam na ułamku

Obalonej w proch kolumny.
Aż na piersi włos mu z głowy
Spłynął, niby las pod szronem,
Ocieniając tajemniczo
Jego twarz wychudłą z troski
I źrenice ducha pełne.

Tak to siedział on i śpiewał,
Niby prorok dawnych czasów
I zdawał się z grobu wieków
Zmartwychwstałym Jeremiaszem.

Przelewały się ptaki ruin,
Tych bolesnych tonów pieśni,
I na wielkich skrzydłach swoich
Zwisły mu nad głową sępy.

Gdy nagle, tą samą drogą
Saracen przejeżdżał dziki,
Na kulbace się kołysząc
I błyszczącą tocząc dzidą.

I wepchnął śmiertelne ostrze
W natchnionego pierś śpiewaka,
I zniknął niedostrzeżony,
Jak skrzydlaty cień i mara.

Cicho z piersi krew upływa,
Cicho pieśń dobiega końca...
Pieśniarz śpiewa — a ostatniem
Tchnieniem jego: „Jeruzalem!“

Stara jedna bajka mówi,
Że właściwie ten saracen
Nie był zbójem, ni złym człekiem,
Lecz aniołem utajonym.

Którego Bóg posłał z nieba,
By swojego ulubieńca

Z ziemi pełnej nędz odwołać,
Do krainy błogiej świętych.

Mówią, że go tam spotkało
Nader pochlebne przyjęcie,
Szczególniej też dla poety.
Cała niebieska siurpryza:

Uroczyście chór aniołów
Wyjść, podobno, miał z muzyką
I powitać go radośnie
Własnym jego hymnem, który

W uroczyste dni godowe
Jest śpiewany w synagogach,
Przy tych skromnych, jasnych dźwiękach
Tak mu znanych. Co za tony!

Tu aniołki dmą w oboje,
Tam aniołki w gęśle dzwonią,
A inne znów ciągną basy,
Biją w kotły i w cymbałki.

O jak słodka ta muzyka!
O jak słodkie od niej echo
Po przepaściach niebios brzmiało:
„Lecho Daudi Likras Kalle“!

4.

Żona moja nie jest rada
Z tego, com napisał dotąd,
A szczególnie z przeznaczenia
Szkatułeczki Daryuszowej.

I z goryczą mówi do mnie,
Iż mąż, szczerze bogojny,
Piękne cacko to natychmiast
Na gotówkę by zamienił,

I za złoto owo kupił
Biednej swojej, prawej żonie,
Szal prawdziwy kaszmirowy,
Którego jej tak potrzeba!

Zaś Jehuda ben Halevy,
Podług niej, mógłby wybornie
Być schowany, z czcią należną,
W pięknej teczce tekturowej,

Z elegancko złożonemi
Chińskimi arabeskami,
Jak w pasażu Panoramy
Bombonierki u Marquisa.

I dodaje: — „Rzecz szczególna!
Nigdy dotąd nie słyszała
O tym twoim wielkim wieszczu,
O Jehudzie ben Halevy!“

—Drogie dziecię —odpowiadam —
Taka luba niewiadomość
Świadczy o niejakich brakach
W wychowaniu młodych panien,
Po francuzkich pensyonatach,
Gdzie dziewczęta, owe przysze
Matki wolnego narodu,
Nauki swe otrzymują.

Stare mumie, faraony
Zielskiem wypchane w Egipcie,
Merowingi, cienie—królów,
Niepudrowane peruki,

Z warkoczami monarchowie
Chin, cesarze z porcelany,
Tych na pamięć każda umie...
Mądre panny! Lecz na Boga!

Spytaj o wielkie imiona
Wielkiego złotego wieku,
Arabsko-starohiszpańskiej
Szkoły żydowskich poetów,

Spytaj je o te trzy gwiazdy:
O Jehudę ben Halevy,
O Mojżesza Iben Ezra,
Salomona Gabirol,

O imiona takie spytaj,
A otworzą wielkie oczy
Mądre panny, i jak wryte
Staną z usty otwartemi.

Radziłbym ci, duszo droga,
Zaniedbanie to naprawić,
I uczyć się po hebrajsku.
Rzuć teatry i koncerty,

Poświęć parę lat nauce,
A wtedy to będziesz mogła
Czytywać w oryginale
Iben Ezra, Gabirola,

I — rzecz prosta — Halevego:
Tryumwirat poetycki,
Który harfie Dawidowej
Najcudniejsze odkradł dźwięki.

Alharisi — ten, zaręczam,
Nie jest ci też mniej nieznanym,
Choć dowcipem swym przewyższa
Słynny dowcip wasz galijski.

W przykazaniach swych Makama
Był on też Wolteryaninem,
Na lat sześćset przed Wolterem—
Ten to Alharisi mówi:

„Gabirol myślami świeci,
Myśliciele to poeta.
Iben Ezra świeci kunsztem
I kunsztmistrza najpierw znęci.

„Ale oba te przymioty
Ma Jehuda ben Halevy.
On też wielkim jest poetą
I kochankiem wszystkich ludzi.“

Iben Ezra ten był druhem,
Może nawet krewnym trochę
Don Jehudy ben Halevy,
Który w księdze swej podróży,

Ubolewa, iż w Granadzie
Próżno szukał przyjaciela.
A wynalazł tylko brata,
Rabi Mayera, medyka,

Który także był poetą
I ojcem piękności owej,
Co płomieniem beznadziejnym
Zapaliła serce Ezry.

By zapomnieć tę laleczkę
Chwycił laskę swą pielgrzymią,
Jak niejednen z kompanionów,
Co bezdomnym był tułaczem.

Aż do Jeruzalem w drodze
Ogarnęły go tatarzy,
I na stepy swe powlekły
U końskiego, w trokach, grzbietu.

Tam im musiał służyć w sposób
Niezbyst godny uczonego
Rabi, jako też poety;
Musiał oto krowy doić.

Dnia jednego, gdy pod brzuchem
Krowy siedząc, przygarbiony
Ciągnął pełne jej wymiona
I lał ciurkiem w ceber mleko,

W tej pozycji, niewłaściwej
Dla poety i dla mędrca,
Sroga zdjęła go tęsknica,
I z tęsknicy śpiewać zaczął.

A tak pięknie i tak rzewnie
Śpiewał, iż sam Chan tej hordy
Idąc, stanął zasluchany
I jeńcowi wolność wrócił.

Dał mu przytem piękne dary,
Dał lisiurę, dał mu długą
Saraceńską mandolinę,
I na drogę dał mu złota.

Los poety! Zła ta gwiazda,
Która synów Apolina
Aż na śmierć udręcza, ojcu
Także ich nie przebaczyła,

Gdy ten, goniąc Dafne młodą,
Zamiast ciała nimfy białej
Chwycił drzewo laurowe,
On, ten olimpijski Szlemil.

Tak, Szlemilem jest wysoki
Ten delfijczyk; a ten laur,
Co tak dumnie czoło wieńczy,
Jest znamieniem szlemilizmu.

Co oznacza słowo Szlemil—
Wszyscy wiedzą. Wszak Chamisso
Oddawna mu już wyjednał
Niemieckie obywatelstwo.

Lecz nieznanem pozostała,
 Jak świętego źródła Nilu,
 Źródło słowa. Kilka nocy
 Kosztowała mnie ta kwestya.

W Berlinie, przed wielu laty
 Szukałem dla mej zagadki
 Rozwiązania u Chamissa,
 Dziekana wszystkich Szlemilów.

Lecz ten nic mnie nie nauczył,
 I posłał mnie do Hitzika,
 Który mu wyjawiał niegdyś
 Jego bezcennego Piotra

Ród i nazwę. Wnet dorożkę
 Chwytam, wnet w nią wsiadam, pędzę
 Do Hitzika, pana radcy,
 Który niegdyś zwał się Icek.

A kiedy był Ickiem jeszcze
 Snął raz, że oto na niebie
 Napisane imię jego,
 I litera przed imieniem.

—Co u licha za litera?
 Myśli—Czy *p*? Czy pan Icek?
 Czy *ś* może? Święty Icek!
 Święty — piękny tytuł, ale

Nie przyjęty jest w Berlinie.
 Więc na chyb traf *H*. wyczytał
 Hickiem został, a najbliżsi
 Wiedzą, że w nim święty siedzi.

Święty Hicku! — rzekłem tedy,
 Gdym do niego przybył—musisz
 Etymologicznie wywieść
 Źródło tego słowa: Szlemil.

Zapocił się biedny święty,
Lecz przypomnieć nie mógł sobie,
I z wybiegu wpadał w wybieg
Chrześciański. Aż nareszcie

Pękły wszystkie mi guziki
U mej cierpliwości pludrów
I zacząłem kłać siarczyście,
Ale to kłać tak bezbożnie,
Że przezacny ten świętoszek,
Jak trup blady, z drzączką w udach,
Nagle mi się stał powolnym
I tak swoją rzecz prowadził.

— „Stoi w Biblii, że za czasów
Swej tułaczki na pustyni,
Izrael często się cieszył
Z córami chananejskimi.

„I stało się raz, że Pinhas
Spostrzegł, jak szlachetny Simri
Nazbyt zblizka się rozmawiał
Z jakąś młodą chananejką.

„I pochwycił w tejże chwili
Włócznię swoją, i na miejscu
Zabił włócznią tą Simrego.
Tak to wszystko stoi w Biblii.

Lecz, ludowe znów podanie
Inaczej to opowiada.
Mówi ono, że ta włócznia
Nie w Simrego ugodziła,

Lecz, że Pinhas zaślepiony,
Miast grzesznika, niewinnemu
Żywot odjął, mianowicie:
Szlemilowi Zuri Szadday.“

Ten to właśnie Szlemil I-szy
Protoplastą jest Szlemilów
Rodu, którym się wywodzim
Od Szlemila Zuri Szadday.

Wprawdzie wielkich jego czynów
Nikt nie wyrył na marmurze.
Wiemy tylko imię jego,
Wiemy tylko, iż był—Szlemil.

Lecz szacunek drzew rodowych
Nie z owoców dobrych rośnie,
A z późnego wieku drzewa:
Nasze trwa lat trzy tysiące.

Lata idą i przechodzą,
Trzy tysiące lat już przeszło,
Jak nasz zginął protoplasta
Szlemil ów, ben Zuri Szadday.

I z Pinhasa proch już tylko...
Ale włócznia się została
I słyszemy ustawicznie,
Jak nam chrzęści nad głowami.

W wielkie ona trafia serca!
Jak Jehudę ben Halevy,
Ugodziła Iben Ezra,
Ugodziła Gabirola,

Gabirola, co był wiernym,
Poświęconym Panu piewcą,
Co natchnionym był słowikiem,
Którego sam Bóg był różą.

Słowik ten, co tak namiętnie
Pieśni swoje piał miłosne
W tajemniczych zmierzchów cieniach,
W noc gotycką, średniowieczną,

Beztroskliwy i nietrwożny
O potwory, o upiory
I o widma śmierci, szału,
Co straszyły w ową noc,—

On, ten słowik, myślał tylko
O kochance boskiej swojej,
Łkania szłać jej swe miłosne,
Pieśnią swoją sławiąc ją.

Trzy razy po dziesięć wiosen
Tu na ziemi go widziało,
Ale sława rozgłosiła
Imię jego w całym świecie.

A w Kordubie, tam, gdzie mieszkał,
Czarny maur był mu sąsiadem,
Który także tworzył rymy
I zawiścił jemu sławy.

Kiedy słyszał śpiew poety,
Wtedy czarna żółć w nim rosła,
A natchnionych słodycz pieśni
W gorycz mu się obracała.

Aż raz znęcił w dom swój, nocą,
Znienawidzonego piewczę,
I zabił go i zakopał
Po za domem, w gęstym sadzie.

I patrzcie! W tem samym miejscu,
Gdzie ukryto zwłoki wieszczą
Puściło się drzewo figi,
Przecudnej piękności drzewo.

Duży jego pełny owoc
Niesłychanej był słodyczy,
Kto go spożył, ten zapadał
W senne jakieś zachwycenie.

I rozeszła się wieść o tem,
Między ludem szepty rosły,
Aż nareszcie najjaśniejszych
Kalifowych doszły uszu.

Kalif sam, własnojęzycznie
Fenomen figowy sprawdził,
I nazaczył wnet komisję
Śledczą, i to bardzo ostrą.

Śledztwo poszło jakby z płatka.
Sto bambusów dostał w pięty
Pan ogrodu, zaczem zaraz
Przyznał się do swojej zbrodni.

Więc wyrwano w sadzie z ziemi
Z korzeniami owo drzewo,
I na jaw dobyto zwłoki
Zabitego Gabirola.

Zacny pogrzeb miał poeta.
A gdy bracia go płakali,
Tegoż dnia, w Kordubie, w rynku,
Powieszono złego maura.



SPIS RZECZY.

Henryk Heine (życiorys)	1
INTERMEZZO LIRYCZNE	35—69
POWRÓT.	73—116
ZMROK BOGÓW	117
NOWA WIOSNA	123—142
RÓŻNE.	
Serafina	145—151
Rycerz Olaf	152
Niksy	155
DWA SONE TY	157—158
WIDZIADŁA SENNE	161—178
PIEŚNI	181—194
ROMANSE.	
I Namaszczenie	197
II Smutny	199
III Głos z gór	199
IV Dwaj bracia	200
V Biedny Pietrek.	201
VI Pieśń więźnia	202
VII Grenadyerowie	203
VIII Poselstwo.	204
IX Uprowadzenie	205
X Don Ramiro	205
XI Almanzor.	210
XII Donna Klara.	214
XIII Na egzemplarzu „Rabbi z Bacharah“	217
XIV Pielgrzymka do Kewlaar	217

II

XV	Baltazar	220
XVI	Pieśniarze	222
XVII	Na Padernborskim wygonie	222
XVIII	Marzenie i życie	224
XIX	Przeplakane łyzy	225
XX	Azrah	226
XXI	Pieśń nad pieśniami	226
XXII	Enfant perdu	228

OBRAZY MORZA PÓŁNOCNEGO.

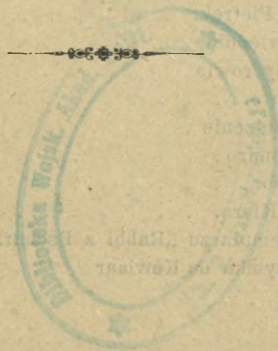
I	Koronacya	231
II	Zmierzch	232
III	Zachód słońca	233
IV	Noc na wybrzeżu	234
VI	Oświadczyzny	236
VII	Pytania	238
VIII	Rozbitek	238
IX	Posejdon	240

BAŚŃ ZIMOWA.

I	245
III	248
IV	250
V	252
VI	255

MELODYE HEBRAJSKIE

I	Księżna Sabath	265
II	Jehuda Ben Halevy	270





1

18398/

M

